



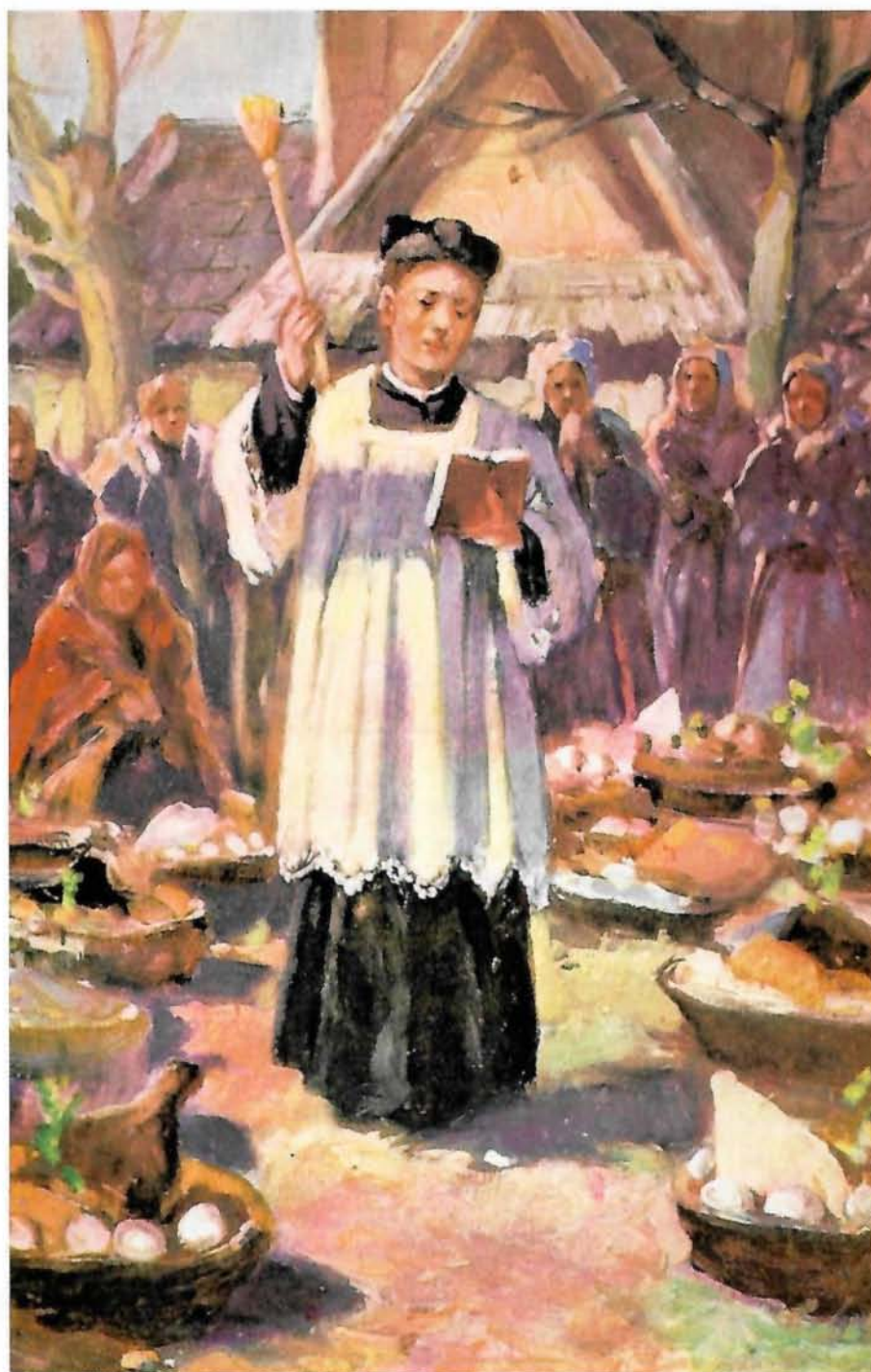
# SEMPER FIDELIS

PL ISSN 0866-9414

MARZEC - KWIECIEŃ  
1998

2 (43) 1998

PISMO TOWARZYSTWA MIŁOŚNIKÓW LWOWA I KRESÓW POŁUDNIOWO—WSCHODNICH • WROCŁAW



# Spis treści

|                                                                                                               |    |
|---------------------------------------------------------------------------------------------------------------|----|
| Jerzy Masior – Wszyscy, którzyśmy zaistnieli .....                                                            | 1  |
| Danuta Nespiak – Wielkanocne czasoprzestrzenie .....                                                          | 1  |
| Memoriał Rady Naczelnej Federacji Organizacji Kresowych .....                                                 | 3  |
| Jan Nowak Jeziorański – Strateg, polityk, profesor (70. rocznica urodzin Zb. Brzezińskiego) .....             | 6  |
| Orleńta bez kolumnady, lwów i epitafiów – rozmowa z Piotrem Konowrockim, konsulem generalnym RP we Lwowie ... | 8  |
| Wykaz wpłat pieniędzy z ogólnopolskiej zbiórki na odbudowę cmentarzy Orleń Lwowskich i Łyczakowskiego .....   | 9  |
| <b>KRESOWI KAPŁANI</b>                                                                                        |    |
| Andrzej Kaminski – Ks. Józef Bilczewski, abp lwowski (1900-1923) .....                                        | 9  |
| <b>KRESOWE SYLWETKI</b>                                                                                       |    |
| Bernard Kłyszewski – 75-lecie i 55 lat pracy prof. Remigiusza Węgrzynowicza .....                             | 10 |
| Zbigniew Umański – Kanadyjski chór „Symfonia” .....                                                           | 11 |
| Wacław Fastnacht – Feliks Wiktor West (1846-1946) .....                                                       | 12 |
| Iwo Pollo – Stefan Pollo (1898-1969) .....                                                                    | 16 |
| <b>WSPOMNIENIA</b>                                                                                            |    |
| Emil Hlib – Moje chodzenie po Lwowie (c.d.) .....                                                             | 17 |
| Danuta Fakowska – Zanim była akcja „Wisła” .....                                                              | 19 |
| Jerzy Masior – Miejsce urodzenia – Chodorów .....                                                             | 21 |
| Danuta Śliwińska – Znowu Wielkanoc! .....                                                                     | 23 |
| Urok starych kart .....                                                                                       | 24 |
| Adam Zagajewski – Jechać do Lwowa .....                                                                       | 26 |
| Ewa Malec – Genius loci Lwowa – we Wrocławiu? .....                                                           | 27 |
| Chyrow .....                                                                                                  | 32 |
| Marta Maria Kowalska – Czy pamięć wystarczy jako ostrzeżenie? .....                                           | 33 |
| Mieczysław (Matt) Berezowski – Pielgrzymka do naszej drugiej Ziemi Świętej .....                              | 34 |
| Henryk Stanisław Hordt – Opryszki .....                                                                       | 36 |
| <b>WCZORAJ – DZIŚ – JUTRO</b>                                                                                 |    |
| Zbigniew Umański – Notatnik Kresowy .....                                                                     | 39 |
| Janina Kondziola – Tak było we Lwowie .....                                                                   | 42 |
| Lwowskie i kresowe kalendarium – opracował Zdzisław Ojczyński .....                                           | 42 |
| List ze Stanisławowa .....                                                                                    | 43 |
| <b>WŚRÓD KSIAŻEK</b>                                                                                          |    |
| List Jana Akielaszka, wydawcy „W Kolorach Tęczy” .....                                                        | 43 |
| List prezesa Tow. Krzemienia i Ziemi Wołyńsko-Podolskiej Leona Popka .....                                    | 43 |
| Zbigniew Umański – Warto przeczytać .....                                                                     | 44 |
| Wśród wydawnictw .....                                                                                        | 44 |
| Ks. Józef Wołczański – Małopolska Wschodnia w okowach II wojny światowej .....                                | 45 |
| Z ŻAŁOBNEJ KARTY .....                                                                                        | 45 |
| Podziękowania i sprostowania .....                                                                            | 49 |
| Okładka – Świecone na Kresach                                                                                 |    |

*Redaguje Kolegium:* Wiesława JELEŃSKA-HOMBEK, Danuta NESPIAK, Zdzisław OJRZYŃSKI, Jerzy PETRYŃSKI, Danuta ŚLIWIŃSKA, Zbigniew UMAŃSKI.

*Redaktor naczelny:* Andrzej KAMINSKI

*Redaktor techniczny:* Danuta TABIŃSKA-JUHASZ

*Właściciel tytułu i adres redakcji:* Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, 50-079 Wrocław, ul. Ruska 32/33, tel. 44-88-93; konto bankowe PKO-BP IV O/Wrocław Nr 10205255-99192-270-1-111 Fundacja Kresowa „Semper Fidelis” (adres i telefon jak wyżej).

*Wydawca:* Danuta TABIŃSKA-JUHASZ – dyrektor, Zuzanna BAKULINSKA, Zbigniew UMAŃSKI.

*Rada Fundatorów:* Jan AKIELASZEK, Wiesława JELEŃSKA-HOMBEK, Andrzej KAMINSKI, Danuta NESPIAK, Zdzisław OJRZYŃSKI, Leszek SAWICKI, Karol STANIUK, Jan ZIEMBICKI.

*Konto bankowe Fundacji Kresowej „SF”:* PKO-BP IV O/Wrocław Nr 10205255-10012-270-1-111.

*Materiałów nie zamawianych redakcja nie zwraca. W publikowanych tekstach zastrzegamy sobie prawo dokonywania skrótów, zmian tytułów oraz poprawek stylistyczno-językowych.*



# Alleluja! Alleluja!

Najserdeczniejsze Życzenia  
Wesołych Świąt Wielkanoc-  
nych, błogostawieństwa Zmar-  
twychwstałego wszystkim na-  
szym Czytelnikom Lwowia-  
kom i Kresowiakom oraz Ro-  
dakom za wschodnią granicą,  
jak też Rodakom na Zachod-  
zie życzą z całego serca

Redakcja „Semper Fidelis”  
Zarząd Główny TMLiKPW  
Fundacja Kresowa SF

Jerzy Masior

## Wszyscy, którzyśmy zaistnieli

Sprawdzam daty, które przeminęły:  
trzydziesty dziewiąty we Lwowie  
Spowiedź u Karmelitów.  
żał za grzechy, bo ja wiem, wszędzie,  
Rezurekcja w Katedrze, taki zwyczaj,  
święcone na Leśnej, bo gdzieżby indziej.  
Jest Mama, pogoda i wszyscy,  
Wszyscy, którzyśmy zaistnieli  
Alleluja na mojej ulicy.  
Brzoza w ogródku klei wargi sokiem.  
Rany brzozy w tym roku zbyt długo sączą.  
Obłoki tarniny na Kajzerwaldzie  
uczynią burzę.  
Alleluja na mojej ulicy,  
Wszyscy stamtąd zmartwychwstaną.



Danuta Nespiak

## Wielkanocne czasoprzestrzenie

„A pierwszego dnia po szabacie wczesnym rankiem, gdy jeszcze było ciemno, Maria Magdalena udała się do grobu i zobaczyła kamień odsunięty od grobu” tak brzmi początek rozdz. 20 Ewangelii wg św. Jana. Najstarszy papirus z jej tekstem, pochodzący z egipskiego lekcjonarza liturgicznego, został napisany na początku II w. po Chrystusie.

Ukrzyżowanie Chrystusa nastąpiło w piątek i kiedy stawiano krzyż na Golgocie w żydowskich domach przygotowywano się do szabatu. Dopiero w niedzielę o świcie Maria Magdalena, nie lękając się, że łamie nakazy szabatu poszła do grobu, a potem pobięła do apostołów Piotra i Jana. To oni stwierdzili, że nie ma w nim już ciała Ukrzyżowanego.

Zmartwychwstanie Chrystusa jest największą tajemnicą dziejów ludzkości. Nie zdarzyło się, by kiedykolwiek historia odnotowała podobny fakt. Czy tajemnica Wielkiej Nocy stanowi przeżycie religijne dla współczesnego człowieka żyjącego w europejskim społeczeństwie, obecnie bardzo zsekularyzowanym i konsumpcyjnym, którego celem jest budowanie sobie raju już na ziemi? Czy interesuje go przesłanie zawarte we wszystkich niemal religiach świata o tym, że istnienie człowieka nie kończy się śmiercią? Współczesny model europejskiej kultury uruchomił rozmaite „pokusy” – pieniądze, karierę, seks, hedonizm – które



wypychają ze świadomości człowieka myśl o śmierci. Tymczasem jeżeli szuka się w życiu prawdziwego sensu – nie ma wyboru. Zmartwychwstanie Chrystusa jest gwarantem tego sensu, jest odpowiedzią na podstawowy problem egzystencji człowieka. Konstytucja Dogmatyczna o Kościele w świecie współczesnym stwierdza, że najbardziej drążący człowieka lęk przed unicestwieniem na zawsze likwidują wysiłki przedłużające jego życie biologiczne, bowiem „przedłużenie życia nie zdoła zaspokoić pragnienia życia dalszego, które nieustannie przebywa w sercu człowieka.”

Zmartwychwstanie Chrystusa jest zwycięstwem nad śmiercią i to właśnie wydarzenie celebруем z radością w święta Wielkanocne. Niedziela Palmowa, Wielki Tydzień, Wielka Noc – to w polskiej tradycji czas szczególnie. Obchody Wielkiego Tygodnia na Kresach Wschodnich I i II Rzeczypospolitej miały bogatą oprawę. W Palmową Niedzielę upamiętniającą wjazd Chrystusa do Jerozolimy wszyscy od wiejskich chat i dworów po miasta i miasteczka udawali się do kościoła z palmami. Z nich zdawna słynęła Wileńszczyzna, gdzie niegdyś kilkumetrowe nawet palmy, pięknie utkane z ziół i kwiatów, niosły do świątyni wspólnie całe rodziny. Później, jak nakazywał stary obyczaj kilka poświęconych baziok należało połknąć. Napisał nasz znakomity pisarz złotego wieku, Mikołaj Rej – urodzony w 1505 roku w Żurawnie pod Haliczem – a więc na Kresach II Rzeczypospolitej: „W kwietną Niedzielę kto bągnięta nie połknął... to już dusznego zbawienia nie otrzymał”. Wierzono ponadto, że bażki chronią przed chorobami.

Palmy wtykano w chłopskich chatach i szlacheckich dworach za obrazy, gdzie czekały następnej Wielkanocy. W Wielki Czwartek cichły wszystkie dzwony, słychać było tylko kołatki. Istniał też zwyczaj, że magnaci na znak pokuty umywali nogi biedakom i starcom. Punkt kulminacyjny pokutniczych procesji przypadał w kościołach (pamiętamy je dobrze z naszego dzieciństwa we Lwowie, a najpiękniejszy był u OO. Bernardynów). Wielki Piątek był dniem ścisłego postu, podstawową potrawą był śledź, a na wsiach też żur. W czasach sarmackich najbardziej pobożni rezygnowali w ogóle z jedzenia, a na znak żałoby przykrywano lustra. Ale w tym dniu kończono pieczenie drożdżowych bab, wędzenie kielbas, szynk i zdobienie pisanek. Baby wielkanocne nie mogły obejść się bez szafranu, który nie tylko nadawał im czystą żółtą barwę, ale jak wierzono również rozweselał. Wśród pięknych miniatur zdobiących Pontyfikał Erazma Ciołka z początku XVI wieku jest scena święcenia pokarmu – obok kropidła są na stole pieczone prosięta i strucle.

Wszelkie domowe prace kończyły się najpóźniej w Wielką Sobotę. Był to dzień święcenia pokarmów, we dworach i pałacach magnackich czynił to kapłan, zaścianki szlacheckie, chłopcy i mieszczanie udawali się do kościoła.

Dawniej w Wielką Sobotę odbywała się rezurekcyjna procesja, której towarzyszyło bicie dzwonów, salwy z armatek i moździerzy czy strzelb. W miastach strzelało wojsko i rzemieślnicy, a po wsiach folwarczna służba. Po rezurekcji w dawnych czasach już o północy dzielono się święconym jajkiem.<sup>1)</sup>

W Niedzielę Wielkanocną zasiadano do suto zastawionych, zwłaszcza w magnackich pałacach, stołów i odrabiano z nadmiarem postne zaległości.

Zachował się opis takiego wielkanocnego święconego na Kresach w Dereczynie, w dawnym woj. nowogródzkim u księcia Sapiechów, o którym pisze również znakomity znawca kultury staropolskiej i sztuki lwowskiej Władysław Łoziński.

Do pałacu dereczyńskiego (w którym mieściły się bezcenne dzieła sztuki skonfiskowane przez carat za udział ks. Eustachego Sapiehy w Powstaniu Listopadowym) zaproszono mnóstwo gości. Na środku ogromnego stołu stał baranek z chorągiewką zdobioną pistacjami. Na półmiskach spoczywały ogromne pieczone dziki w otoczeniu szynk, kielbas i prosiąt oraz 12 jeleni nadzia-

nych przeróżną zwierzyną. Ciast było tyle, ile tygodni w roku, mazurki, placki z bakaliami i 365 lukrowanych bab – tyle ile dni w roku. Wśród gości roznoszono wina cyprijskie, włoskie, hiszpańskie w tyłu srebrnych konwiach ile miesięcy, w tyłu srebrnych baryłkach ile tygodni, w tyłu gąsiorkach ile dni w roku, a służbie wydano 8760 kwart miodu.<sup>2)</sup>

Sąsiedzkie życie na wsi w dawnej Polsce w okresie wielkanocnym było bardzo ożywione, bowiem te święta obchodzono najbardziej uroczystie. Maria Czapska w swojej rodowej biografii zanotowała, że w Mińszczyźnie, jak i na całych ziemiach wschodnich Rzeczypospolitej, aż do Dźwiny i Dniepru gęsto rozsypane były zaścianki i okolice tj. całe wsie szlacheckie.<sup>3)</sup> W tej mozaice zaścianków (tam wiara rzymsko-katolicka oznaczała zawsze narodowość polską) błyszczały jak cenne klejnoty sztuki i cywilizacji śródziemnomorskiej dwory i pałace, które były najbujniejszymi ogniskami polskości. Godzi się wspomnieć, że fundamenty tej kultury formowały się na przestrzeni wieków, a impuls temu kilkusetletniemu procesowi nadał bardzo ważny fakt historyczny. Na ślad tego impulsu prowadzi nas sam Jan Długosz. W księdze 9-tej Roczników pod rokiem Pańskim 1340 zanotował, że w oktawie Wielkiej Nocy król polski Kazimierz zebrawszy wojsko wkroczył szybko na Ruś po śmierci księcia mazowieckiego Bolesława Trojdenowicza obległ Lwów, a Rusini „otwarwszy mu bramy przyjmują króla z wojskiem do miasta, a po wydaniu mu obydwu zamków, składają mu hołd i przysięgę wierności i należnego poddania się”.<sup>4)</sup>

My, ludzie końca XX wieku żyjemy w erze elektronicznych środków przekazu, jesteśmy non-stop zalewani różnymi informacjami o wydarzeniach bardziej i mniej ważnych, ale jakże często o takich mrozących krew w żyłach. Dotyczą one przemocy, gwałtów i czystek etnicznych. Nie jest to nam obce. Cofając się o pół wieku nasze Wielkanoce obchodziliśmy w rozdartych nienawiścią i złem czasach. O tych Wielkanocach należy dla pamięci ofiar i przestrody przytoczyć kilka przykładów. Pierwszy – Maria Kulczyńska, żona ostatniego polskiego rektora Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie, aresztowana przez NKWD w styczniu 1945 roku i wywieziona do kopalni węgla w Donbasie, gdzie pracowała w nieludzkich warunkach – odnotowała: „W pierwszy dzień Wielkanocy 2 IV poszłam na szczytę, 300 m pod ziemią, oceniana na oko przez inspektora truda jako „zdorowaja silnaja żeńszczyzna” mimo, że ani wedle wieku ani na podstawie II grupy pod ziemią pracować nie powinnam... W zgębionej wyobraźni zobaczyłam obraz kłęzącej w szachcie przykutej kobiety, której ukazuje się Matka Boska... zaczęłam gorąco odmawiać „Pod Twoją obronę” i opanowałam atak osłabiającego rozczulenia nad moją katorżniczą dolą”.<sup>5)</sup>

Drugi przykład lwowskiej Wielkanocy z roku 1940 – w Wielką Sobotę 23 III ostry dzwonek do drzwi w mieszkaniu przy ul. Hauke-Bosaka 14. Wiadomo – rewizja NKWD i aresztowanie Bronisława Brzezickiego, członka lwowskiej ZWZ, więzienie przy ul. Zamarstynowskiej, wywóz do łagru Nachodka nad oceanem Spokojnym.<sup>6)</sup>

Trzeci przykład z tego samego roku. Wspomina tę Wielkanoc ks. dr St. Bizuń wicedyrektor Wyższego Seminarium Duchownego we Lwowie: „Na Wielkanoc wysłuchałem w kościele św. Marii Magdaleny kazania proboszcza, ks. Włodzimierza Cieńskiego. Zawierało bardzo patriotyczne, głębokie i bojowe przesłania – nie ugiąć się. Cierpieć w milczeniu! Nie narzekać! Wzajemnie pomagać sobie, przetrwać! Polska żyje i walczy. Zmartwychwstanie jest zakończeniem Kalwarii.”<sup>7)</sup>

O strasznych „ciemniowych” Wielkanocach na wsiach polskich w woj. tarnopolskim w czasie szalejącego terroru UPA niech świadczą następujące przykłady. Ks. A. Anczarski wspomina to święto w dniu 9 IV 1944 roku: „Wielkanoc ponura jak noc. Zciemniały jasności Zmartwychwstania... Zjawia się u nas grupka obcych ludzi. Są z Buczackiego. Przygnała ich aż tutaj bieda



i rozpacz... Na Babulińce napadła banda banderowców i urządziła rzeź Polaków. Zamordowano 25 osób, w tym ich proboszcza, ks. Józefa Suszczyńskiego<sup>98</sup> Ci, co ocaleli, przyjechali do ks. Anczarskiego na plebanię w Skalacie.

W Niedzielę Wielkanocną 1944 roku banderowcy napadli na parafię w Hleszczawie. Z płonącego budynku plebani ocalał jedynie ks. Kazimierz Białowas, który z oparzeniami, resztkami sił dowłókł się polami do oddalonej 13 km powiatowej Trembowli.<sup>99</sup> W Poniedziałek Wielkanocny 1945 roku UPA zamordowała w Hanaczowie, pow. Przemyślany, 36 Polaków, w Kondratowie, pow. Złoczów – 30, w Wicyniu, pow. Złoczów – 19 członków samoobrony AK. Nie doczekali natomiast Świąt Wielkanocnych w 1944 roku, bo zginęli z rąk UPA w Wielkim Tygodniu Polacy we wsiach: Kuropatniki, pow. Brzeżany – 25 osób, Łahodowie, pow. Przemyślany – 30, a w Jasienicy Polskiej, pow. Kamionka Strumiłowa – 16.<sup>100</sup>

Wielkanoc 1944 roku przypadła 9 kwietnia. Wieczorem Sowietci zbombardowali Lwów okupowany przez Niemców. Bomby spadły w pobliżu dworca głównego, uszkodzona została elektrownia na Persenkówce. Były ofiary wśród ludności cywilnej, ucierpiały od nalotu kamienice przy ul. Mączyńskiego, Sapiehy, Listopada, Zadwórzeńskiej. Bomby padły również w okolicy Ossolineum. Na terenie Targów Wschodnich uszkodzony został budynek Panoramy Racławickiej, a sama panorama, zerwana ze stelaża, podziurawiona została odłamkami w kilku miejscach.

W wielkanocnych refleksjach zdarza się, że to co „kiedyś” obcuje i nakłada się na to, co „teraz”, kształtując przedziwną czasoprzestrzeń. Religijne i patriotyczne przeżycia tej wielkanocnej czasoprzestrzeni wyrastają z naszej pamięci łącząc czas naszego dzieciństwa z młodością, wiekiem dojrzałym i jesienią życia. Coraz bardziej w czasie, ale nie w uczuciach oddalamy się od kresowego „świata” usilnie zabiegając o uratowanie tam dzie-

dzictwa kultury łacińskiej, a zarazem polskiej i śródziemnomorskiej, bo bizantyjskiej zagłada nie grozi.

Gustaw Herling-Grudziński w swoim znakomitym „Dzienniku pisanym nocą” zanotował pod datą 18 XI 1997 r.: „Słońce Szatana świeci ciągle, czasem tylko chowa się za chmurami i obłokami, na których lubią siadać zmęczeni Aniołowie wędrowni”.<sup>111</sup>

Niech Aniołowie wędrowni unosząc się nad Polską i Kresami zwyciężą zawsze Zło. Alleluja!

Przypisy:

1. Z. Głogier. *Encyklopedia staropolska*, t. IV, Warszawa 1972 s. 347
2. Wł. Łoziński. *Życie polskie w dawnych wiekach*, Kraków 1969 s. 230
3. M. Czapska. *Europa w rodzinie*, Warszawa 1989 s. 153
4. Jan Długosza *Roczniki czyli Kroniki sławnego Królestwa Polskiego. Księga dziewiąta*, Warszawa 1975 s. 269
5. M. Kulczyńska. *Lwów-Donbas 1945*, Warszawa 1988 s. 24, 57
6. B. Brzezicki. *Z łagru Nachodka do Ziemi Świętej*, Londyn 1957, s. 13
7. St. Bizuń. *Historia krzyżem znaczone. Wspomnienia z życia Kościoła katolickiego na Ziemi Lwowskiej 1939-1945* s. 81
8. Ks. Anczarski. *Kronikarskie zapisy z lat cierpień i grozy w Małopolsce Wschodniej 1939-1946* s. 360
9. Ks. W. Szetelnicki. *Trembowla, kresowy bastion wiary i polskości*. Wrocław 1992 s. 232
10. Dane bez cytowania nazwisk zaczerpnięte z *Calendarium mordów na terenie woj. tarnopolskiego w latach 1937-1946* w: Cz. E. Blicharski. *Petruniu, ne ubywaj mene. Miscellanea Tarnopolskie*, t. V Biskupice 1998
11. Cytat z „*Rzeczpospolita, dodatek tygodniowy*” nr z 21-22 II 1998 r.

Warszawa, w styczniu 1998 roku

## Memoriał

Federacja Organizacji Kresowych po raz kolejny pragnie wyrazić swe z troską sytuacją naszych Rodaków, którzy w rezultacie układów Ribbentrop-Mołotow i w wyniku agresji 17 września 1939 roku oraz późniejszych wymuszonych ustaleń, pozostali poza granicami Rzeczypospolitej.

Na tym obszarze zamieszkuje dziś paromilionowa rzesza Polaków, której prawa są naruszane, możliwości rozwoju kulturalnego i społecznego kępowane.

Pragniemy także przedstawić kilka dalszych problemów wciąż wymagających pozytywnego rozwiązania, a przede wszystkim oczekujących stałej uwagi ze strony czynników państwowych. Problemów, naszym zdaniem ważnych z polskiego punktu widzenia przy kształtowaniu stosunków z krajami ościennymi. Opowiadamy się za dobrymi stosunkami z naszymi sąsiadami na wschodzie: Litwą, Białorusią, Ukrainą. Nie chcemy wszakże ażeby to odbywało się na drodze jednostronnych ustępstw, ażeby cierpieły na tym uprawnienia naszych Rodaków do zachowania własnej tożsamości narodowej, rozwijania kultury i oświaty. Uważamy, co więcej, że na skutek nierozwiązania szeregu istotnych problemów stosunki Polski z jej sąsiadami ponoszą ostatecznie rzeczywisty uszczerbek.

Oparcie tych stosunków jedynie na porozumieniach rządzących elit i na odgórnie przyjętych umowach, w dodatku nie przestrzeganych, stwarza sytuację nieszczerą i fasadową, bez możliwości wypełnienia jej wartościową treścią. Jak długo będzie

praktykowana rzeczywistość odbiegająca od elementarnego poczucia sprawiedliwości – na ile to możliwe w odniesieniu do wciąż dotkliwych skutków II-ej wojny światowej – tak długo nie uda się przekonać szerszych warstw narodu polskiego do proklamowanej przyjaźni z krajami ościennymi.

Osiągnąć to można przede wszystkim poprzez rzeczywistą poprawę położenia Polaków na Wschodzie, zgodnie zresztą z powszechnie przyjętymi standardami europejskimi, także poprzez szacunek dla dóbr kultury i polskich pamiątek narodowych pozostawionych poza obecnymi granicami, przy jednoczesnym odstąpieniu od jawnej i brutalnej antypolskiej propagandy uprawianej w niektórych krajach z iście bolszewicką fantazją i zacięciem.

Wszystko to powinno być przedmiotem stałej troski władz R.P. – jej prezydenta, parlamentu i rządu. Uważamy, że jednocześnie powinna być kontynuowana życzliwa polityka wobec mniejszości zamieszkujących w Polsce, przy czym jednak powinna być także przestrzegana zasada wzajemności.

W szczególności pragniemy zwrócić uwagę na następujące problemy:

### I – Prawa obywatelskie Rodaków pozostałych na ziemiach wschodnich II-ej Rzeczypospolitej

Wkrótce po dokonaniu agresji na Polskę we wrześniu 1939 r. b. ZSRR dekretem Rady Najwyższej z dnia 29 listopada 1939 r. narzucił mieszkańcom zagarniętych ziem wschodnich obywatelstwo ZSRR. Takim samym dekretem z dnia 7 września 1940 r. narzucono obywatelstwo sowieckie mieszkańcom tej części Wileńszczyzny, która w październiku 1939 r. została przekazana Litwie, a w czerwcu 1940 r., wraz z całą Litwą wcielona siłą do ZSRR.



Te wewnętrzne akty władz ZSRR, sprzeczne z prawem międzynarodowym nie miały znaczenia w kwestii utraty obywatelstwa polskiego przez osoby narodowości polskiej, pozostałe na tych ziemiach po zakończeniu wojny. W świetle naszego prawa zachowywały one nadal obywatelstwo polskie.

Dopiero ustawa z dnia 8 stycznia 1951 r. o obywatelstwie polskim pozbawiła te osoby obywatelstwa, jeżeli w związku ze zmianą granic państwa polskiego nabyły one, zgodnie z umową międzynarodową, obywatelstwo innego państwa, a w dniu jej wejścia w życie (19 stycznia 1951 r.) mieszkaly stale za granicą.

Ten stan rzeczy potwierdziły jeszcze dwie konwencje zawarte przez władze PRL z b. ZSRR w 1958 i 1965 r. dotyczące likwidacji i zapobiegania powstawaniu podwójnego obywatelstwa.

Rodacy pozostali za wschodnią granicą Rzeczypospolitej czują się nie tylko pokrzywdzeni przez historię „bo Polska od nich odeszła” ale także przez to, że utracili polskie obywatelstwo, bez swego w tym udziału, z mocy samego prawa, ustanowionego przez „władzę ludową”.

Jest wręcz tragiczną i niemoralną sytuacją, gdy antypolskie prawo ustanowione przez Stalina i władze PRL, już przez osiem lat jest prawem respektowanym i nadal obowiązującym wobec obywateli w odrodzonym państwie polskim.

Jak dotąd, jedynym realnym gestem pod ich adresem ze strony władz III-ej Rzeczypospolitej po przełomie 1989 roku stała się uchwała Senatu RP z 5 marca 1997 r.

Natomiast ustawa z dnia 25 czerwca 1997 r. o cudzoziemcach, stworzyła jedynie pewne ułatwienia w stosunku do Rodaków ze Wschodu, zamierzających się przesiedlić na stałe do Polski (wizy repatriacyjne).

Jednakże, tak oni jak i Polacy przybywający do kraju na pobyt czasowy, są nadal traktowani jako cudzoziemcy i w konsekwencji podlegają wszystkim ograniczeniom i biurokratycznym rygorom, często dotkliwym, w postaci wiz, zaproszeń, etc., jakie istnieją tylko w odniesieniu do obywateli kraju ich stałego zamieszkania.

Federacja, wyrażając wdzięczność Senatowi RP za pamięć o naszych Rodakach na Wschodzie, ponawia niniejszym podnoszony od lat postulat, adresowany do instancji parlamentarnych, rządowych i prezydenta RP, by Polacy zamieszkali na ziemiach wschodnich II-ej Rzeczypospolitej, mający w dniu 17 września 1939 roku obywatelstwo polskie oraz ich zstępni – nie byli traktowani przez władze Rzeczypospolitej jako cudzoziemcy, by mogli zachować prawo do polskiego obywatelstwa, potwierdzane na ich życzenie przez polskie placówki konsularne w krajach ich zamieszkania a tym samym, by mogli przekraczać granicę bez wiz w obu kierunkach.

To samo powinno dotyczyć Polaków z Zaolzia.

## II – Sprawy oświaty

Sytuacja pod tym względem jest zróżnicowana, lecz nigdzie nie można jej uznać za zadowalającą. Stosunkowo najwięcej szkół posiadają Polacy na Litwie. Nie jest to wszakże podarunek ostatnich lat, lecz przejęcie spuścizny z czasów poprzednich.

Ale także na Litwie nie wszystkie dzieci polskie chodzą do szkół polskich. Co więcej, ze strony litewskich władz ujawnia się wyraźna tendencja do nasadzania litewskich szkół na Wileńszczyźnie.

Przeznacza się na ich budowę wielkie kwoty, chociaż nie ma tam dzieci litewskich, które mogłyby te szkoły wypełnić. W tym samym czasie szkoły polskie mieszczą się przeważnie w starych, zdekapitalizowanych, nie remontowanych od lat, nadmiernie zagęszczonych budynkach.

Istnieją wielkie trudności z otwieraniem nowych szkół polskich, czy tylko klas polskich, chociaż podania rodziców od daw-

na zostały złożone. Widowym śladem upośledzenia szkół polskich na rzecz litewskich, jest rażąca niesprawiedliwość, którą stosuje się przy przydzielaniu środków na wyżywienie. Otóż na dziecko w szkole litewskiej asygnuje się 3 lt dziennie, zaś w szkole polskiej – 2 lt.

Wprost tragicznie wygląda sprawa szkolnictwa polskiego na Białorusi i Ukrainie.

Olbrzymia większość polskich dzieci nie ma możliwości uczęszczania do szkół z polskim językiem nauczania. Sytuacji nie może zmienić fakt założenia pojedynczych szkół, bądź nielicznych klas, gdyż stanowią one tylko kroplę w morzu potrzeb. Co więcej, władze białoruskie i ukraińskie uniemożliwiają budowę poszczególnych szkół za środki napływające z Polski, zmieniając swe decyzje i cofając wydane już pozwolenia, jak np. w Wołkowysku na Białorusi, czy w Mościskach na Ukrainie.

O ile nie nastąpi w tej dziedzinie radykalny przełom, groźba wynarodowienia Polaków na Białorusi i Ukrainie stanie się coraz bardziej realna.

Wynaradawianie polskiej mniejszości poprzez utrudnianie i ograniczanie możliwości wychowania przedszkolnego w języku ojczystym, a następnie nauki w tym języku w szkołach, jest metodą przyjętą we wszystkich krajach ościennych. Również i tych, które przy polskim poparciu zabiegają o przyjęcie do Unii Europejskiej. Na Litwie, Ukrainie, Białorusi i w Czechach zroznicowane jest tylko tempo stosowania tego procesu.

Istniejący stan rzeczy nie może być przedmiotem troski jedynie Stowarzyszenia „Wspólnota Polska” i organizacji kresowych, wymaga stałej pomocy ze strony wszystkich czynników parlamentarnych i rządowych.

## III – Kwestia zwrotu mienia polskich towarzystw społecznych i kulturalnych

W sposób najbardziej dojrzały i wyrazisty występuje ona na Litwie.

W 1939 roku w sposób bezprawny zostały rozwiązane wszystkie organizacje polskie na przyłączonej do Litwy Wileńszczyźnie, zaś ich mienie wywłaszczone.

Sprawa zwrotu budynków towarzystw, które zbudowane zostały za ich własne pieniądze, często pochodzące z groszowych składek społecznych, budzi, na skutek odmowy władz, wśród mniejszości polskiej na Litwie rosnące zniecierpliwienie i oburzenie.

Chodzi tu m.in. o gmach Towarzystwa Przyjaciół Nauk, do którego została już wpuszczona Fundacja Kultury Polskiej im. J. Montwiłła, lecz w ostatnich miesiącach – ponownie usunięta.

Podobnie harcerze polscy na Litwie domagają się zwrotu ich stancji, zbudowanej przed wojną ze składek młodzieży, a noszącej imię bpa W. Bandurskiego, opiekuna harcerzy.

Również teatr na Pohulance, zbudowany z polskich środków społecznych nie został zwrócony Polakom, chociaż jego fundatorzy zapisali w statucie, iż może on służyć wyłącznie społeczeństwu polskiemu.

W Kownie jest nieco inna sytuacja. Tam pomieszczenia organizacji polskich zostały wywłaszczone przez władze sowieckie (budynek Towarzystwa „Pochodnia”, gmachy Banku Polskiego i polskiego gimnazjum). Dziś oddział kowieński Związku Polaków na Litwie bezskutecznie zabiega o zwrot tych pomieszczeń, natomiast władze miejskie oferują mu tak zdewastowane i obokurke lokale, iż można to uznać tylko za szyderstwo.

W całej tej sprawie uderza całkowita bierność polskiej służby konsularnej, która nie uczyniła niczego, by doprowadzić do załatwienia tego nabrzmiałego problemu.

Co więcej, konsul polski w Kownie nie zainteresował się nawet tym, że w czerwcu 1939 roku zakupiona została w Kow-



nie na tzw. Piotrówce duża działka, na której miał zostać zbudowany budynek poselstwa polskiego. Dziś działka ta przedstawia dużą wartość. Po zagospodarowaniu służyć by mogła celom mieszcowskich Polaków.

Pragnęlibyśmy mocno podkreślić, iż nie ma takiej drugiej dziedziny, gdzie mógłby dojść do głosu gest dobrej woli ze strony litewskiej, jak właśnie w wypadku zwrotu Polakom ich społecznego mienia.

Jak dotąd niestety nic nie wskazuje na to, aby podobne polskie „pobożne życzenia” miały się spełnić.

Gdyby do tego dodać tak nieprzyjazne posunięcia, jak stałe manipulacje ograniczające prawa wyborcze polskiej mniejszości, pozbawianie Polaków ich nazwisk rodowych, ograniczenia w wyznawaniu wiary w języku ojczystym, itd. – można by zadać już retoryczne tylko pytanie: dlaczego rząd polski tak mocno proteguje ten akurat kraj do Unii Europejskiej i do NATO i jakie to okoliczności sprawiają, iż stosunki polsko-litewskie uważa się za wzorcowe?

Zwrot majątku polskim organizacjom społecznym na Litwie spotkałby się na pewno w Polsce z silnym i pozytywnym oddźwiękiem, przyczyniłby się do wytworzenia przychylniejszej atmosfery w stosunkach polsko-litewskich. Z drugiej strony można by odpowiedzieć Litwinom podobnym gestem.

W Polsce nie ma wywłaszczonych gmachów towarzystw litewskich. Ale można by np. przekazać na muzeum M.K. Ciurlionisa – geniusza sztuki litewskiej – miejsce i dom, w którym spędził on koniec swego życia i gdzie zmarł (W Pustelniku koło Warszawy).

Podobna problematyka występuje na Ukrainie, która przejęła po ZSRR ogromny polski majątek i gdzie licząca wiele tysięcy osób mniejszość polska dysponuje zaledwie kilkoma pokojkami.

Na Białorusi nie przekazano organizacjom polskim żadnego mienia – ich stan posiadania, to dwa niewielkie domki w Grodnie i w Lidzie... wybudowane niedawno, z kieszeni współczesnego już, polskiego podatnika.

W Czechach natomiast, majątek organizacji polskich, odebrany swego czasu przez okupacyjne władze hitlerowskie, jest wciąż traktowany przez niepodległe Czechy jako majątek... poniemiecki, bądź tzw. „polskich beckowskich organizacji faszystowskich”, którymi zdaniem władz czeskich były Związek Harcerstwa Polskiego, polska „Macierz Szkolna”, chóry kościelne, itp.

Problem własności społecznej (podobnie jak i mienia wydłonej ludności) zupełnie i karygodnie zaniedbany w rokowaniach traktatowych przez pierwsze ekipy rządowe III-ej R.P. – stanowi aktualnie trudne pole do popisu dla obecnego kierownictwa Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

#### **IV – Pamiątki i pomniki kultury narodowej na Wschodzie**

Polskie dziedzictwo kulturowe, także w równym stopniu to, które pozostaje poza obecnymi granicami Państwa Polskiego, jest nierozłącznym i trwałym składnikiem naszej tożsamości narodowej.

Minione dzieje narodu i państwa sprawiły, że ma ono zróżnicowany charakter na różnych obszarach swego powstawania i rozwoju, szczególnie zaś poza obecną wschodnią granicą kraju.

W niniejszym opracowaniu, z oczywistych przyczyn b. skrótowym, pragniemy zwrócić uwagę na tę część naszego dziedzictwa kulturalnego, która jeszcze wciąż istnieje, pomimo wielkich, często nieodwracalnych zniszczeń przeprowadzanych z premedytacją na dawnych terenach I i II Rzeczypospolitej, a więc na obszarach przedrozbiorowych i polskich ziemiach utraconych

w wyniku agresji z 17 IX 1939 r. – znajdujących się obecnie w granicach dzisiejszej Białorusi, Litwy, Łotwy i Ukrainy, a także na terytorium państwa rosyjskiego. Stwierdzamy, że w odróżnieniu od dziedzictwa znajdującego się na zachód od linii Bugu i Sanu, pomniki i pamiątki polskiej historii i kultury narodowej na Wschodzie, przecież nie mniej cenne aniżeli gdzie indziej, są wciąż zagrożone i nieustannie uszczuplane.

Naszą spuściznę kulturalną na tym obszarze nadal jeszcze stanowią zabytki architektury: kościoły, klasztory, zamki, pałace i dwory, także renesansowe, barokowe, klasycystyczne i secesyjne, całe zespoły budownictwa miejskiego Wilna, Lwowa i szeregu mniejszych miast i miasteczek na dawnych kresach, zwłaszcza w Małopolsce Wschodniej.

Obok architektury i nielicznych już ocalałych pomników, spuściznę tę stanowi wciąż jeszcze pokaźna liczba zabytków ruchomych, spośród których tylko niewiele znajduje się w kościołach obsługiwanych przez polskich księży. Inne dzieła, jak obrazy, zabytki rękodzieła artystycznego, archiwalia i biblioteki, które jakimś cudem uniknęły „indywidualnych” grabieży, rozproszenia i zniszczenia w czasie zawieruchy wojennej, nie zostały zwrócone naszemu narodowi, pomimo porozumień związanych z tak zwaną „akcją repatriacyjną”. Dzisiaj mogą się nimi chlubić obce muzea, biblioteki i archiwa – nie wykazując przy tym przesady o ich zabezpieczenie i należytą konserwację.

Ponad 3 000 obrazów znanych polskich malarzy z Janem Matejką na czele, znajduje się w Galerii Lwowskiej, około 2 000 portretów (z wieków od XVII do XX), pochodzących z polskich dworów, kościołów i muzeów, znajduje się w magazynach zamku w Olesku. To tylko dwa przykłady najlepiej znane i głośnie w kraju, a można je uzupełnić o cały szereg dalszych, jak np. bogate w unikalne dokumenty królów polskich i sejmowe, ogromne Archiwum Bernardyńskie we Lwowie, a także niszczone zbiory i biblioteka im. Ossolińskich we Lwowie, czy biblioteka królewska w Kijowie.

Ogółem, wspomniane zabytki, dzieła sztuki, militaria, archiwalia, zbiory biblioteczne na Wschodzie, stanowią jeszcze dzisiaj – w zależności od dziedziny którą reprezentują, od 30 do 50% tego, co nam z przeszłości w kraju zostało.

Myśląc o polskim dziedzictwie duchowym i kulturalnym na Wschodzie, trudno nie pamiętać o cmentarzach, tak często będących samymi w sobie dziełami sztuki. Ponad wszystko trzeba jednak pamiętać, że zarówno znane lwowskie i wileńskie nekropolie, jak i setki, tysiące cmentarzy i mogił rozsianych na przestrzeniach między Dźwiną a Dniestrem, kryją prochy pokoleń naszych ojców, wśród nich tak wielu twórców naszej narodowej historii i kultury, tak wielu obrońców Rzeczypospolitej.

Cały ten dorobek kulturowy naszego narodu jest stale uszczuplany, zarówno bezpośrednimi, celowymi, niszczącymi działaniami, jak i świadomym poniechaniem konserwacji. Jest także często zawłaszczany, na swój sposób powtórnie kradziony, poprzez wprowadzanie istotnych zmian do charakteru obiektu w jego całości lub części, zmian w inskrypcjach, w napisach informacyjnych, także w pisowni nazwisk twórców.

Chyba najbardziej jaskrawym przykładem tych poczynąń może być przebudowa renesansowych lub barokowych kościołów na cerkwie „bizantyjsko-ukraińskie”, rzadziej prawosławne.

Natomiast los naszych narodowych nekropolii najlepiej oddają fakty profanacji, zniszczenia i nieustanne szykany związane z próbami odbudowy Cmentarza Orłąt we Lwowie. Szczęśliwie, po latach, wiedza o tym dociera już do opinii publicznej w Polsce. Znacznie mniej szczęścia miały takie cmentarze, jak np. parafialny w Sarnach, gdzie na mogiłach urządzono stadion sportowy.



Dla poprawy istniejącego stanu rzeczy należy naszym zdaniem:  
1. Ponownie określić zadania Pełnomocnika Rządu d/s Polskiego Dziedzictwa Kulturalnego za Granicą.

Za najpilniejsze prace uważamy sporządzenie pełnej listy strat naszego dziedzictwa na Wschodzie – zarówno na ziemiach, które nie znalazły się w granicach Państwa po roku 1920 i którego nam na podstawie traktatu ryskiego nie zwrócono, jak też i tego dorobku, który pozostał na obszarze oderwanym od Polski 17 września 1939 r. Równolegle powinien powstać rejestr dóbr kultury polskiej znajdujących się w krajach ościennych, wraz z przygotowaną listą do przyszłych działań rewindykacyjnych.

Mimo że traktaty z tymi krajami zawarto z karygodnym zlekceważeniem naszych interesów i obecnie będzie to trudne, ze starań takich rezygnować nie wolno.

2. Należy wzmocnić możliwości działania Rady Ochrony Pomników Walki i Męczeństwa, zarazem poszerzając zakres jej zainteresowań.

\*\*\*

W niniejszym memoriale ograniczamy się do skrótego przedstawienia najbardziej nabrzmiałych problemów związanych ze stanem skarbów polskiej kultury, a przede wszystkim z obecnym położeniem naszych Rodaków w państwach ościennych.

Uważamy, że sytuacja polskiej mniejszości na Wschodzie od 1939 roku nie ma nic wspólnego ze współczesnym pojęciem praw człowieka. Jest to rezultat działań atmosfery stwarzanej przez miejscowe szowinizmy przez nikogo nie powstrzymywane, ale w ogromnej mierze skutek postawy arogancji, obojętności i zaniechań ze strony władz polskich.

Najpierw przez lata władz PRL, które „usprawiedliwia” ich niesuwerenny charakter, zaś od 1989 roku niepodległych już rzą-

dów RP – których już nic, żaden pozór, nie może uwolnić od moralnej odpowiedzialności, niezależnie od ich oblicza politycznego.

Dobro Polaków na Wschodzie pozostawiono na pastwę szowinistów dla „poprawy stosunków dobrosąsiedzkich”, które zresztą wcale nie stały się przez to lepsze.

W tym kontekście, nieustannie domagamy się, aby tzw. „polityka wschodnia” uwzględniała dobro całego narodu – a więc i tej jego części, którą oddzielono od Polski granicami, ale która wciąż jest Polsce wierna, związana z nią wiarą, językiem, kulturą i tradycją.

Pozytywny stosunek władz krajów ościennych do polskości na ich terytorium i respektowanie praw naszej mniejszości narodowej – w tym także rezygnacja z obraźliwej, antypolskiej propagandy i wciąż jeszcze uprawianej bolszewickiej retoryki o „polskich panach” i „polskiej okupacji” – powinny być dla rządu Rzeczypospolitej podstawowym warunkiem pozwalającym na udzielanie przywilejów i promocji w stosunkach gospodarczych, także decydującym kryterium w udzielaniu tym krajom poparcia przez Polskę na forum międzynarodowym.

Zarówno kresowiaci – wiele tysięcy członków naszych organizacji w kraju, jak i nasi Rodacy na Wschodzie, oczekują tego w sposób szczególny od obecnych władz Rzeczypospolitej, wciąż jeszcze wierząc, że wyraz „solidarność” nie pozostanie dla nich samą tylko etykietką, hasłem pustym i bez pokrycia.

Za Radę Naczelną Federacji

Halina Sokołowska

sekretarz

Stanisław Mitraszewski

przewodniczący

---

*Rada Miejska miasta Lwowa nadała znanemu politykowi amerykańskiemu i politologowi polskiego pochodzenia, Zbigniewowi Brzezińskiemu, tytuł honorowego obywatela tego miasta. 70-letni Zbigniew Brzeziński był w latach 1977-81 doradcą prezydenta Jimmy Cartera ds. bezpieczeństwa narodowego. Na Ukrainie cenią go jako orędownika niepodległości tego kraju.*

*Gdy nasz Rodak odwiedzi Lwów, obecnie, po otrzymaniu tytułu honorowego obywatela miasta, będzie mógł bezpłatnie korzystać z lwowskich „balonów”, czyli tramwajów i trolejbusów.*

Redakcja SF

Jan Nowak-Jeziorański

## Strateg, polityk, profesor

Zbigniewowi Brzezińskiemu w 70. rocznicę urodzin

(Przedruk z: „Gazeta Wyborcza Nr 73(2669) z 27.03.1998 r.)

Trzy polskie nazwiska znane są powszechnie w całym świecie: papieża Jana Pawła II, Lecha Wałęsy i Zbigniewa Brzezińskiego. Ten ostatni jutro kończy 70 lat. Poznałem Brzezińskiego w Monachium w roku 1953, gdy miał lat 25. Chciał się ze mną spotkać, bo od dziecka fascynowała go epopeja Armii Krajowej. Od tego dnia mogłem śledzić z bliska jego drogę życiową. Zaprowadziła ona świeżo upieczono go doktora nauk politycznych na same wyżyny, bo do Białego Domu, gdzie w roli dyrektora Krajowej Rady Bezpieczeństwa i najbliższego doradcy prezydenta Stanów Zjednoczonych Jimmy’ego Cartera kształtował globalną strategię supermocarstwa.

Gdy się to stało w 1976 roku, ogłosiłem w prasie emigracyjnej esej poświęcony sylwetce Brzezińskiego. Jego ojciec Tadeusz, były konsul II Rzeczypospolitej w Kanadzie, w listach, które wymieniliśmy, pisał, że Zbigniew od dzieciństwa wiedział, do czego dąży. Wielka

polityka fascynowała go już w latach szkolnych. Miał 15 lat, kiedy wschodnie granice Polski znalazły się na porządku dziennym rozmów państw sprzymierzonych. Posłał wtedy Churchillowi w prezencie wielką mapę Polski z końca XVII wieku. Bolał nad tym, że musi biernie przyglądać się zza Oceanu podziemnej walce swoich rówieśników z Szarych Szeregów.

Kariera akademicka Brzezińskiego była błyskawiczna. Jego praca doktorska „Permanentna czystka w sowieckim systemie totalitarnym” zdobyła mu z miejsca rozgłos i pozycję wybitnego znawcy Związku Sowieckiego. Już w trzy lata po ukończeniu Harvardu został profesorem nadzwyczajnym czołowej uczelni amerykań-





skiej. Po przeniesieniu się na Uniwersytet Columbia w Nowym Jorku założył tam Instytut Badania Zagadnień Komunizmu, który stał się jednym z głównych badawczych laboratoriów w zimnej wojnie z sowieckim imperium. Wspólnie z Davidem Rockefellerem był inicjatorem tzw. Komisji Trójstronnej, która stała się międzynarodowym trustem najwybitniejszych mózgów politycznych.

Osiągnięcia Brzezińskiego w ciągu czterech lat spędzonych w Białym Domu przejdą do historii. Prezydent Carter, w znacznej mierze pod wpływem Brzezińskiego, już w czasie kampanii wyborczej wysunął na czoło swego programu polityki zagranicznej obronę praw człowieka. Stała się ona hasłem mobilizującym dysydentów w orbicie sowieckiej i niezwykle skuteczną bronią w wojnie ideologicznej. Obrona praw ludzkich przywróciła polityce amerykańskiej element moralny, zepchnięty na daleki plan przez Realpolitik poprzednika Brzezińskiego, Henry'ego Kissingera. Brzezińskiemu przypisuje się przywrócenie równowagi i symetrii w polityce odprężenia, która w pierwszej fazie, zwłaszcza za czasów prezydentury Forda, przyniosła poważne zdobycze Związkowi Sowieckiemu. Do przywrócenia zachwianej równowagi strategicznej Brzeziński przyczynił się jako główny architekt zbliżenia z Chinami. Zahamował jednostronną redukcję amerykańskich sił zbrojnych i ocalił Wolną Europę i Radio Swoboda, które odegrały kluczową rolę w późniejszych wypadkach. Kissinger skazał obie rozgłośnie na powolną śmierć przez stopniowe obcinanie ich budżetu.

Najważniejsza w skutkach była inspirowana przez Brzezińskiego reakcja Ameryki i jej aliantów na sowiecką inwazję Afganistanu: skuteczny bojkot międzynarodowy olimpiady w Moskwie, embargo na zboże, a przede wszystkim uzbrojenie mudżahedinów. Próby pacyfikacji Afganistanu zamieniły się w sowiecką klęskę. Był to początek końca Związku Sowieckiego.

Kiedy w początkach grudnia 1980 Sowiety szykowały się do zbrojnej interwencji w Polsce, Brzeziński, uprzedzony o tych przygotowaniach w tajnych raportach płk. Ryszarda Kuklińskiego, skłonił Cartera, a za jego pośrednictwem Sprzymierzonych, by zagrozili Moskwie daleko idącymi konsekwencjami. Dzięki doświadczeniom wojny w Afganistanie groźby te zabrzmiały wiarygodnie. W ostatniej chwili Moskwa zaniechała inwazji, uznając, że zdławienie „Solidarności” rękoma samych Polaków będzie ją o wiele mniej kosztowało.

Była taka chwila za czasów prezydentury Cartera, kiedy Karol Wojtyła był papieżem, Brzeziński najbliższym doradcą prezydenta Stanów Zjednoczonych, Edmund Muskie alias Marciszewski – sekretarzem stanu, Klemens Zabłocki – przewodniczącym komisji spraw zagranicznych Izby Reprezentantów, a kardynał John Król – sekretarzem Episkopatu Amerykańskiego. Jak nożem uciął znikły Polish jokes, okrutne dowcipy wyśmiewające amerykańskich Polaków jako prostaków i prymitywów. Do radykalnej zmiany tego stereotypu przyczyniły się niemało wystąpienia Brzezińskiego w telewizji, imponujące widzom błyskotliwością i niezwykle darem precyzyjnego wysławiania się.

Po odejściu z Białego Domu rozwija Brzeziński ożywioną aktywność. Jeździ po Ameryce i po całym świecie z wykładami, występuje w mediach. Wydał po roku

1981 osiem książek. Każda z nich tłumaczona była na kilkanaście języków i każda stawała się wydarzeniem. Zdobyły mu one reputację drugiego obok Kissingera czołowego stratega amerykańskiego w skali światowej. W tej roli był konsultowany i wywierał wpływ na kolejnych prezydentów: Reagana, Busha i Clintona.

W roku 1960, kiedy miał 32 lata, w pracy „Blok sowiecki – jedność i konflikt” przewidywał narastanie wewnętrznych sporów w sowieckiej orbicie. W dziesięć lat później w książce „Między dwoma wiekami”, przepowiadał, że w wyścigu technologii Sowiety pozostawać będą coraz bardziej w tyle za Ameryką, co oznaczać będzie zmierzch komunizmu.

W roku 1975, na piętnaście lat przed wyzwoleniem się Polski spod sowieckiej dominacji, Brzeziński w odczycie wygłoszonym w Polskim Instytucie Naukowym w Nowym Jorku przedstawił cztery możliwe warianty rozwoju sytuacji. Pierwszym z nich, który wydawał się wówczas najmniej prawdopodobnym było odzyskanie przez Polskę pełnej niepodległości w wyniku upadku Związku Sowieckiego. W sierpniu 1988, na rok przed zburzeniem muru berlińskiego, zakończył pisanie książki „Wielkie bankructwo. Narodziny i śmierć komunizmu w XX wieku”. Książka zapowiadająca rozpad Związku Sowieckiego została wyśmiana na łamach londyńskiego tygodnika „The Economist” – ale okazała się proroczą, podnosząc jeszcze bardziej międzynarodowy autorytet i wpływ Brzezińskiego.

Gdy u schyłku 1989 r. Polska stanęła na progu wielkich przemian, Brzeziński powołał do życia grupę roboczą, złożoną z wielkich inwestorów amerykańskich i europejskich. Postawiła ona sobie za cel popieranie dopływu kapitału inwestycyjnego i stwarzanie dla niego sprzyjających warunków w Polsce. Zachęcony sukcesem tego przedsięwzięcia Brzeziński powołał później i stanął na czele podobnej komisji dla Ukrainy. Stał się rzecznikiem umacniania demokracji i niepodległości zarówno w Polsce jak i na Ukrainie.

W 1993 r. był – obok senatora Richarda Lugara – pierwszym amerykańskim politykiem, który poparł polskie dążenia do członkostwa w NATO. Największą przeszkodą na tej drodze były obawy administracji Clintona i Kongresu przed zepchnięciem Rosji na pozycję adwersarza. Brzeziński przyczynił się do pokonania tych oporów, wysuwając koncepcję polityki dwutorowej: rozszerzenia NATO idącego w parze z równoległą współpracą strategiczną z Rosją. Propozycja Brzezińskiego została podchwycona przez Administrację i zrealizowana w Akcie Założycielskim, zawartym między NATO i Rosją. W Stanach Brzeziński uważany jest za jednego z czołowych promotorów rozszerzenia Sojuszu Atlantyckiego.

Jutro, w 70. rocznicę urodzin profesora Brzezińskiego, jego rodacy w Polsce i na obczyźnie z pewnością zjednoczą się, by wspólnie życzyć mu dalszych, wielkich osiągnięć w służbie Ameryki, Polski i wartości demokratycznego świata.

*Jan Nowak-Jeziorański (ur. 1913) – żołnierz Armii Krajowej, działacz polityczny i polonijny, publicysta. W czasie okupacji jako emisariusz utrzymywał kontakt między rządem londyńskim a AK. W latach 1952-76 był dyrektorem Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa.*

# Orlęta bez kolumnady, lwów i epitafiów

Rozmowa z Piotrem Konowrockim, Konsulem Generalnym Rzeczypospolitej Polskiej we Lwowie.

Przedruk z: *Nasz Dziennik* z 9 III 1998 r.

Opinię publiczną w Polsce oraz w środowisku polskim we Lwowie bulwersuje sprawa odbudowy Cmentarza Obrońców Lwowa. Jaka jest pozycja polskiej strony co do ostatecznego kształtu cmentarza?

Pozycja Polski od początku była jasna i konsekwentna: cmentarz należy odbudować, przywracając mu dawne piękno architektoniczne. Jest to obiekt zabytkowy.

Strona ukraińska, dopatrując się w odbudowie cmentarza akcentu ideologicznego, nie zgadza się na przedwojenny wygląd cmentarza. Obecnie obydwie strony ustąpiły nieco ze swych roszczeń. Owocem ostatnich rozmów przeprowadzonych z władzami Lwowa przez Radę Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa jest zapowiedź rozpoczęcia prac renowacyjnych w marcu i kwietniu br.; pozostały do omówienia pewne elementy cmentarza, co ostatecznie powinno być wyjaśnione do końca czerwca tego roku.

Co budzi największe kontrowersje?

– Trzy rzeczy, które nadal budzą sprzeciw strony ukraińskiej, zostaną ustalone pod koniec czerwca. Strona ukraińska nie zgadza się na: odbudowanie kolumnady, na powrót dwóch kamiennych lwów przed kolumnadę i na napisy „Obrońcom Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich”, napisy na pomnikach lotników amerykańskich i piechurów francuskich. Decyzja ta zawiera ogromny ładunek emocjonalny. Ukraińscy historycy uważają, że żołnierze ci nie bronili Lwowa, ponieważ Lwów był ukraiński. Nie uznają też nazwy Kresów, ponieważ uważają te ziemie za odwiecznie ukraińskie. Historiografia ukraińska nie chce też podkreślać udziału amerykańskich i francuskich formacji po stronie polskiej. Jednak Polacy udowodnili, że obrońcy Lwowa brali udział w wojnie polsko-radzieckiej, co znacznie złagodziło stanowisko strony ukraińskiej. Skoro ukraińscy obrońcy Lwowa są parę metrów od Cmentarza Orląt, to dlaczego nie mogą być i polscy? To są kwestie nazewnictwa. Historii nie da się zmienić. My to tak argumentujemy: kolumnada jest jednym z najładniejszych fragmentów architektonicznych cmentarza, bez kolumnady będzie on miał zupełnie inny charakter, a kamienne lwy nikomu nie przeszkadzają, są przecież herbem miasta i bezapelacyjnie powinny wrócić.

Jaki jest zakres prac renowacyjnych, co do których już zawarto porozumienie?

– Prace przewidują zamknięcie drogi asfaltowej i kontynuowanie ekshumacji szczątków znajdujących się pod drogą przez przeniesienie muru cmentarza równo z drogą, która jest obecnie. Uratuje to jeszcze kilkadziesiąt grobów żołnierzy, które są między murem a drogą. Dalej przewiduje się poważne prace, takie jak odnowienie schodów do kaplicy i przy katakumbach, odnowienie samych katakumb. Prawdopodobnie najpóźniej w maju rozpoczną się ekshumacje, a przedtem będzie przenoszony mur, wejdą ekipy budowlane i konserwatorzy. Będą też odłaniane groby ziemne, półkuliście rozłożone poniżej arki tryumfalnej. Jest masa pracy, a jej rozpoczęcie jest poważnym krokiem do przodu.

W jakim stopniu realna jest obietnica prezydenta Leoniada Kuczmy, który podczas wizyty we Lwowie, zapowiedział, że do 1 listopada cmentarz będzie odbudowany?

Na pewno pan prezydent Kuczma nie zdawał sobie sprawy z ogromu prac związanych z rekonstrukcją, ale chwalił mu za to, że miał dobrą wolę. Mimo wszystko do listopada można wiele zdziałać. Musimy zrobić jak najwięcej, żeby można było pokazać cmentarz w dużym stopniu już odnowiony i spróbować zorganizować doniosłą uroczystość o znaczeniu historycznym.

1 listopada to nie tylko święto Wszystkich Świętych, ale przede wszystkim rocznica rozpoczęcia wojny polsko-ukraińskiej. Taka uroczystość byłaby w duchu deklaracji o pojednaniu polsko-ukraińskim podpisaną ubiegłego roku przez prezydentów, a może nawet będziemy świadkami kolejnej wizyty prezydentów na cmentarzu, może prezydenci powiedzą o tym, że cmentarz jest dla nas nauczka, że nie powinniśmy więcej ze sobą się bić, dlatego nikt w tej wojnie tak ostatecznie nie zwyciężył.

Czy nadal koszty odbudowy ponosić będzie strona polska?

– Tak. Polskie przepisy ściśle to regulują. Przy tego rodzaju poważnych przedsięwzięciach budowlanych nie można wybierać jednostronną decyzją inwestora i wykonawców. Musi być inwestor główny. Będzie rozpisany konkurs, do którego przystąpi szereg firm. Ta firma, która przedstawi najkorzystniejszą propozycję, będzie mogła podjąć te prace. Do konkursu chce stanąć Energopol, który swego czasu uratował cmentarz, który w innym wypadku byłby nadal wysypiskiem śmieci. Energopol powinien mieć taryfę ulgową. Do końca lutego powinno być wiadomo, jaka firma te prace podejmie, gdyż pan Andrzej Przewoźnik, reprezentujący Radę Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, obiecuje rozpoczęcie prac w marcu. Politycznie i technicznie byłoby dobrze, gdyby brały w tym udział firmy ukraińskie. Jedna z takich firm już się zgłosiła do konsulatu, obiecuje załatwienie różnych umów na terenie miasta. Potrzebne są zgody na przełączenie trakcji elektrycznej, na przesunięcie trakcji wodnej, na zamknięcie drogi. Na tym rynku warto, żeby te prace wykonał partner ukraiński, który dobrze zna prawo i jest zainteresowany współpracą. Poza tym takie współdziałanie będzie korzystne politycznie.

Jakie prace będą wykonywane przez polskie firmy?

– Z racji tego, że mamy olbrzymie doświadczenie konserwatorskie, większość prac będą robiły polskie firmy. Również z psychologicznych względów chcielibyśmy odnowić cmentarz sami, chociaż byłoby dobrze, żeby podwykonawcami byli Ukraińcy.

Czyli przeszkody, co do odbudowy cmentarza polegają na braku porozumienia obydwu stron co do szczegółów?

– Przeszkody polegają na tych paru elementach, które niosą duży ładunek ideologiczny. Społeczeństwo ukraińskie niepełnie może zrozumieć intencje, które kierują stroną polską. Politycy patrzą trochę dalej, ale społeczeństwo kieruje się sprawami sobie bliższymi. Istnieje opór środowiska inteligencji lwowskiej przeciwko odbudowaniu cmentarza w tej formie, jakiej życzy sobie strona polska. Wiemy o tym dzięki uchwale wydanej przez „okrągły stół” lwowskiej inteligencji pod przewodnictwem deputowanej Ireny Kałyniec.



Tam padło bardzo ostre sformułowanie, że Cmentarz Orłat miał być pomnikiem ujarzemia narodu ukraińskiego. Takiego sformułowania, przez cztery lata, jeszcze nie słyszałem. Strona ukraińska nie ma żadnych przeciwwskazań. Ale nie chcieliśmy utracić pięknego zabytkowego cmentarza. Poza tym, kiedy odbudujemy cmentarz, będzie to kolejny zabytek Lwowa i będzie on własnością państwa ukraińskiego. Spróbujmy tak odbudować ten cmentarz, żeby on nas łączył, a nie dzielił. Jeśli cmentarz będzie zniszczony, to

zawsze będzie się mówiło źle o Ukrainie. Jeśli zaś na odwrotnie cmentarz przyjedzie polski turysta, z wielką sympatią będzie odnosił się do władz Ukrainy. Zawsze to podkreślamy przy rozmowach z władzami.

Panie Konsulu, myślę, że wlał Pan w serca Polaków dużo optymizmu. Okazuje się, że nie ma spraw beznajdziejnych, nawet w tak drażliwych kwestiach. I za to w imieniu lwowian i wszystkich rodaków serdecznie dziękuję.

*Rozmawiała Teresa Pakosz, Lwów*

### **Wykaz wpłat pieniędzy na konto bankowe ZG TMLiKPW we Wrocławiu z ogólnokrajowej zbiórki na odbudowę cmentarzy Orłat Lwowskich i Łyczakowskiego we Lwowie.**

|                                     |           |
|-------------------------------------|-----------|
| 1. ZG TMLiKPW i Fundacja Kresowa SF | 19.270,33 |
| 2. Olsztyn                          | 3.129,60  |
| 3. Krynica                          | 1.800,50  |
| 4. Zielona Góra                     | 3.570, –  |
| 5. Prudnik                          | 2.398,07  |
| 6. Węgliniec                        | 364,18    |
| 7. Węgliniec-Sulików                | 1.690, –  |
| 8. Świdwin                          | 314, –    |
| 9. Nysa                             | 3.252, –  |
| 10. Kielce                          | 6.500, –  |
| 11. Brzeg                           | 949,51    |
| 12. Toruń                           | 2.072,41  |
| 13. Kłodzko                         | 2.130, –  |
| 14. Króla Jana III Gdańsk           | 5.101,79  |
| 15. Kluczbork                       | 970, –    |
| 16. Bydgoszcz                       | 2.233,79  |

|                  |          |
|------------------|----------|
| 17. Jasło        | 1.722,30 |
| 18. Przemyśl     | 3.279,34 |
| 19. Gniezno      | 545,67   |
| 20. Milicz       | 1.348,23 |
| 21. Gdynia       | 3.120, – |
| 22. Jelenia Góra | 1.001,60 |
| 23. Bolesławiec  | 700, –   |
| 24. Szczecin     | 1.160, – |
| 25. Rzeszów      | 1.140, – |
| 26. Tarnów       | 1.775,53 |
| 26a. Tarnów      | 1.936,04 |
| 27. Tychy        | 3.400, – |
| 28. Stalowa Wola | 158, –   |

**Razem:** 77.032,89

Wszystkim naszym Oddziałom i Klubom TMLiKPW składamy serdeczne podziękowania za podjęcie trudu organizacyjnego przy zbiórkach pieniężnych w swoich miejscowościach. Wszystkim Ofiarodawcom – Bóg zapłać.

Skarbnik ZG  
Danuta Tabińska-Juhasz

Prezes ZG  
Andrzej Kaminski

## **KRESOWI KAPŁANI**

Andrzej Kaminski (wg ks. W. Szetelnickiego)

### **Ks. Józef Bilczewski, arcybiskup lwowski 1900-1923 r.**



Józef Bilczewski, syn Franciszka i Anny z Fajkiszów, urodził się 26 kwietnia 1860 r. w Wilamowicach. Pierwsze trzy klasy ludowej szkoły odbył w rodzinnej miejscowości, a następnie klasę czwartą ukończył w Kętach. Nauki gimnazjalne pobierał w Wadowicach, gdzie też w roku 1880 złożył z odznaczeniem egzamin dojrzałości. Już jako młodzieniec odczuwał w duszy głos Boży do świę-

tej służby kapłańskiej. Początkowo jednak lękał się iść za słusznym głosem wewnątrz swej duszy i postanowił w przełomowej i ważnej chwili swego życia przeprowadzić pewną próbę i utwierdzić się bardziej. Dlatego też zapisał się na studia medyczne. Tu poznał jednak, że w tym zawodzie nie znajdzie ideału swego życia i dlatego wstąpił wnet do Semi-

narium Duchownego w Krakowie. Wydział Teologiczny Uniwersytetu Jagiellońskiego ukończył z chlubnym wynikiem i w 1884 r. otrzymał święcenia kapłańskie. Po ukończeniu studiów teologicznych złożył pierwsze rygorozum z dogmatyki katolickiej na Wydziale Teologicznym w Krakowie, dwa następne rygoroza odbył już jako wikariusz w Mogile w roku 1885. Ówczesny biskup krakowski ks. Albin Dunajewski skierował go na dalsze studia do Wiednia, gdzie arcybiskup Bilczewski w 1886 roku zdobył stopień doktora teologii.

Następnie kontynuował swe studia dogmatyczne i archeologiczne w Rzymie i Paryżu. W stolicy chrześcijaństwa zetknął się z wybitnym naukowcem i badaczem, Janem Baptistą de Rossim i pod jego kierownictwem studiował archeologię, poznając przebogate świadectwa i pomniki starożytności. Po powrocie do ojczyzny nie przerwał badań naukowych i przy pełnej pracy duszpasterskiej jako wikariusz w Kętach, a następnie w Krakowie przeprowadził na Uniwersytecie Jagiellońskim w 1890 r. swoją habilitację z zakresu dogmatyki fundamentalnej na podstawie pracy pt. „Archeologia chrześcijańska wobec historii Kościoła i dog-

matu” W r. 1891 otrzymał nominację na profesora nadzwyczajnego dogmatyki specjalnej w Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie, a w 1893 r. został profesorem zwyczajnym tegoż przedmiotu. W 1896 r. został wybrany na dziekana Wydziału Teologicznego. Rok 1896 był dla niego przełomowy, ponieważ przyniósł mu godność rektora uniwersytetu. W latach 1894/5 i 1900 odbył podróże naukowe do Rzymu.

Arcybiskup Bilczewski należał do różnych instytucji naukowych, zarówno krajowych, jak też i zagranicznych. Był członkiem Akademii Umiejętności w Krakowie oraz członkiem korespondentem Papieskiej Akademii Archeologicznej w Rzymie. Gdy w 1900 r. zmarł arcybiskup lwowski Seweryn Morawski, namiestnik Piniński uzyskał dla arcybiskupa Bilczewskiego u cesarza austriackiego nominację na opróżnione arcybiskupstwo lwowskie. Papież Leon XIII prekonizował go 17 grudnia 1900 r., a konsekracja odbyła się 20 stycznia 1901 r.

Główną troską duszpasterską arcybiskupa Bilczewskiego od chwili objęcia rządów było pomnożenie liczby duchowieństwa i placówek duszpasterskich na terenie archidiecezji. Do roku 1914 stan duchowieństwa diecezjalnego podniósł się o 200 kapłanów, przybyło 7 domów zakonnych męskich z 109 zakonnikami i 135 domów żeńskich z 865 członkiniami.

Za jego duszpasterzowania powstało 117 nowych parafii. Drogim sercu arcybiskupa Bilczewskiego było też wychowanie ludu poddanego jego pieczy arcybiskupiej. W celu odrodzenia archidiecezji podejmował częste podróże wizytacyjne. Starał się przepoić swych diecezjan miłością Najświętszego Sakramentu. Zaprowadził na terenie całej archidiecezji lwowskiej w jedną niedzielę miesiąca adorację Najświętszego Sakramentu, która przyczyniła się wydatnie do rozbudzenia w sercach wiernych żywej miłości względem Chrystusa Eucharystycznego. O jego gorliwości w nauczaniu wiernych prawd wiary świadczą też między innymi jego listy pasterskie, niezmiernie bogate w treść, ubrane w piękną formę literacką, pełne gorącego natchnienia, tętniące pięk-

nyimi myślami. Szczególną miłością i troskliwością otaczał arcybiskup Bilczewski młodzież i jej wychowaniu nie szczędził nigdy sił i prawdziwych poświęceń. Usilnie zabiegał też na terenie swej archidiecezji o rozwój szkół katolickich, otaczał opieką ochronki katolickie, szkółki, zwłaszcza wiejskie, czytelnie, biblioteki i pomagał materialnie przy ich zakładaniu. Rozwijał akcję i organizację socjalną na terenie archidiecezji lwowskiej.

W dziedzinie politycznej arcybiskup Bilczewski kierował się naczelnym hasłem „Bóg i Ojczyzna” i stał zawsze na gruncie narodowym, bronił polskości na wschodnich kresach. Zachęcał wszystkich, by zaprzestali waśni i sporów, zapalał wszystkich słowem i czynem do potęgowania wzajemnej zgody i wspólnej pracy.

U Stolicy Apostolskiej niejednokrotnie interweniował w sprawach Polaków, znajdujących się pod zaborem pruskim i rosyjskim. Należał do współtwórców głośnego hospicjum polskiego w Rzymie.

Jeśli idzie o życie wewnętrzne arcybiskupa Bilczewskiego, to należy stwierdzić, że było ono głębokie i według badaczy jego działalności cechowała je modlitwa i praca. Jako człowiek odznaczał się wielką dobrocią, szczerością, otwartością, miłością, głębokim i bystrym umysłem, gorliwością w służbie dla Kościoła i bliźnich, bezinteresownością, uprzejmością i wyrozumiałością, niewyczerpaną pracowitością. Spracowany arcybiskup Bilczewski zmarł we Lwowie 20 marca 1923 r. i spoczął w myśl swego życzenia – w drewnianej trumnie – na cmentarzu Janowskim wśród ubogich.

Dnia 17 kwietnia 1959 r. arcybiskup Eugeniusz Baziak wydał w Krakowie dekret w sprawie beatyfikacji Sługi Bożego Józefa Bilczewskiego.

W Krakowie od wielu lat w rocznicę śmierci Arcybiskupa odbywa się msza o beatyfikację sługi bożego Józefa. W tym roku mija 75 rocznica śmierci i została odprawiona msza święta przez ks. kardynała Franciszka Macharskiego w kościele OO. Karmelitów o rychłą beatyfikację. □

## KRESOWE SYLWETKI

Bernard Kłyszejko

### 75-lecie i 55 lat pracy profesora Remigiusza Węgrzynowicza

27 września 1997 r. minęła 75 rocznica urodzin oraz 55 lat pracy profesora dr. hab. med.-wet. Remigiusza Węgrzynowicza, organizatora i wieloletniego kierownika Zakładu Fizjologii Ryb, prodziekana Wydziału Rybactwa Morskiego i Technologii Żywności Akademii Rolniczej w Szczecinie, rektora uczelni w latach 1990-1993.

Urodzony we Lwowie, w okresie szkolnym był aktywnym członkiem ZHP. W roku 1939 uczestniczył w walkach o Lwów w Kompanii Harcerskiej. W czasie okupacji, w roku 1940, złożył egzamin dojrzałości w XI Gimnazjum, a następnie podjął studia w Akademii Medycyny Weterynaryjnej we Lwowie. Przetrwanie w okupowanym Lwowie umożliwiło mu podjęcie roli karmiciela wszy w produkcji szcze-

pionki przeciwyfusowej w Instytucie Weigla, później Behringa. W roku 1945 uzyskał absolutorium i wyjechał ze Lwowa. We wrześniu 1945 podjął pracę na stanowisku asystenta, później starszego asystenta na Wydziale Medycyny Weterynaryjnej Uniwersytetu i Politechniki we Wrocławiu. Brał udział w organizowaniu od podstaw Zakładu Botaniki pod kierunkiem prof. Jankowskiego, prowadził zajęcia z I powojennym rokiem studentów, kontynuując równocześnie 3 rok studiów lekarskich. W





styczniu 1946 r. otrzymał dyplom lekarza weterynarii na Uniwersytecie M. Curie-Skłodowskiej w Lublinie. W latach 1947-1950 organizował od podstaw 3 zakłady lecznicze dla zwierząt (Ślubice, Międzyzdroje, Szczecin) oraz pracownię Mikrobiologii Żywnościowej w Szczecinie. W okresie tym pełnił funkcje powiatowego lekarza weterynarii oraz kierownika lecznic. Jako lekarz – praktyk, na podstawie materiału klinicznego, opracował metody lecznicze: chirurgiczne, farmakologiczne oraz pionierskie nad włoskowcem różycy ryb. W roku 1950 został powołany do służby wojskowej na stanowisko higienisty armii, pełniąc nadzór and środkami spożywczymi pochodzenia zwierzęcego. W tym okresie publikował w wojskowych wydawnictwach oryginalne prace naukowe (m.in. „Wpływ odmy czaszkowej i hialuronidazy na stężenie penicyliny w płynie mózgowo-rdzeniowym”), notatki z praktyki oraz higieny produktów spożywczych pochodzenia zwierzęcego. W roku 1954 powrócił na Wydział Medycyny Weterynaryjnej WSR we Wrocławiu na stanowisko adiunkta w Katedrze Fizjologii, a później w Katedrze Farmakologii. W roku 1959 uzyskał stopień doktora medycyny weterynaryjnej, a w roku 1965, po habilitacji, otrzymał stopień i stanowisko docenta z zakresu fizjologii i farmakodynamiki. W roku 1975 uzyskał tytuł profesora nadzwyczajnego, a w 1987 roku – tytuł profesora zwyczajnego.

W 1966 przeniósł się do Szczecina włączając się w organizowanie Wydziału Rybackiego z Olsztyna w strukturę Wyższej Szkoły Rolniczej w Szczecinie. Organizował Katedrę Fizjologii Ryb, pełniąc jednocześnie funkcję prodziekana i wiele innych funkcji społecznych.

Profesor Węgrzynowicz jest autorem około 120 prac eksperymentalnych i około 60 artykułów. Uczestniczył w licznych kongresach i konferencjach krajowych i międzynarodowych, m.in. w USA, Wielkiej Brytanii, na Węgrzech, w Austrii, Danii, Szwecji, Francji. Wyniki jego badań są cytowane i publikowane w książkach i w renomowanych czasopismach krajowych oraz zagranicznych.

Działalność naukową poświęcił głównie fizjologii porównawczej i farmakodynamice układu krążenia zwierząt domowych, później zmianom fizjologicznym zachodzącym pod wpływem zmian środowiska zwierząt wodnych. Rezultaty badań przedstawiano w podręcznikach krajowych i zagranicznych.

Trudno pominąć aktywność profesora we współpracy międzynarodowej nad upowszechnianiem nowoczesnych technik audiowizualnych podnoszących poziom dydaktyczny i oszczędzających znaczną liczbę zwierząt. Problemy etyki w zawodzie lekarza weterynarii, organizacji szkolnictwa – to działalność popularyzatorska zamieszczana w wielu czasopismach.

Za działalność naukową profesor otrzymał wiele wyróżnień i nagród, m.in. dwie nagrody Ministra Edukacji Narodowej, liczne – towarzystw naukowych i uczelni. Wyróżniony też był dyplomem oraz zamieszczony został w edycji 1980-81 „Who's Who in the World”.

W dorobku dydaktycznym ma znaczny udział w kształceniu wielu pokoleń lekarzy weterynarii, inżynierów rolników, zootechników i rybaków. Pod jego kierunkiem wykonano 7 prac doktorskich i jedną pracę habilitacyjną.

Wiedzą i umiejętnością służył i służy społeczeństwu, biorąc także udział w działalności towarzystw naukowych i społecznych. Pełnił liczne funkcje, m.in. prezesa Polskiego Towarzystwa Fizjologicznego w Szczecinie (3 kadencje), prezesa Polskiego Stowarzyszenia Filmu Naukowego we Wrocławiu, prezesa Polskiego Towarzystwa Nauk Weterynaryjnych w Szczecinie, założyciela i wieloletniego prezesa Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami w Szczecinie (w Warszawie – Zarząd Główny), obecnie piastuje stanowisko prezesa Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich (3-cią kadencję). Ta różnorodna i wielopłaszczyznowa, w największym skrócie ujęta, działalność profesora zyskała uznanie, czego wyrazem są liczne nagrody i odznaczenia, z których Profesor najwyżej ceni: Krzyż „Polonia Restituta”, Krzyż II Obrony Lwowa (1992), Złoty Krzyż z Mieczami ZHP (1992), najwyższe odznaczenie Izraela – „Sprawiedliwy wśród Narodów Świata” (1988), medale za udział w wojnie.

Społeczeństwo naszej uczelni dało wyraz swojego zaufania i uznania, powierzając profesorowi funkcję rektora w pierwszych wolnych wyborach w 1990 roku na okres 3 lat. Jako rektor prof. Remigiusz Węgrzynowicz zyskał sympatię i uznanie pracowników za dbałość o utrzymanie uczelni w nurcie akademickim i oddanie sprawom jej rozwoju.

Od siebie pragnę dodać na podstawie wieloletniej współpracy, że profesor dużą wiedzę łączy z rozległym doświadczeniem i zainteresowaniem sprawami ważnymi, mając zawsze coś istotnego do powiedzenia w dziedzinie naukowej, w której się specjalizuje. Potrafi widzieć przy tym rzeczy w ich całej złożoności i szerokim kontekście. Jeżeli do tego dodam, że cechuje go głęboki humanizm, prawość charakteru oraz wysoka kultura bycia, to i tak nie oddam w pełni zalet i przymiotów Profesora oraz zaszczytu, jakiego się doznaje, należąc do grona jego bliskich współpracowników.

Po przejściu na emeryturę w roku 1993 zorganizował Centrum Ochrony Zwierząt, które aktualnie prowadzi. Jest nadal aktywny w kształceniu młodzieży akademickiej i współpracy międzynarodowej.

*Ze swej strony Redakcja SF dołącza najlepsze życzenia zasłużonemu Jubilatowi i Działaczowi naszego Towarzystwa.*

Zbigniew Umański

## Kanadyjski chór „Symfonia”

Polonia kanadyjska wznawia przerwany maraton Jerzego Michotka:

„Odbudujemy Cmentarz Orląt!”

W 1951 roku, w mieście Hamilton w Kanadzie, powstał chór „Symfonia” – Grona Młodzieży Polskiej działającej przy Związku Polaków w Kanadzie. Rok później został

członkiem Związku Śpiewaków Polskich w Ameryce (powstałego w 1889 r. w Chicago). Od tego czasu chór nieprzerwanie pełni rolę reprezentanta kultury polskiej grupy etnicznej w wielokulturowym środowisku Hamiltonu, ambasadora polskiej kultury w Kanadzie, a także poza jej granicami – w USA, Włoszech, na Litwie, Ukrainie, gdzie



*Zofia i Zdzisław Katowice z dumą pokazują nagrodę Stowarzyszenia Polskich Śpiewaków w Ameryce, którą zdobyli w konkursie w Nowym Jorku w 1995 r.*

skiego. Uczestniczy też w akcjach Kongresu Polonii Kanadyjskiej, m.in. „Budujemy Dom Polskiego Seniora w Hamilton” i innych – śpiewa dla wspólnot polskich, na festiwalach, w szpitalach, na spotkaniach ludzi różnych kultur. Latem ub. roku „symfonia” zainicjowała wielki koncert 1000-lecia Gdańska, który się odbył w Bazylice św. Brygidy. Zasadzili też na dziedzińcu tej świątyni dwa kanadyjskie klony i postawili brązową tablicę z napisem: „Tysiąclecie polskiego Gdańska świętując – na znak więzi Polonii Kanadyjskiej z Macierzą”.

Trzy lata temu, podczas pobytu Jerzego Michotka w Kanadzie, chór „Symfonia”, wspólnie z naszym bardem kresowym, zorganizowali serię koncertów dla polonii kanadyj-

występował. Kultuwyje zarówno polską pieśń ludową, jak i patriotyczną, operową i oratoryjną.

Na swoim koncercie artystycznym „Symfonia” ma wspaniałe wykonanie, pierwsze w tym mieście, naszej opery narodowej „Halka” Stanisława Moniuszki (przy współpracy Polsko-Kanadyjskiego Towarzystwa Muzycznego w Toronto), oraz koncertów – z okazji 125-lecia – Kanady 150-lecia Hamiltonu, 50-lecia Kongresu Polonii Kanadyjskiej, V-Day na 50-lecie zakończenia II wojny światowej, 20-lecia pontyfikatu Jana Pawła II z „Te Deum” Karola Kurpińskiego, 200-lecie Mazurka Dąbrows-

kiej, z których dochód przeznaczono na odbudowę Cmentarza Orląt we Lwowie. Ta idea znalazła szeroki oddźwięk wśród Polonii. Niestrudzony Jerzy występował na scenie, w radio, klubach, kwestując na „swoje” Orląta. Niestety, choroba, a później śmierć przerwały Jego kanadyjski maraton koncertowy. Zdążył jednak zebrać 5.000 dol. kanadyjskich. Czek na tę sumę przywiozła z Kanady delegacja Polonii na pogrzeb Jerzego Michotka i wręczyła go prezes Fundacji Kresowej „Semper Fidelis” Danucie Tabińskiej-Juhasz ze słowami: „Jerzy zarobił je dla Orląt”... Pieniądze te zasilili centralny fundusz odbudowy Cmentarza Orląt znajdujący się w banku PKO we Wrocławiu na koncie ZG TMLiKPW.

Od 25 lat członkami chóru „Symfonia” są Zofia i Zdzisław Katowice. Pan Zdzisław jest prezesem chóru, pani Zofia amatorsko zajmuje się też recytacją, przybliżając społeczności polonijnej perły poezji polskiej, organizuje koncerty chóru. Propaguje słynnych Polaków: – Marię Skłodowską-Curie w Polskiej Gabclocie w ratuszu miasta Hamilton, naszego narodowego wieszczę, Adama Mickiewicza – na wystawie urządzonej z okazji 200-lecia urodzin. Zaangażowana jest w różne akcje społeczne, m.in. gromadzenie funduszy na odbudowę Cmentarza Orląt. Za wszechstronną działalność, pani Zofia została odznaczona Volunteer Awards przez ministra kultury Ontario, a przez naszego ministra kultury i sztuki – medalem za pracę dla kultury polskiej. Posiada Krzyż Brygidiański z Gdańska i Złotą Odznakę Kongresu Polonii Kanadyjskiej. Ostatnio chórowi „Symfonia”, na ręce państwa Katów, przyznano nagrodę „The Hamilton Spectator Community Service Award for Music”.

Jak się dowiadujemy, chór „Symfonia”, wspólnie ze Zrzeszeniem Studentów Polskich McMaster i UF – Uniwersytetów Hamilton i Toronto, postanowiły wznowić przerwany maraton koncertowy „Odbudujemy Cmentarz Orląt Lwowskich” nieodżałowanego Jerzego Michotka. Będzie to dalszy ciąg wyreżyserowanych przez Niego imprez – niestety, już bez Niego. Ale ma w nich uczestniczyć Jego żona – pani Wiesia. Już otrzymała zaproszenie do Kanady. Wprawdzie Go nie zastąpi, ale będzie mówić o Nim i o Jego Wielkiej miłości – mieście „Semper Fidelis Poloniae”. Jego duch z pewnością będzie razem z nią kwestować na odbudowę cmentarza Lwowskich Orląt... □

## Wacław Fastnacht

### Feliks Wiktor West (1846-1946)

Niedawno, w 1996 roku przypadły dwie znamienne rocznice: 150-lecia urodzin i 50-lecia śmierci zasłużonego wydawcy i księgarza w Brodach, Feliksa Westa. Do przeżycia pełnych stu lat zabrakło mu zaledwie kilku miesięcy. Był uznanym, cenionym nestorem polskiego księgarstwa, zasłużonym społecznikiem i patriotą.

Godzi się przypomnieć ciąg jego życia, dokonania, losy, aby z upływem lat nie zostały one zatarte, lecz aby świadczyły o rozwoju duchowego dorobku na tamtych ziemiach. Stąd jego niniejszy życiorys.

West urodził się w Wirawie (Vyrava) na Słowacji 3 września 1846 roku. Naukę w szkole realnej pobierał w Samborze i ukończył ją w 1863 r. Za namową nauczyciela rodzice oddali młodego Feliksa do księgarni Jana Rosenheima w Samborze na naukę zawodu księgarza.

Zapewne ten młody praktykant nie przewidywał wówczas, że przepracuje w tym zawodzie aż 76 lat. W następnym roku J. Rosenheim sprzedał księgarnię w Samborze K.K. Wildowi, a sam przeniósł się z rodziną do Brodów, gdzie uprzednio otworzył swoją nową księgarnię (przy ul. Złotej 17). West oczywiście pojechał też do Brodów. Chciał wtedy wstąpić w szeregi powstańców (miał 18 lat), ale po pierwsze, było to już po klęsce pod Radziwiłowem, a po drugie nie mógł, bo był „na służbie” u swojego pryncypała. Wiele lat później opisał dość szczegółowo sytuację powstańców w Brodach i opiekę, jaką miejscowa ludność roztoczyła nad nimi, aby jak najwięcej ich ochronić przed represjami władz austriackich.

W latach 1871-1878 West dwukrotnie praktykował





we Lwowie u K.K. Wilda (łącznie 5 lat), aby dokształcić się zawodowo w tej wzorowo, na wysokim poziomie prowadzonej księgarni i szeroko poznać całokształt prac księgarskich. Po powrocie do Brodów w kwietniu 1878 r. podjął znowu pracę u J. Rosenheima.

W roku 1879 ożenił się z jego córką Felicją. (Przydałoby się opisanie dramatycznych, miłosnych perypetii Westa związanych z jego ożenkiem!)

W r. 1882 przejął od teścia księgarnię, a w r. 1888 drukarnię (odpłatnie!)

Księgarnia jego prowadziła działalność w szerokim asortymencie z wielu dziedzin, przede wszystkim podręczników i lektur szkolnych. Były tam oczywiście książki z własnych nakładów, ale też nowości wydawnicze z wielu oficyn z kraju i z zagranicy. Stąd były też przemycane dzieła wieszczów narodowych i druki patriotyczne na teren Kongresówki. Były też w księgarni czasopisma krajowe i zagraniczne, a ponadto nuty, struny, przybory do pisania i rysunków.

W prowadzeniu księgarni pomógł Westowi jego starszy syn Feliks Jan – junior (1880-1929), który uprzednio praktykował u G. Seyfartha we Lwowie i u E. Wendego w Warszawie. Obydwaj – ojciec i syn – doprowadzili w latach 1904-1914 do rozwoju księgarni, będącej wówczas w znakomitej sytuacji zawodowej i finansowej.

Księgarnia uczestniczyła w dorocznych wystawach książki we Lwowie, Poznaniu, Krakowie, Wilnie i Warszawie. West organizował okresowo wystawy książki brodzkiej w Madrycie, Rapperswillu, Paryżu i Lipsku, uczestniczył w konkursach na tych wystawach, a w Madrycie zdobył złoty medal w r. 1907.

W tymże roku rozpoczął wysyłkę do składnicy książek polskich w Nowym Jorku noszącej nazwę „The

Polish Book Importing Company”. Działalność tej składnicy była poświęcona zaspokajaniu potrzeb czytelnich polskiej emigracji w Stanach Zjednoczonych. Składnicę założył i prowadził Jakub Vorzimmer, księgarz pochodzący ze Lwowa. Niestety, wysyłka książek do Nowego Jorku przez Westa trwała tylko do wybuchu pierwszej wojny światowej.

W r. 1908 West otworzył skład swoich wydawnictw dla Królestwa Kongresowego w księgarni E. Wende i S-ka w Warszawie przy Krakowskim Przedmieściu 9. W latach 1912-1914 funkcjonowała też filia brodzkiej księgarni we Lwowie przy ul. Koralnickiej 6.

West sukcesywnie, aż do r. 1914, unowocześniał nabytą drukarnię, wymieniał maszyny starego typu na nowe. Stosował skład ręczny, bo to decydowało o pięknie książki, miał na miejscu laboratorium chemigrafii, aby wydania ilustrowane i reprodukcje były wykonywane na miejscu. Na droższe publikacje kupował papier w Lipsku, Ratyzbonie, Wiedniu i Lwowie.

Własna drukarnia pozwoliła Westowi rozwinąć bogatą działalność wydawniczą. W całym okresie tej działalności ukazało się w tej oficynie 603 pozycji, przede wszystkim z literatury pięknej, a ponadto z historii, krytyki literackiej, filozofii, teologii, sztuki i prawa z tym, że nasilenie wydań najwartościowszych dzieł przypadło na lata 1888-1914. W prowadzeniu drukarni pomógł Westowi jego młodszy syn Wilhelm Antoni (1884-1920), który od roku 1907 był jej kierownikiem technicznym. Wilhelm po zdaniu matury studiował w Akademii Handlowej w Wiedniu, potem w Lipsku i Augsburgu dokształcił się w drukarstwie, dzięki czemu też przyczynił się do stałego rozwoju brodzkiej drukarni.

Największą zasługą Westa w dziedzinie edytorskiej były jego serie wydawnicze. Wprawdzie nie wszystkie były udane, ale ważniejsze z nich to:

a) Powiastki Ojczyście dla Młodzieży Szkolnej Polskiej (1891-92), pod redakcją F. Schindlera. Opowiadania były oparte na powieściach historycznych I. Kraszewskiego. Każdy tomik kosztował 50 centów, a więc były one łatwo dostępne dla młodzieży.

b) Nasi Wielcy Pisarze (1911), wydano 7 tomów. Zawierają wszystkie dzieła A. Mickiewicza w chronologicznej kolejności. Wydano je pod redakcją J. Kallenbacha. Krytyka literacka oceniła tę serię bardzo wysoko. Seria ta miała potem pięć wydań. Tańsze egzemplarze z tej serii były drukowane po 3000 egz., droższe po 2000 egz., najdroższe na papierze japońskim, dla miłośników książki, dla koneserów (i dla snobów też!) po 500 egz. Karty tytułowe były zdobione winietami o wzorach renesansowych, a także w modnej wówczas secesji o płynnych liniach. „Wedle mego programu był to początek wielkiego wydawnictwa, jako ciąg dalszy miały być wydane dzieła Aleksandra Fredry.” Nie wiadomo, dlaczego West nie kontynuował tej serii.

c) Epos (1908-12) „Najznakomitsze poemata epickie wszystkich krajów i narodów w streszczeniach i wyciągach” – pod redakcją Antoniego Langego (przebywającego wówczas przeważnie w Paryżu). Serię zaplanował West na 30 tytułów, ale ukazało się tylko 5; jej kontynuowaniu przeszkodził wybuch I wojny światowej. Wydał: Enuma Elis (starobabil.), Pentaur (egip.), Ramayanę (staoroindyjską epopeję rycerską), Mahabharatę (ind. – walka o tron), Iliadę. Niektórzy historycy literatury

twierdzili, że w „Eposie” ujawnił się szczyt kunsztu edytorskiego oficyny Westa. Można założyć, że gdyby West i Lange mogli kontynuować tę serię to wydaliby w niej jeszcze Odyseę, Eneidę, Parsifala, Orlanda Szalonego, Jerozolimę Wyzwoloną, Don Kichota, fińskie Kalewala, Ivanhoe i inne epepeje.

d) Arcydzieła Polskich i Obcych Pisarzy (1902-14), wydano 84 tomiki. I. Chrzanowski określił to wydanie: „wzorowe, a dla sprawy nauczania historii literatury ojczystej nie tylko pożyteczne, ale wręcz niezbędne”. Seria przeznaczona „do użytku szkolnego”. West zapewnił także tej serii wysoki poziom edytorski: „Wydawnictwo to pielęgnowałem z osobliwym zamięłnieniem”. Przyjął zasadę, że podstawą wydania dzieła był rękopis albo pierwodruk, a zatem dawał teksty wiarygodne pod względem językowym i rzeczowym. Do współpracy przy tym wydawnictwie West pozyskał takich historyków literatury jak: P. Chmielowski, K. Wojciechowski, T. Pini, B. Kielski. W tej serii West zapoczątkował literackie opracowania każdego dzieła, zawarte we wstępach. Miało to dostarczać miłośnikom literatury i jej szkolnym użytkownikom – nauczycielom i uczniom – polskie teksty w „obudowie” historyczno-literackiej. Te opracowania obejmowały: biografię autora, genezę i ocenę utworu, kompozycję literacką, objaśnienia językowe, charakterystyki osób, wartości ideowe i bibliografię. Taki schemat opracowań literackich dla każdego dzieła przejęła potem w latach powojennych „Biblioteka Narodowa” – odpowiednio go rozwijając swoim ogromnym zakresem i postępem.

Produkcja drukarni Westa wyszła ponad przeciętny poziom innych prowincjonalnych oficyn. West sam prowadził sprawy wydawnicze, sam sterował polityką wydawniczą, nawiązywał kontakty z autorami, decydował o formie typograficznej dzieła, jak i o przyjęciu lub odrzuceniu rękopisu. Jego działalność odznaczała się wyczuciem potrzeb i chłonnością rynku. Ogromna zasługa działalności wydawniczej Westa w okresie zaborów polegała na jego postawie. Inicjując drukowanie wartościowych, ale tanich książek, o dużym nakładzie, rozbudził zainteresowanie książką i ułatwił kupowanie nawet najuboższemu, a przede wszystkim uczniom.

West był także gorliwym społecznikiem. W latach 80-tych ub. wieku czynnie przysłużył się do powstania w Brodach Stowarzyszenia Rękodzielników „Gwiazda”, Towarzystwa Szkoły Ludowej, Towarzystwa „Młodzież Polska”, Gniazda Brody PTG „Sokół”. W latach 1895-98 był inicjatorem i sekretarzem Komitetu Budowy Pomnika Józefa Korzeniowskiego (urodzonego w Brodach) aż do odsłonięcia pomnika.

Dzięki inicjatywie i usilnym staraniom Westa (i kilku innych działaczy) u władz we Lwowie i w Brodach – c.k. Gimnazjum im. Rudolfa w Brodach (k.k. Rudolf Gymnasium), uczące młodzież do 1907 r. w języku niemieckim otrzymało prawa nauczania w języku polskim i do 1913 r. zostało całkowicie spolszczone.

W latach 1874-1928 był członkiem Rady Miejskiej, w tym także wiceburmistrzem, zaś w latach 1889-1926 był radcą Izby Przemysłowo-Handlowej w Brodach, oraz wiceprezem i prezesem Izby.

W środowisku księgarskim również piastował wysokie stanowiska. W r. 1918 na Zjeździe Księgarzy Wschodniej Galicji założono Związek Dzielnicowy

Księgarstwa Polskiego we Lwowie, którego został prezesem. W r. 1924 Związek Księgarzy Polskich mianował Westa członkiem honorowym Związku z okazji 60-lecia jego pracy księgarskiej. Od r. 1931 był członkiem honorowym Polskiego Towarzystwa Wydawców Książek.

W roku 1907 otrzymał Złoty Krzyż Zasługi za działalność księgarsko-wydawniczą od Rady Szkolnej Krajowej we Lwowie. Odznaczenie to ma swoją znamieną wymowę skoro Rada ta była jak gdyby ministerium szkolnictwa dla całej Galicji.

W roku 1913 urządzono Westowi uroczysty jubileusz 50-lecia pracy księgarsko-wydawniczej. W swoim pamiętniku zapisał tak: „Rok 1913 był dla księgarni mojej rokiem bardzo znamienym. Pięćdziesiąt lat minęło, kiedy obrałem ten piękny zawód i bez przerwy pracowałem. Otrzymałem pisma od prawie wszystkich Instytucji naukowych w Kraju, od autorów i uczonych otrzymałem mnóstwo listów pełnych życzeń i uznania. Był to rok dla mnie pełen radości!... Po tym wspaniałym roku nastąpił rok 1914, rok, w którym rozpoczęły się kłęski moje!”

Istotnie. Wojna zniszczyła cały jego 50-letni dorobek. W roku 1916, gdy nastąpiła druga inwazja rosyjska West wyjechał ze starszym synem do Lwowa. Wtedy żołdacy rosyjscy rozmontowali i wywieźli na wschód całą drukarnię, zrabowali zapasy papieru, którego było ok. pięciu wagonów, zniszczyli część nakładów. West i syn powiększali i unowocześniali drukarnię przez wiele lat, a ci w ciągu tygodnia wszystko zrabowali. W r. 1917 West wrócił do Brodów i uruchomił księgarnię z resztek zapasu. W pamiętniku zapisał: „Dnia 1 listopada 1918 r., Rusini zajęli Wschodnią część Kraju. Rozpoczęły się rządy gwałtów, nadużyć i represji. Byłem na czarnej liście do aresztowania – synowie wpłynęli na mnie, abym wyjechał z Brodów”. I wyjechał wpierw na wschód, potem do Chyrowa do krewnych.

W lipcu 1920 r. armia Budionnego zajęła Brody. Isak Babel służył w tej armii i był przypadkowym świadkiem rabunku księgarni Westa. W swoim „Dzienniku 1920” tak to opisał:

„31.7.20 Brody... Przed odjazdem, taczanka czeka od rana na ul. Złotej, godzina w księgarni. Są tu wszystkie wspaniałe, nie rozcięte jeszcze wydania, albumy. Zachód, oto Zachód i rycerska Polska, wypisy, historia wszystkich Bolesławów i wydaje mi się czemuś, że to jest piękne. Polska – w lśniących szatach na zwiedłym ciebie. Grzebię w kupie książek jak wariat, biegnę do półek, a tu już potok, już grabią jacyś wstrętli, młodzi ludzie o marsowym wyglądzie – komisja d/s łupów. Odrywam się od książek z rozpaczą.” Komisja d/s łupów to po prostu żołdacy-grabieżcy.

Tak więc w czasie pierwszej wojny światowej drukarnia i księgarnia Westa zostały zrabowane. West wrócił do Brodów we wrześniu 1920 r.

W międzywojennym dwudziestolecu West odtworzył i prowadził tylko księgarnię. W r. 1925 zorganizowano we Lwowie wystawę książki polskiej, na której księgarnia Westa zaprezentowała z sukcesem 56 swoich najlepszych i najwartościowszych książek. W tym samym roku West utworzył u siebie skład główny na Wołyń wydawnictw „Książnicy Atlas” i Ossolineum.

Dla Westa całe dwudziestolecie było jednak trudnym



okresem. Był już od dawna wdowcem. Do tego w tym czasie zmarli jego obydwaj synowie. Skutki światowego kryzysu gospodarczego dotknęły także i Westa. Popadł w trudną sytuację finansową i w dotkliwe zadłużenia. (Czytając Przegląd Księgarski z lat trzydziestych widzi się wszakże wyraźnie, jak to w tym czasie kryzys objął całe polskie księgarstwo). W r. 1936 – aby częściowo spłacić długi – West sprzedał ze swojej prywatnej biblioteki komplet „Bibliografii Polskiej XIX stulecia” Karola Estreichera. Będąc już 90-letnim starcem – pomimo tak trudnych warunków – prowadził jednak wzorowo i z pietyzmem swoją księgarnię, która aż do wybuchu drugiej wojny światowej była w Brodach powszechnie cenionym przybytkiem oświaty i kultury. My Brodzianie dobrze pamiętamy tę księgarnię! Była ona dla nas – małych uczniów – jak gdyby świątynią książki. I samego Westa też pamiętamy – szczególnie stąd, kiedy patrzył na nas swoimi mądrymi, a dobrymi oczyma. Tak jak na fotografii!

W roku 1938 z okazji 75-lecia pracy księgarskiej Rada Miejska w Brodach nadała Westowi tytuł honorowego obywatela miasta i nazwała jedną z ulic jego imieniem. Tutaj przypomina się pewna anegdota związana z tym wydarzeniem. W tym właśnie czasie władze skarbowe zagroziły Westowi, że za zaległe podatki mogą zająć jego kamienicę. Pewien dowcipny brodzianin puścił wtedy w obieg następujący wierszyk: „Darowaliście mi ulicę, a zabrali kamienicę, us...m się na taki gest, z poważaniem Feliks West”. Ten nieprzychylny wierszyk obrazuje wszakże smutne sprzeczności losów, w jakich niestety przyszło wtedy żyć wielkiemu Westowi.

W r. 1933 otrzymał Srebrny Krzyż Zasługi, w r. 1935 Złoty Krzyż Zasługi, w r. 1938 Order Polonia Restituta I Klasy i w tymże samym roku Złoty Wawrzyn Akademicki za zasługi dla dobra literatury na wniosek Polskiej Akademii Literatury. Aleksander Krawczyński, także zasłużony księgarz, wydawca, antykwariusz i działacz księgarski był obecny na jubileuszu Westa w tymże 1938 roku w Brodach i tak pisał o tym później w Przeglądzie Warszawskim:

„...skierował zainteresowania swoich współobywateli, a zwłaszcza młodzieży, tylko na lekturę dobrą...”

„Usłyszeliśmy historię życia człowieka – w ciągu całego prawie wieku – życia pełnego zapału, rozumnego, a w czynach zawsze celowego, owianego duchem patriotycznym i dążeniem do czynienia dobra, do tworzenia rzeczy wartościowych, realnych i trwałych.”

Na zakończenie zaś relacji pisał tak: „...w momencie żegnania się, na podstawie Jego słów, spojrzeń – my księgarze odczuliśmy, że jakkolwiek obdarzonego zaszczytami i uznaniem, pozostawiamy Go – sędziwego, zmęczonego pracą, życiem, klęskami i bolesnymi doświadczeniami osobistymi i zawodowymi, mimo że w gronie życzliwych mu współobywateli, niestety samotnego, pełnego trosk i obaw o jutro. Jest naszym obowiązkiem, a będzie to właściwym wyrazem naszych dla niego uczuć, troski te od niego oddalić, przynieść ulgę na zasłużone lata Jego odpoczynku.”

Niestety, te życzenia nie spełniły się. Druga wojna światowa przyniosła całkowite zniszczenie księgarni i ciężkie doświadczenia dla samego Westa. W dniu 20 grudnia 1939 r. sowiecka władza w Brodach zażądała

od Westa opróżnienia lokalu księgarni do następnego dnia. Było to niemożliwe do wykonania, więc Sowietzi wywieźli książki i całe wyposażenie księgarni poza miasto i spalili. Przez cały okres wojny West utrzymywał się tylko z zapomóg Związku Księgarzy Polskich i księży parafialnych w Brodach.

W tym miejscu należy wspomnieć jeden znamienity epizod z tego czasu. W latach 1920-30 West utrzymywał stałe kontakty z niemieckim księgarzem L. Kittlem z Lipska, który przysłał mu w komis najcenniejsze wydawnictwa z klasyki niemieckiej literatury. W dniu wybuchu wojny pozostało z tego nie spłacone saldo obciążające Westa w wysokości 234 marek. W końcu maja 1940 roku Niemiec przysłał Westowi list (napisany w uprzejmym tonie) z prośbą o zapłacenie tego salda. Użył przy tym określenia: Da sich „Inzwischen geändert hat und bei Ihnen wieder regel Verhältnisse eingetreten sind...”. Otóż Polska została rozdarta przez dwóch napastników grabieżców, a ten pisze, że „u Pana znowu powróciły uregulowane stosunki”. Przykład niemieckiej perfidii!

West musiał znosić przez cały czas wojny skrajną biedę, pozostał sam, żona, synowie i siostra, prowadząca mu gospodarstwo domowe, wcześniej zmarli, do tego stopniowo tracił wzrok i słuch. W roku 1939 liczył 93 lata.

W marcu 1944 r. Niemcy zamierzali stworzyć z Brodów silny punkt oporu i zarządzili ewakuację całej ludności z miasta na zachód. West przybył do Lwowa 23 III 1944 r., gdzie zaopiekowali się nim księgarze, a przede wszystkim Aleksander Krawczyński, należący wówczas do konspiracyjnej Tymczasowej Rady Księgarskiej. 13 V 1944 r. West, pod opieką osoby towarzyszącej, wyjechał ze Lwowa do swojego wnuka Andrzeja Westa, który wówczas mieszkał i pracował w leśnictwie w Kłęczanach koło Nowego Sącza. W sierpniu tego roku West przeniósł się do Nowego Sącza. Przez półtora roku korzystał z zapomóg Krakowskiego Oddziału Związku Księgarzy Polskich. Zmarł 18 I 1946 r. i został pochowany na cmentarzu komunalnym w Nowym Sączu.

Żył 99 lat i 137 dni.

W miejscu, gdzie był jego grób, Koło Brodzian umieściło tablicę nagrobną dla upamiętnienia życia, zasług i śmierci tego Wielkiego Patrioty.



Pomnik na cmentarzu komunalnym w Nowym Sączu

# Stefan Pollo (1898-1969)

## Parę słów o moim Ojcu

Należał do pokolenia Polaków, które było szczególnie ciężko doświadczane przez historię, a jakże krótko było Mu dane korzystać z wiedzy i zasług.

Urodził się 1 stycznia 1898 roku we Lwowie. Jego Ojciec był nauczycielem. Parę lat później zmarła mu Matka, a Ojciec ożenił się powtórnie. Druga Matka była bardzo dobra i troskliwa, ale przybywało dzieci i w związku z tym warunki materialne były trudne. Z pierwszego małżeństwa było troje dzieci, z drugiego czworo. Trzeba było utrzymać, kształcić i wychowywać całą tę gromadkę. Nic dziwnego, że na starsze dzieci spadały liczne obowiązki rodzinne. Najstarsza siostra mojego Ojca była od Niego młodsza o dwa lata, a najmłodszy (przyrodni) brat o 18 lat. W rodzinie, jak to było w austriackim Lwowie, panowała atmosfera patriotyczna, co manifestowało się przynależnością dwóch podrastających chłopców (mego Ojca Stefana i młodszego o półtora roku brata Mieczysława) do organizacji skautowskich i innych, o ideologii niepodległościowej, a charakterze często półkonspiracyjnym.

Z chwilą wybuchu I Wojny Światowej – jako 16-letni gimnazjalista (uczęszczał wówczas do szkoły noszącej imię Franciszka Józefa), wstępuje do drużyn Bartoszewych i wkrótce do Legionów. Po paru miesiącach okazuje się, że kondycja fizyczna pozostawia wiele do życzenia i zostaje



wbrew staraniom zwolniony z czynnej służby. Pragnąc jednak w jakiś sposób służyć sprawie stara się o przeszkolenie wojskowe i dostaje się jako ochotnik (Freiwilliger – Einjähriger) do wojska austriackiego, w której pełni początkowo funkcje pomocnicze, ale z ukończeniem 18 lat zostaje wcielony do regularnej armii i skierowany na front włoski, gdzie przeżywa dramatyczne miesiące na linii frontu w Alpach. Krótkie urlopy wykorzystuje na kontynuowanie nauki w szkole i złożenie egzaminu maturalnego. Po załamaniu działań wojennych na tym froncie na własną rękę podejmuje powrót do Lwowa przez Węgry. Wyczerpany i trapiący dolegliwościami przybywa do rodzinnego miasta w połowie listopada 1918 roku. Trwa właśnie obrona Lwowa. Natychmiast dołącza się do walczących i pełni służbę na III Odcinku Bema. Po odsieczach w dalszym ciągu pozostaje w czynnej służbie uczestnicząc w walkach wokół Lwowa. W dniu



8 grudnia zostaje ciężko ranny pod Gliną Nawarią i wzięty do niewoli ukraińskiej. Miał przestrzeloną prawą rękę w łokciu (nigdy nie odzyskał w niej pełni sprawności), a odłamek szrapnela zgruchotał dolną szczękę. Nieprzytomnego i zalanego krwią, bez znaków życia, odciągano go na stos poległych. Opowieść rodzinna głosi, że dyżurujący oficer ukraiński, który dowodził oczyszczaniem pola bitwy dosłyszał jęk wleczonego Ojca. Podeszedł i mimo ran twarzy rozpoznał w Nim swego kolegę gimnazjalnego. Poleciał natychmiast przenieść Go do lazaretu polowego. Dalsze losy opisuje Ojciec w swojej relacji. Gdy odzyskał możliwość poruszania się, został przesłany do Kosaczowa pod Kołomyją, gdzie zorganizowany był obóz jeńców i internowanych. Jako baraki obozowe wykorzystano dawne stajnie. Warunki sanitarne były, mówiąc ogólnie, trudne, a dostawy żywności niekoniecznie regularne. Szerzyły się choroby zakaźne. Ojciec powrócił do Lwowa z „tyfusem powrotnym”, co jednak nie przeszkodziło Mu być czynnym podczas wyzwalań Kołomyi, o czym pisze On sam.

Mimo stanu wojny polsko-ukraińskiej daleko jeszcze było do skrajności, które nastąpiły podczas drugiej wojny. W Kołomyi utworzył się Komitet Pań dla opieki nad internowanymi, a władze ukraińskie nie przeszkadzały zbyt energicznie w kontaktach jeńców z mieszkańcami miasta. W samym obozie rozwijała się działalność kulturalna, czego wyrazem było wydawanie pisemka nazwanego z wisielczym humorem „Tygłodnik”, a także powstawanie różnego rodzaju odezw i manifestów, deklaracji. Miały one charakter patriotyczny, ale często były wyrazem refleksji cierpiącego człowieka, pragnącego zmanifestować swoją tęsknotę do normalnych stosunków międzyludzkich. Że często ubierało się to w romantyczno-młodopolską retorykę, nie można się dziwić – na takich tekstach wychowywało się to pokolenie.

Jak wspominałem, Ojciec powrócił bardzo schorowany i trapiący nawrotami choroby z częstymi atakami, powodującą wysoką gorączkę. Z tego powodu nie wziął udziału w wojnie bolszewickiej w 1920 roku, w której bohaterem rodzinnym został Jego brat, Mieczysław. Mimo przeszkód zdrowotnych i stanu materialnego rodziny studiuje na Wydziale Prawa Uniwersytetu Jana Kazimierza, który kończy bez opóźnień. Mam do dziś dyplom doktorski Ojca z autografem ówczesnego Rektora UJK, Jana Kasprowicza.

W roku 1924 Ojciec ożenił się z siostrzenicą swojej drugiej matki i uzyskał posadę sędziego w Delatynie, miasteczku nad Prutem w powiecie nadwórniańskim. Tam w 1927



roku przyszedł na świat Jego jedyny syn, tj. piszący te słowa. W parę miesięcy później Ojciec został awansowany do stanowiska prokuratora w Stanisławowie. Lata sukcesów zawodowych nie trwały długo. W roku 1935 niespodziewanie został zwolniony z czynnej służby w sądownictwie i po zaliczeniu zwielokrotnionych lat „służby” skierowany w wieku 37 lat na emeryturę. Był to wielki cios dla Ojca, który jak wielu Mu podobnych, nie angażował się w jakichkolwiek działalnościach koterii politycznych. Jak wielu Lwowian Jego pokolenia był po prostu patriotą i niepodległościowcem, nie umiał natomiast dyskutować swojego epizodu legionowego tak, jak czynili to niektórzy inni. Liczył, że swoją pracą i kompetencjami uzyska dalszy awans i wydawało się, że jest u progu uzyskania miejsca w Sądzie Apelacyjnym we Lwowie. Tam mieszkała cała rodzina i tam czuł się u siebie. Zdaje się, że wiadano, kto „przysłużył się” Ojcu, ale nigdy nie było o tym głośno w domu. Po paru miesiącach Ojciec uzyskał notariat (był to wówczas wolny zawód i mógł objąć to stanowisko jako emeryt) naprzód w Tłumaczu, a następnie w Kołomyi. Był to krótki, bo trwający zaledwie mniej niż cztery lata okres dość dobrej pozycji materialnej. Dysponując dość dużą rezerwą czasu, poświęcał się różnym rodzajom pracy społecznej, zwłaszcza w organizacjach deklarujących zaangażowanie patriotyczne, choć nie związane z opcjami politycznymi.

W dniu 17 września 1939 roku, jako zmobilizowany w sierpniu oficer służby czynnej przekroczył granicę rumuńską w Kutach i rozpoczął nową tułaczkę. Przez Włochy, Francję dostał się do Wielkiej Brytanii. Jako inwalida, nie służył w jednostkach liniowych, pełnił funkcje przy sztabie i w agendach afiliowanych przy rządzie emigracyjnym. Nie uchroniło Go to od dramatycznego wypadku, podczas Bitwy o Anglię zawałała się kamienica, w której mieszkał i tylko dzięki solidnej, starej szafie, która zaklinowawszy się, stworzyła niewielką pustą przestrzeń w masie gruzu, zdołał uciec z życiem. Po demobilizacji w 1945 roku znalazł się w trudnej sytuacji. Był chory, odezwała się nabyta podczas pierwszej wojny światowej gruźlica. Powrót do kraju był niebezpieczny, o pracę w Zjednoczonym Królestwie też nie było łatwo, pierwszeństwo mieli powracający z wojny Brytyjczycy. Próbował znaleźć miejsce w Argentynie, co jednak nie

zakończyło się sukcesem. Prowadził kancelarię porad dla Polaków, potrzebujących wsparcia prawnego w obcym kraju, ale z tego trudno było się utrzymać. Mój Ojciec miał zwyczaj jeszcze w przedwojennej Polsce nie tylko odmawiania przyjmowania opłat od biedniejszych klientów, ale sam nieraz ich wspierał. Jeszcze jako notariusz w Kołomyi wiem, że miał kontakty ze Stanisławem Vincenzem, który interweniował u Ojca w celu załatwienia jakichś spraw rejentalnych przez niepiśmiennych wówczas i ubogich Huculów. Mam powody sądzić, że podobnie w Anglii, gdy rodak poskarżył się, że nie może zapłacić, był załatwiany jak najlepiej i bezinteresownie. Ostatecznie udało mu się uzyskać zatrudnienie w jakimś przedsiębiorstwie, w którym prowadził korespondencję międzynarodową (Ojciec znał – oprócz greki i łaciny – ok. dziesięciu języków) oraz zajmował się prowadzeniem czegoś, co można by nazwać gospodarką materiałową. Tak „wysokie” stanowisko uzyskał oczywiście nie od razu, a po dłuższym okresie.

Właściwie mieliśmy jakieś formy kontaktu z Ojcem przez cały czas, choć czasem wiadomości wymieniane były różnymi drogami i nie zawsze tak często, jakbyśmy tego chcieli. Rok 1956 otworzył możliwość bezpiecznego powrotu do kraju bez obawy o represje za pracę w Niepodległej i za obecność na emigracji. Po powrocie Ojciec działał czas jakiś jako adwokat – oczywiście wówczas w spółdzielni. W 1963 roku, osiągnąwszy wiek emerytalny zatrudnił się na części etatu jako radca prawny. Sterany poniewierką dwóch wojen i ciężkim warunkami życia na emigracji zmarł na serce w 1969 roku w Gliwicach.

Gdy piszę to skrócone curriculum vitae mego Ojca, myślę: czy ono może kogoś obchodzić? Nie był nigdy postacią pierwszoplanową, nie stał się ani politykiem ani mężem stanu. W wojsku nie dosłużył się wysokich stopni. Jeżeli do czegoś się przyczynił w regionalnym wymiarze, to wicher dziejowy zmiotł to nie tylko z powierzchni ziemi, ale i z ludzkiej pamięci. Jeśli bywał wplątany w większe wydarzenia, występował jako jeden z wielu, uczestnik, statysta, widz. A przecież jest to życiorys i niezwykle i równocześnie bardzo typowy dla wielu Polaków tamtego pokolenia. A było to pokolenie, które całe swe życie po prostu, a beziemiennie walczyło o Polskę. □

## WSPOMNIENIA

Emil Hlib

### Moje chodzenie po Lwowie (c.d.)

#### Okupacja sowiecka

Gdy przyszli Sowieci, miasto jakby od razu poszarzało, zniknął beztroski śmiech, zaraz powstały kolejki za chlebem i innymi artykułami spożywczymi, sklepy zostały ogołocone z wszelkich towarów, a dawne wystawy świeciły pustkami.

Moje zajęcie polegało teraz na dostarczeniu drzewa na opał z pobliskiego (na Kleparowie) lasu magistrackiego i staniu w kolejkach po żywność. Najbardziej szkoda mi było ludzi z kół inteligenckich, grzecznych i ubranych jeszcze w porządne garnitury i w kapelusze („hücklach”) na głowie. Tacy nie potrafili przebijać się do przodu, byli wypychani z kolejki, zwłaszcza przez ludzi z prowincji. Z konieczności

sprzedawali wszystko z mieszkania, często za bezcen, by przeżyć jakiś czas.

We wrześniu 1940 r. zacząłem pracować na pocztę, jako listonosz. Przyjęto mnie wtedy do pocztowej orkiestry. Do obsługi miasta było około 120 rejonów, ja dostałem następujące ulice: lewa strona ul. Tomickiego (przedłużenie ul. Kopernika), ul. Kadecka do szkoły Kadeckiej, z powrotem ul. Herburtów i Lenartowicza. Dojście do rejonu miałem ładne, po wyjściu z poczty, po lewej stronie mijałem Ossolineum, a zaraz za pocztą cerkiew Św. Ducha i seminarium greckokatolickie, które na samym początku wojny zostały zbombardowane – ocalała tylko obok stojąca wieża,

sama cerkiew i seminarium greckokatolickie zostały zniszczone. Na ich miejscu zbudowano wielką centralę telefoniczną. Pod nr. 40 mijaliśmy pałac Sapiehy, który też został uszkodzony, zostało tylko skrzydło zachodnie, z wielką salą, z ogromnymi lustkami. Raz graliśmy w niej z powodu jakichś wyborów. Za tym pałacem był pałac Bielskich. Jak się dowiedziałem z książki Oli Watowej „Wszystko co najważniejsze...” rodzina Bielskich została wywieziona na Sybir i o dziwo mogła ze sobą dużo rzeczy wywieźć i nie cierpiała na zesłaniu niedostatku. Następnie szedłem koło studni kamiennej, strzeżonej przez rzeźby siedzących lwów z herbami Szolc-Wolfowiczów, patrycjusza lwowskich. Wyżej nad studnią był kościół i klasztor św. Łazarza, braci Albertynów. To z tego klasztoru, podczas okupacji niemieckiej znajdowaliśmy w materiale listowym przyniesionym ze skrzynek pocztowych, książeczki o tematyce religijnej, polskie piosenki drukowane i nowelki z pieczęcią Braci Albertynów. Dalej, po prawej stronie, była dawna Dyrekcja Policji, potem siedziba NKWD i Gestapo. Doręczaliśmy listy trzy razy dziennie, tak że jak poszliśmy rano do roboty, wracaliśmy w nocy. Pierwszym „chodem” doręczaliśmy listy i drobne kwoty przekazowe. Do doręczania większych kwot przeznaczeni byli specjaliści doręczyciele.

Drugim chodem doręczaliśmy listy i gazety miejscowe: „Czerwony Sztandar” ok. 70% i „Wolną Ukrainę” ok. 30%. Ogółem trzeba było roznieść ok. 400 sztuk, bo w kioskach nie zawsze można było kupić prasę. Trzecim chodem była doręczana prasa radziecka, przywożona z Moskwy i Kijowa samolotem, przeznaczona dla rodzin rosyjskich, upychanych gdzie się dało po większych mieszkaniach ludności Lwowa, oraz znowu trochę listów. Skrzynek „Hermes” na dole w kamienicy nie było i trzeba było wędrować po wszystkich piętrach i oczywiście wszystko doręczyć, bo od tego był wartownik, stojący przed salą listonoszy i sprawdzający od czasu do czasu, czy wszystko zostało doręczone. Ja, że byłem młody, to sobie jakoś radziłem, ale ci, prawie wszyscy przedwojenni bardzo się męczyli.

Wojna rozruciła Polaków po całym świecie i dlatego każdy czekał niecierpliwie na jakąś wiadomość, doręczaliśmy oprócz normalnej korespondencji listy ze stałagów i oflagów (jenieckie), od Polaków-tułaczy ze Związku Radzieckiego, (Semipalatyńsk, Czita, Archangielsk), a nawet listy z obu Ameryk, przeważnie przeznaczone dla Żydów. W moim rejonie mieszkało parę ważnych osobistości; na ul. Herburtów, w osobnych willach mieszkali: Mazzucato – właściciel „Książnicy Atlas” prof. Bartel, były premier Polski i Nikita Chruszczow, wówczas I sekretarz partii, albo Prezydent Radzieckiej Ukrainy. Nie przypominam sobie doręczanej korespondencji dla Chruszczowa, szła ona chyba drogą wojskową lub dyplomatyczną. Na ul. Kadeckiej pod nr. 18 mieszkał działacz i pisarz ukraiński Jarosław Gałań, który podobno ostro krytykował mordy nacjonalistów ukraińskich popełniane na Polakach i dlatego został w 1949 r. zamordowany w swoim mieszkaniu. Dlatego za Instytutem Weigla na ul. Jabłonowskiej – róg Zielonej postawiono mu pomnik. W sierpniu 1992 r. zlikwidowano ten pomnik, a w „Wiadomościach” ukraińskich napisano, że „bez żalu rozstają się z pomnikiem i bojowcem burżuazyjnego nacjonalizmu i klerkalizmu”. Pochowano go wtedy na głównym placu, przy drugiej bramie cmentarza Łyczakowskiego, pod pomnikiem Ordona, w otoczeniu jeszcze kilku działaczy ukraińskich, w tym Kuźmy Pelechatego, którego ulicę obecnie też zmieniono na Jeroszenka (d. Pilichowska).

Wracając do mojej pracy: na ul. Lenartowicza (chyba pod nr 16 mieszkał twórca tekstów do popularnych piosenek

Emanuel Schlechter, twórca takich tekstów jak: „Odrobinę szczęścia w miłości”, „Jedna jedyna”, „A mnie jest szkoda lata”, „Ja mam czas, ja poczekam”, no i twórca najpopularniejszej piosenki lwowskiej – „Gdybym się jeszcze urodzić raz miał – tylko we Lwowie”. Podczas okupacji niemieckiej Polacy chcieli mu dać schronienie, dawali aryjski Ausweis, ale nie godził się i mówił, że będzie cierpiał tak, jak cały jego naród żydowski. Zginął w getcie żydowskim.

Zebrania i akademie przeznaczone dla nas odbywały się na głównej pocztce na II piętrze. Za stołem przykrytym zielonym sukniem siedziało prezydium, a na mównicy szalał agitator, włosy leciały mu na oczy, wymachiwał rękami, co chwila nam przypominał, że zostaliśmy wyzwoleni, że wszystkie narody grabią obce ziemie, uciskają narody, a oni, nic podobnego – wyzwalają. Na zakończenie orkiestra grała międzynarodówkę – na siedząco, podczas gdy wszyscy stali.

Nie robiono prawie wcale prób z orkiestrą, z wyjątkiem akademii graliśmy tylko coś dwa razy: na święto rewolucji i 1 Maja, poza tym coś dwa razy w naszym klubie związkowym przy ul. Głębokiej (Lwów 13). Na zabawie – mimo wojny niektórzy się bawili, trochę nasi, trochę oni i Żydzi. Do różnych pomieszczeń na pocztce trzeba było najpierw wystarać się o przepustkę, bo na każdym piętrze stał wartownik, tak samo i do sali listonoszy.

Złe do „podkładania” były listy nadchodzące ze Związku Radzieckiego: w formie trójkątów, zakładane jakoś bez kleju, wchodziły jeden do drugiego i nie chciały trzymać się kupy. Przy datowaniu listów trzeba było uważać, by, broń Boże, nie uderzyć w podobiznę głowy Stalina lub Lenina, tylko w ramię – w razie nieprzestrzegania tego, można było się zapoznać z białymi niedźwiedziami.

Każdy listonosz miał w inny dzień wychodne, ażeby praca odbywała się bez przerw. Podczas jego nieobecności chodził za niego skoczek, który obsługiwał 6 rejonów; co dzień był inny, a on sam miał wolny każdy siódmy dzień. To było dobre dla władzy, by np. po kościele nie zbierano się i czegoś nie knuto.

W czasie doręczania listów na ul. Tomickiego 1, jakaś pani z I p. powiedziała mi w ostrożnej formie, że na podwórzu więzienia strzelają do skazańców. Było to w styczniu 1941 r., a więc daleko jeszcze do wojny niemiecko-radzieckiej z czerwca 1941 r. Wiedziałem, że rozstrzeliwania odbywają się w więzieniach, bo nawet na ten temat się pisze i śpiewa. Gdy ona znowu po kilkunastu dniach o tym mówiła, wówczas zapytałem, jak to się odbywa. Ta pani powiedziała, że w środku nocy wjeżdżają samochody ciężarowe na podwórze więzienia (które było widać z okna tej pani) z zapalonymi reflektorami i przy zapuszczonych motorach wyprowadzają więźniów na podwórze i rozstrzelują. Widocznie ta pani, będąca mimowolnym świadkiem popełnianego morderstwa, a nie mająca pewności co do swego życia, chciała w jakiś sposób powiadomić i dać znać społeczeństwu, jaka to tragedia kryje się w murach tego więzienia. W miesiącu marcu 1941 r. odebrano mi ul. Tomickiego, Kadecką i Herburtów, a dodano ulice: Marii Magdaleny, Chodkiewicza i Nabelaka do nr. 35 plus Lenartowicza z poprzedniego rejonu. Na ul. Marii Magdaleny był komisariat milicji i nieraz przy doręczaniu korespondencji widziałem, jak przyprowadzali „wrogów ludu”, m.in. raz widziałem księdza, słusznego wzrostu, gdy przy stole na milicji siedział przez trzy dni. W kwadracie ulic: Marii Magdaleny, Nabelaka, Lenartowicza i Potockiego w kilkunastu willach były też miejsca kaźni, gdyż czasem, wieczorem, przy doręczaniu słyszałem skargi i jęki udręczonych. (c.d.n.)



## Zanim była akcja „Wisła”

Czytając w czasopiśmie „Semper Fidelis” nr 1/42 artykuł pt. „Karykatura historii najnowszej” Edwina Rozłubirskiego, przy wzmiance o tragedii strażnicy w Jasielu, odżyły wspomnienia oraz wiedza moja o szczegółach zająć, jakie miały miejsce 18.03. 1946 r. na strażnicy w Jasielu.

Dowódcą tam był mój wujek, chor. Władysław Papieżański. Został on zmobilizowany do wojska polskiego w 1944 r., po wkroczeniu Rosjan do Lwowa.

Koniec wojny nie był końcem działań wojennych. Dopiero wtedy rozgorzały walki na granicy wschodniej z banderowcami. Zachował się list Władysława Papieżańskiego z dnia 3. 03. 1946 r. (dwa tygodnie przed jego śmiercią):

Wujek marzył o zwolnieniu z wojska. Wg książki Henryka Dominiczaka pt. „Wojska ochrony pogranicza w latach 1945-1948” s. 220 „... dnia 17.03 46 r. wieczorem dowódca strażnicy jasielskiej chor. Papieżański uzyskawszy jeszcze połączenie ze sztabem komendy zagórzańskiej, zameldował dowódcy mjr. Frołowowi o koncentracji większych ilości sił banderowskich i coraz większym napięciu w tym rejonie. Meldując o tym chor. Papieżański prosił jednocześnie o zezwolenie wycofania załogi strażnicy do Komańczy, ponieważ siłami 30 żołnierzy nie czuł się w stanie obronić strażnicy”. „18 marca mjr Frołow wydał polecenie swemu zastępcy, aby utworzył grupę bojową z części żołnierzy strażnic w Komańczy, Radoszyczach, Łupkowie, Woli Michowej oraz posterunku milicji w Komańczy. W następnym dniu grupa ta składająca się z 68 żołnierzy, w tym 6 oficerów, wyruszyła o g. 8-ej z Komańczy w kierunku Jasiela.” „Żołnierze o godz. 13 dotarli szczęśliwie do Jasiela. Przybycie posiłków wywołało duży entuzjazm wśród załogi strażnicy jasielskiej. Izolowana i nękana przez przeważające siły wroga (UPA) załoga poczuła się pewniej i bezpieczniej. Kończył się dla niej okres osamotnienia i bezsilności.” „Noc przeszła spokojnie.” „O godz. 7.30 oczekujące dotąd we wsi sianie i furmanki ruszyły do przodu, a wraz z nimi żołnierze. Zaledwie kolumna zdążyła wyjść poza obręb wsi, gdy nagle rozległy się przeraźliwe gwizdy i potworny huk detonacji wstrząsnął powietrzem”. „Nie było wątpliwości, żołnierze wpadli w przygotowaną zawczasu zasadzkę. Banderowcy rozmieszczeni na pobliskich wzgórzach opadających lekkim skłonem w stronę wsi prowadzili huraganowy ogień ze wszystkich posiadanej broni.” „Banderowcy po gwałtownym i huraganowym ogniu ruszyli do ataku. Ponad 1000 strzelców zatoczywszy tyralierą olbrzymie półkole z dzikim wrzaskiem zaczęło zbliżać się i atakować pozycje żołnierzy. Gdy podeszli na skuteczność strzału, ogień żołnierzy wzmógł się na całej linii. Walka nie ustawała ani na chwilę. Banderowcy dufni w swą ponad 10-krotną przewagę ponownie przystąpili do szturmów. Walka stawała się coraz bardziej zacięta. Trwała już ponad godzinę. Tymczasem topniała amunicja. Żołnierze i oficerowie z przerażeniem spostrzegli, że jest jej coraz mniej. Wydano rozkaz oszczędzania amunicji, ogień znacznie osłabł. Banderowcy zachęceni tym, natarli z jeszcze większą siłą. Udało im się wdrzeć do wsi i rozciąć obronę polską na kilka części. Pochłonięci jednak przez przeważające siły wroga, nie mając amunicji i nie mogąc liczyć na żadną pomoc, musieli w końcu ulec. Banderowcy spędzili jeńców w jedno miejsce, krępując im z tyłu ręce kablem telefonicznym. Nie obyło się bez bicia kolbami, kopania, poszturchiwania, wymyślań i pogroźek w rodzaju: Hej, Lachy, teraz budem rezaty, itp. Położenie ich było tragiczne. Pod ciosami kolb i wymyślań popędzono wszystkich w stronę wsi Mszaniec. Niedaleko niej w lesie zatrzymano jeńców. Zdarto z nich płaszcze, a następnie przeprowadzono wstępne dochodzenie i przesłuchanie. Potem oddzielono od całej grupy oficerów i milicjantów i pod silną eskortą uprowadzono w głąb lasów. Zatrzymano ich w rejonie leśniczówki. Tutaj po zdarciu z nich mundurów i przeprowadzeniu jeszcze raz śledztwa, nie szczędząc

razów, usiłowano wydobyć z nich potrzebne wiadomości wojskowe. Gdy się to nie udało, na wpół żywych oficerów i milicjantów zawleczono do wykopanych przez strzelców dołów i tam rozstrzelano. Ciała ułożono po jednej stronie dołu i lekko przysypano ziemią. Tak zginęli męczeńską śmiercią oficerowie: por. Jan Gierasik, por. Bolesław Arabski, por. Władysław Szewczykowski, por. Jerzy Giernatowski, ppor. Stanisław Gąska i chor. Władysław Papieżański – dowódca strażnicy jasielskiej.

Tymczasem drugą grupę, wśród której znaleźli się pozostali więźni do niewoli żołnierze, pod razami kolb i silnym konwojem odprowadzono do Wisłoka Górnego i zamknięto w jednej ze stodół.

Na drugi dzień, skoro świt, poderwano żołnierzy na nogi i podzielono na dwie grupy. W mniejszej, liczącej 13 osób, znalazła się większość podoficerów i najbardziej aktywnych w zwalczaniu UPA szeregowców. Grupę tę otoczyło 15 uzbrojonych strzelców i odprowadziło w stronę pobliskiego lasu. Żołnierze znaleźli się wkrótce na niewielkiej polanie, na której ujrzeli świeżo wykopany, prostokątny i niezbyt głęboki dół, częściowo w jednym końcu przysypany ziemią. Byli w tym samym miejscu, gdzie poprzedniego dnia rozstrzelano oficerów. Nie ulegało więc wątpliwości, że żołnierzy przyprowadzono tutaj na stracenie. W pierwszej kolejności odczytano z listy kpr. Ławrynowicza, szer. Sudnika i Giersztana. Jako pierwszego pchnięto do wykopu kpr. Ławrynowicza, a następnie serią z pistoletu maszynowego pozbawiono go życia. Potem chwycono szer. Pawła Sudnika. Mimo silnego pchnięcia Sudnik nie wpadł do wykopu, lecz zatrzymał się tuż nad jego skrajem. Pchnięty ponownie z dużą siłą nie upadł na dno dołu, ale odbiwszy się mocno nogami, siłą impetu wyskoczył na drugi jego skraj. W tym momencie rozległa się seria z pistoletu. Sudnik poczuł piekący ból w łydce. Nie zwracając na to uwagi jednym susem przeskoczył piaszczysty wał i pędem, ile miał tylko sił, rzucił się w gęstwinę lasu. Oniemieli początkowo z wrażenia banderowcy wszczęli pościg, prowadząc za uciekającym gęsty ogień z pistoletów maszynowych. Jeden z pocisków rozszarpał Sudnikowi wierzchołek małżowiny usznej. Nie zważając na nic pędził dalej do przodu, brnąc bosymi stopami po śniegu. Mimo związanych do tyłu rąk coraz bardziej oddalał się od swych prześladowców – wreszcie oderwał się od pościgu zupełnie.”

W czerwcu 1946 r. P. Sudnik poprowadził wojsko na miejsce egzekucji grupy jasielskiej. Ekshumowano ciała i pochowano w zbiorowej mogile w Zagórze. Dziś mogiłą opiekują się mieszkańcy Zagorza.

W 1945 r. ze Lwowa przyjechała do Wrocławia moja ciocia, żona zamordowanego Władysława Papieżańskiego (wówczas jeszcze żył), Maria Papieżańska z półrocznym dzieckiem – Jackiem. Spotkała męża, który otrzymał parodniowy urlop. Widział syna pierwszy raz i ostatni – poszedł do wojska przed jego urodzeniem. W marcu 1946 roku korespondencja się urwała. Ślad po nim zaginął. Ciocia starała się dowiedzieć u władz wojskowych o losie męża, bez rezultatu. Łudziła się, że wujek przeszedł granicę i dostał się na Zachód. Nie mając wiadomości, myślała, że nie chce narażać jej na jakieś kłopoty. Wiadomo, wtedy źle widziane było posiadanie rodziny na Zachodzie. Władze wojskowe też nie dawały pewnych informacji o losie zaginionego wujka. W końcu trzeba było ustalić status prawny żony i dziecka. Dokumenty otrzymane od wojska, były podstawą uznania Władysława Papieżańskiego przez sąd we Wrocławiu jako zaginionego w niewiadomych okolicznościach. Ciocia długo jeszcze się łudziła, że mąż żyje.

Po wielu latach dotarła do żony i syna książka pt. „Gdy umilkły ostatnie strzały” Teofila Bieleckiego i Jana Ławskiego, wydana w 1969 r., w której opisano na podstawie relacji Pawła Sudnika (który zdołał zbiec podczas egzekucji) tamte wydarzenia.

Rodzina dowiedziała się dopiero w 1975 r. o okolicznościach śmierci i miejscu pochówku dowódcy strażnicy w Jasielu, Władysława Papieżańskiego. Nie wiadomo, dlaczego ciocia moja nie mogła tych informacji uzyskać z archiwum wojskowego. Po ponad 30-tu latach żona odszukała i odwiedziła pierwszy raz grób męża.

Drogi!

List wasz otrzymałem i ze strony bardzo dziękuję,  
listy które otrzymałem to jest jedyna moja rozrywka.

Jak już wam wiadomo że jestem d-eg strażnicy  
i mam do dyspozycji kilkanaście koni, warty, zastalino  
musiałem jechać konno 50 km, wprawdzie na niośle,  
ale tak się zmagam bo to była moja pierwsza i tak  
małutka podróż, na warty też chodzi są piękne i jedy,  
a kiedyś mogłoby być wam... nie wiem...  
Wszystko byłoby to dobre, gdyby był spokojny, m.p.

drin wystąpił 5 ludzi do demobilizacji, to ślepa ich  
banderowcy rozbili, zabrali pieniądze, brzoły  
pieniędzy i osobiste rzeczy i tak ich puścili, jedynie  
został ranny wojownik który ich wstrząsł, cywil ukraiński.

Takie rzeczy to są na porządek dzienny  
a jak bąsą to jeszcze mordują i męczą, wieści tu są  
cyfry ukraińskie, a jak się tego wykastuje to sam niewiem  
później byłam na froncie, a drin to też jak front,  
nawet gorzej, bo niewiem z której strony padnie strzał...

Później już dwa ja raporty o zwolnieniu, ale o ile  
się nie mylę to te raporty idą do końca, a jak długo jeszcze  
będą służyć to nie wiadomo, są ludzie i którym udało się  
służyć to ich nie biorą a frontowych jak jak ja nie zwolniają

Bardzo się cieszę że drin jest zdrowy jak i wy  
i to jedynie mię trzyma.

Dozwolę sobie więc że wam drin dobre się uro,  
tylko uważajcie żeby tak często się nie rozbiegli, serdecznie  
ich ścisnąć, no a nie ktoś kto będzie uważał? chyba sama?

Lokacji z bliskiej... twoich imieniem  
przesyłam ci serdeczne życzenia oraz wszystkiego  
wykonania z radością.

Na ten koniec i serdecznie was wszystkich  
pozdrawiam

Władysław

Z lewej: oryginalny list  
chor. Władysława Papieżańskiego  
pisany w Komańczy, pow. Sanok  
u p. Juraszów, ul. Kwaterowa 2.



Chorąży Władysław Papieżański,  
ur. 18.06.1910 r. we Lwowie,  
zdjęcie z 8.08.1945 r.



## Miejsce urodzenia – Chodorów

To jest tak jak z lustrem – jego jednolita, niezmienna struktura przechwytuje setki różnorodnych obrazów. Nasze ludzkie lustro – umysł – przechwytuje obrazy nie zawsze tak samo wyraźnie, ale zawsze będące odbiciem jakiejś rzeczywistości. Nasz kod genetyczny wzbogaca się o tę rzeczywistość, która w przyszłości stymuluje nasze zachowania, pragnienia i to, co nazywamy bytem. Świadomie czy też nieświadomie sięgamy do zapisów w szarych komórkach, z upływem lat do tych najwcześniejszych, o barwach czystych, pragnieniach niewinnych. Zarejestrowane sygnały, w tym głównie wzrokowe i słuchowe, czyli bardzo opisujące otaczający nas świat, mają kapitalne znaczenie dla całego naszego dalszego rozwoju. W dorosłym życiu jakże często nasze zachowanie się, nasz byt często są replikacją tego, czym nasiąkliśmy, co obok kodu genetycznego, raz i na zawsze otrzymanego, musiało zaistnieć, by obok materii zaczął unosić się duch. Replikacja odbywa się zazwyczaj w najbliższej przestrzeni z jej niezbywalnymi atrybutami: krajobrazem, barwą, światłem, ze szczegółem ocalonym na zawsze.

Dla mnie nagromadzeniem tego wszystkiego jest miściną niewielką – Chodorów – miejsce urodzenia, położone nad Ługiem, lewym dopływem Dniestru, jeszcze w dość wczesnym jego biegu. Ten dopływ to rzeczulka niezbyt szeroka, uwikłana meandrowaniem wśród łąk, stawów i olchowych łęgów, uchodzący do Dniestru, gdzieś tam na południe od Żurawna. Przez Chodorów rzeka płynęła spokojnie, wyhamowana przedmłynną groblą z mostem i przepustami, by potem uwikłać się w dobrowlańskie, tatarakowe rozlewiska.

Całe to rzeczno-łąkowo-olchowe środowisko wyniosło się poza miasteczko, omijając je szerokim zakolem kąpanym w tataraku i nenufarach. Sielskość tego krajobrazu, jego letnia i zimowa jasność trwa i trwa.

W miasteczku poszukiwałem miejsca urodzin, czyli domu parterowego, białego o ciemnym dwuspadowym dachu, okolonego kwiatowym bukietem ogrodu i kąpanego w sadzie jak w obłoku. Takie tam bywały sady, najczęściej wiśniowo-śliwkowe. Dom ten stał jeszcze w latach trzydziestych. Był oddzielony od głównej ulicy sztachtami parkanu i wiodła doń ogrodowa ścieżka otulona kwitnącymi krzewami. Pokazywano mi go w czasie wakacyjnych przedwojennych pobytów w Chodorowie i tuż obok położonych Dobrowlanach. W latach dziewięćdziesiątych nie odnalazłem już tego domu. Nawet nikt z żyjących tubylców o nim nie pamiętał. Pozostały jeszcze jakieś zdziczałe śliwy i pokrzywowo gęszcz nieprzystępny, a na jego obrzeżu ważny teraz skwerek, bo z nieodłącznym pomnikiem ukraińskiego wieszczki w ogrodzeniu żeliwnych sztacht, jako żywo zaplątanych w trzuby. Od tego skwerku bierze początek ulica przyciągająca całe miasteczko. Są tu cerkwie, szkoły, handlowe magazyny – architektoniczne szkaradzieństwo, cerkiew, ale prześwitują też ogrody z parterowymi domkami z rabatkami jarzyn i kwiatków. Małomiasteczkowy pejzaż uliczny kończy się groblą i stawem, przyszkolnym boiskiem i rzymskokatolickim kościołem parafialnym, moim „chrześnym”. Oczywiście niewiele z przedwojennych lat spędzo-

nych w miasteczku pamiętam, bo wakacyjne chwile płynęły wiejsko, leśnie i wodniacko w pobliskich Dobrowlanach, a miasteczkowe ulice przemierzałem bryczką na niedzielne nabożeństwa, bądź wózkiem jednokonnym z woźnicą – Rusinem, gdy zechciał mnie zabrać z odstawanym mlekiem. Zapamiętałem, że tam, gdzie teraz boisko szkolne, było w dni świąteczne nagromadzenie koni, wozów, bryczek. Polacy dominowali wyznaniowo w mieście, dołączało okoliczne ziemiaństwo i polska ludność wiejska. Bywało więc i ludno, i gwarno przed kościołem w dni świąteczne. Prócz religijnych zgromadzeń, nie zaniedbywano też i spotkań towarzyskich. W czasie tych króciutkich pobytów w Chodorowie nie uczyniłem wówczas czegoś, czego do dzisiaj bar-



*Jedna z głównych ulic Chodorowa (wrzesień 1996)*

dzo żałuję: nie byłem w rodzinnym domu. Stał przecież jeszcze, trwał. W młodości przebiegamy obok takich okazji, które najczęściej już się nie powtarzają. Rodzice także nie opowiedzieli mi, jakim ten dom był wewnątrz, jakie były pokoje, gdzie się, jakie wejście na strych, bo zapewne istniało, a przecież strych to zawsze królestwo takich domów dzieciństwa. Zagłębicie do „Domu pod żelaznym lwem” W. Szolgini. Jakież tam bajkowe opisy strychu znajdziecie. Rodzice mieszkali w Chodorowie krótko – wywędrowali do Lwowa, może dlatego nie przywiązali się do domu, do miejsca. Winię także siebie, bo mogłem pytać, ale powiedzcie

drodzy Czytelnicy: ilu z Was to zrobiło? Ilu przeoczyło upływanie czasu wraz z rodzicami. Teraz żale niewczesne, a i historia nasza uboższa, albo umknęła bezpowrotnie. Okruszyny tamtego czasu są jak ziarenka piasku, jak odłamki najdrobniejsze rozbitego zwierciadła, ale to przecież z takich drobin powstaje historia. Tym cenniejsza, bo jest to historia utraconego Podola.

W latach ostatnich odwiedzam kościół w Chodorowie. Chrzcielnicy nie znalazłem, nie zachowała się, ale zachował się wpis mojego aktu chrztu w księdze metrykalnej. Sprawdził to ks. A. Mednis, gdy zapowiedziałem się listownie, że przyjadę. Chciał mieć pewność, że rzeczywiście parafianin. Bryła kościoła teraz inna, dach mniej stromy: pozostałość po hali sportowej. Trójdzwonnej bramy wejściowej nie ma – wyburzona. Ale w 1997 roku był już zrekonstruowany barokowy fronton. Dobudowano boczną kaplicę. Proboszcz i



*Jerzy Masior z ks. A. Mednisem przed wyremontowanym kościołem (wrzesień 1996).*

dziekan tamtejszy, ks. Augustyn Mednis, z pochodzenia Kurlandczyk, mówiący jednakże piękną polszczyzną, dba o przywrócenie pierwotnego kształtu świątyni. Sam mieszka na kościelnym strychu, adaptowanym wprawdzie, ale warunki tam spartańskie. Trzeba jednakże tam zaglądnąć, bo kapłan prócz obowiązków kościelnych i parafialnych uznał także za swą powinność ocalić wszystko, co po nas tam pozostało. Nie ustaje w gromadzeniu ksiąg, obrazów, rzeźb, tamiecznych utensyliów czasu minionego. Kościół o schludnym, choć ubogim wystroju jest przybytkiem tych, co tam trwają w wierze i polskości. Niewielu ich w Chodorowie pozostało. Potrzeby kościoła są wciąż spore: strop, dzwonni-

ca, może organy, może dzwony i wiele, wiele sprzętu kościelnego. Ks. Mednis znany jest we Lwowie i okolicy z tego, że sam szyje szaty kościelne, a przy tym dogląda dekanatu, w którym jest przecież parafia w Stryju, w Skolem...

Moja pierwsza powojenna wyprawa do Chodorowa była z zespołem wokalnym „My – 16” ze szkoły im. Orłąt Lwowskich z Nowego Sącza. Jakież było moje zdumienie, gdy mimo południowej pory wszystkie dzieci z zespołu przystąpiły do Komunii, w tym tu moim „chrzestnym” kościele. Dzień za oknami był pochmurny, ale w tej właśnie eucharystycznej bardzo chwili, poprzez szczelinę w szarych obłokach promienie słońca rozjaśniły wnętrze świątyni, padły na klęczące dzieci. To nie literacka fantazja i zwidy. Do cudów mam sceptyczny stosunek, ale wiercie mi – tak było. Króciutka jasność pośród szarego dnia. Sfotografowałem te klęczące dzieci i tę jasność. Czyż nie miałem prawa być wzruszonym? Koło czasu zamknęło się. Stąd wyruszyłem w życie z nadanym mi w tych murach imieniem i tu powróciłem po długim już bytowaniu z gromadką dzieciaków. Znów czegoś tam początek...

Zdarzyło mi się chodzić także po nocnym Chodorowie. Miasto jest bardzo skąpo oświetlone i spacer nawet główną ulicą trzeba było zakończyć gdzieś koło dawnego młyna i mostu na Ługu. A to był już prawie koniec miasta. Noc dzwoniła ciszą i siała gwiazdami. Takie bywają noce na Podolu – jeszcze teraz. Przygarnął mnie do snu serdeczny Staszek Cebula, prezes tamtejszego TKPZL. Zajmował się wtedy odbudową dachów na remontowanych świątyniach.

Miasteczko jest teraz zdominowane przez ludność ukraińską, stąd pięknie odnowiona cerkiew przy głównej ulicy. I tu osobiliwość: na przycerkiewnej murawie ustawiono dawną, przydrożną Madonnę, której tors bez głowy i stóp wyłowiono z mulistego dna tutejszych rozlewisk Ługu. Była przecież zagrożeniem dla ustroju. Ta chodorowska Madonna powróciła wcześniej na swoje miejsce niż mariacka we Lwowie.



*Wyłowiona ze stawu Madonna. Stała przed wojną przy głównej ulicy Chodorowa. Teraz przy cerkwi. Widać dorzeźbione fragmenty figury: głowę i nogi.*

*(dokończenie na str. 26)*



# Znowu Wielkanoc!

Jak co roku – to największe w Kościele katolickim święto Zmartwychwstania Pańskiego kojarzy się nam z budzącą się do życia przyrodą i piękną, wiosenną, słoneczną pogodą.

Zwyczajnie związane z obchodem Świąt Wielkiej Nocy rozpoczynają się od Palmowej Niedzieli, kiedy to palmy – przystrojone gałązki wierzby i leszczyny kupujemy i święcimy w kościołach oraz trzymamy w naszych domach dla zapewnienia zdrowia i ogólnego powodzenia do następnej Niedzieli Palmowej.

Cały Wielki Tydzień upływa pod znakiem przygotowań i oczekiwania Wielkiej Niedzieli, tak w Kościele, jak i w naszych domach.

To dni skupienia, modlitwy, spowiedzi wielkanocnej, odwiedzania grobów chrystusowych w kościołach, a w domach generalnych wiosennych porządków, przygotowań świątecznych, m.in. malowania jajek: pisanek, kraszane, strojenia mieszkań, przygotowania jądła świątecznego, które w części zostaje poświęcone w Wielką Sobotę.

*Kapłan jadła i napoje  
poświęconą kropi wodą.  
Wielki Boże, dary Twoje  
Niech do grzechu nas nie wiodą.*

(Wł. Syrokomla)

Właśnie jedną z największych atrakcji tych świąt jest wielkie objadanie się po czterdziestodniowym poście. Kiedyś czekając z niecierpliwością na ten dzień już od Palmowej Niedzieli tak śpiewano:

*Dobre placki przekładane  
i kielbasy nadziewane.  
Daj mi Chryste zażyć tego  
Daj doczekać święconego.*

Wielkanoc zawsze była i jest w Polsce rodzinnym świętem poświęconym jedzeniu. W ostatnich latach więcej już uwagi zwraca się na jakość i ilość jedzenia oraz więcej osób korzysta ze spacerów i wyjazdów na łono natury.

A jak jedzenie – to na stole muszą pojawić się prawdziwe wielkanocne dobre wypieki.

W nr. 2 SF z 1995 r. podałam rodzinne przepisy na babę wielkanocną, cwibak, mazurek orzechowy z polewą czekoladową. Dzisiaj podam następne z tego samego źródła:

## Baba Babci Młoci:

1/2 litra żółtek i szklankę mąki utrzeć do białości. Rozrobić z 1/4 litra letniego mleka i wlać to wszystko do 1 litra przesianej mąki. Dodać 3 łyżki stołowe drożdży, rozartych z niewielką ilością cukru (ok. 1/2 łyżeczki), 1/4 łyżeczki soli, 1/2 laski wanilii utłuczonej w moździerzu, skórkę cytrynową startą z 1-ej cytryny, mały kieliszek rumu. Ciasto wyrabiać ok. 30 minut i odstawić nakryte ściereczką, żeby nieco podrosło. Następnie wlać 1/2 szklanki letniego masła i dalej wyrabiać ciasto ok. 30 minut, a przy końcu wyrabiania dodać 5 dkg rodzynek, 3 dkg sparzonych i cieniutko pokrojonych migdałów, 5 dkg drobnutko posiekanej, usmażonej skórki pomarańczowej. Zostawić do wyrośnięcia. Po wyrośnięciu nałożyć do wysmarowanej masłem i wysypanej mąką formy lub foremek do wysokości 1/3 i znowu pozostawić do wyrośnięcia. Jak forma będzie prawie pełna, ostrożnie wstawić (aby nie opadła) do średniogórnego piekarnika i piec ok. 50 minut. Upieczoną babę lub babki

(sprawdzić drewnianym patyczkiem czy sucha) po wyjęciu z pieca pozostawiamy w formie do 1/2 godziny, żeby wystygła. Wyjmujemy ostrożnie, najlepiej na sito, żeby się nie zgmiotła. Po pełnym ostygnięciu – posypujemy cukrem pudrem.

## Mazurek „snopkowski”

1 1/2 szklanki mąki posiekać z 12 dkg masła, dodać szczyptę soli, 2 łyżki mąki cukru, 2 łyżki gęstej śmietany, 1/4 laski utłuczonej wanilii, 3 ugotowane żółtka i 2 surowe żółtka. Ciasto wyrobić i upiec na wysmarowanej masłem prostokątnej blaszce na jasny kolor. Po ostygnięciu placek posmarować dżemem morelowym, wymieszanym z drobno posiekanymi orzechami włoskimi (ok. 6 dkg). Następnie całość posypać drobno pokrojoną smażoną skórką pomarańczową.

Z 5-ciu białek ubić sztywną pianę, przy końcu ubijania dodać 2 łyżki cukru pudru, 1/4 laski wanilii utłuczonej w moździerzu. Pianę rozłożyć na posmarowanym dżemem placku, posypać grubo posiekanymi orzechami (ok. 6 dkg) i wstawić do piekarnika na ok. 12-15 min., żeby piana się lekko zrumieniła. Po ostygnięciu wyjąć z formy.

## Pascha wielkanocna

1 kg dobrego, tłustego, świeżego sera zemleć w maszynce. 15 dkg dobrego masła ucierać w makutrze na pianę, następnie dalej ucierając dodać po żółtku (aż do 10-ciu) i cukru mąki (aż do 2 szklanek). Do dobrze utartej masy dodawać po łyżce zmielony ser, posiekane bakalie i 1/2 laski utłuczonej wanilii, utrzeć na jednolitą masę. Bakalie to: 5 dkg migdałów sparzonych, obranych ze skórki, cienko pokrojonych w paseczki, 5 dkg rodzynek, 5 dkg posiekanych orzechów włoskich oraz po 3 dkg pokrojonych w paseczki daktyli, fig i cykady.

Utartą paschę zawijamy w złożoną gazę na sicie lub w durszlaku, względnie dajemy do specjalnej formy, przyciskamy obciążoną ciężarkami deseczką (ciężarki ok. 2 kg) i wkładamy do lodowni, najlepiej na noc. W tym czasie wyćieka serwatka.

Na drugi dzień paschę układamy na okrągły talerz i przybieramy konfiturami z wiśni i pokrojoną w paski usmażoną skórką pomarańczową.



## Sernik wiedeński Adeli

1 kg dobrego, tłustego, świeżego sera przepuszczamy przez maszynkę. 15 żółtek ucieramy w makutrze z dwiema szklankami miążkiego cukru, łączymy z uprzednio utartym na pianę masłem (25 dkg). Dalej razem ucieramy i dodajemy po łyżce utarte ser. Do jednolitej masy dajemy 1/2 laski wanilii utłuczonej w moździerzu, 3/4 szklanki rodzynków, 3/4 szklanki drobno posiekanej usmażonej skórki pomarańczowej, 1/4 szklanki cykaty, 3 łyżki kaszki manny. Całość lekko mieszamy, dodajemy ubitą na sztywno pianę z 15 białek i po dokładnym połączeniu przekładamy do tortownicy, wysmarowanej masłem i wysypanej tartą bułką. Sernik pieczemy w średniogorącym piecu ok. 1 godziny.

Uwaga: w czasie pieczenia nie należy otwierać piekarnika ani poruszać ciastem, np. obracać tortownicą, bo sernik może opaść.

Po upieczeniu i schłodzeniu wyjmujemy z tortownicy na odpowiednią podstawę i polewamy roztopioną czekoladą. Rozpuszczamy 1 1/2 tabliczki czekolady, najlepiej gorzkiej z 3 łyżeczkami mleka i tężejącą masą smarujemy sernik. Polewę dekorujemy sparzonymi i pokrojonymi w paski migdałami, całymi względnie połówkami, i pokrojoną usmażoną skórką pomarańczową.

*Życzę smacznego!*

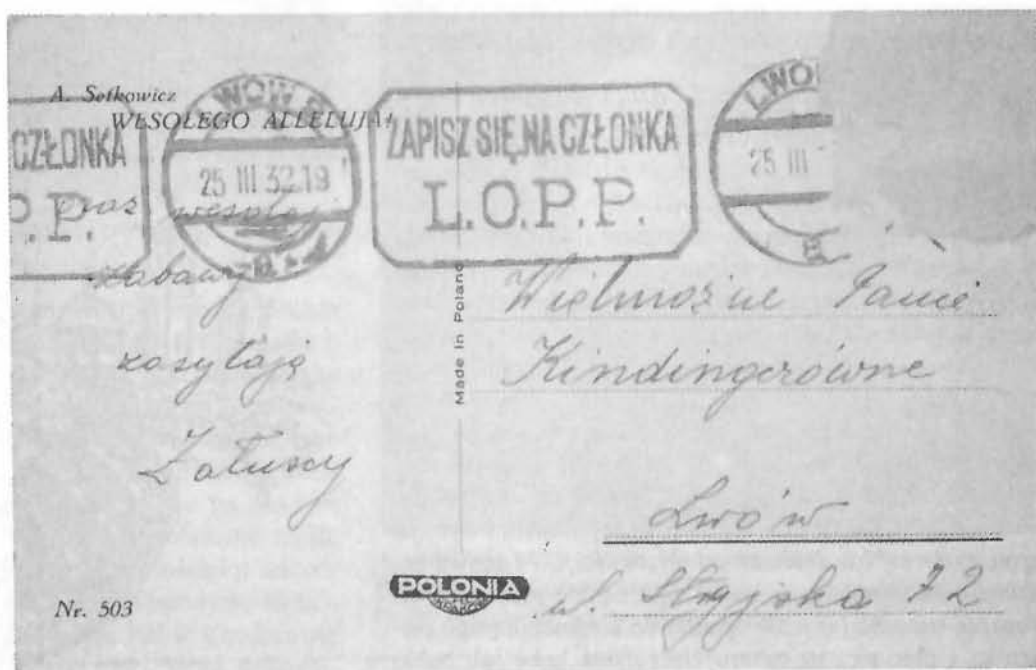


A. Sotkiewicz

WESOŁEGO ALLELUJA!



WESOŁEGO  
ALLELUJA!



Nr. 503



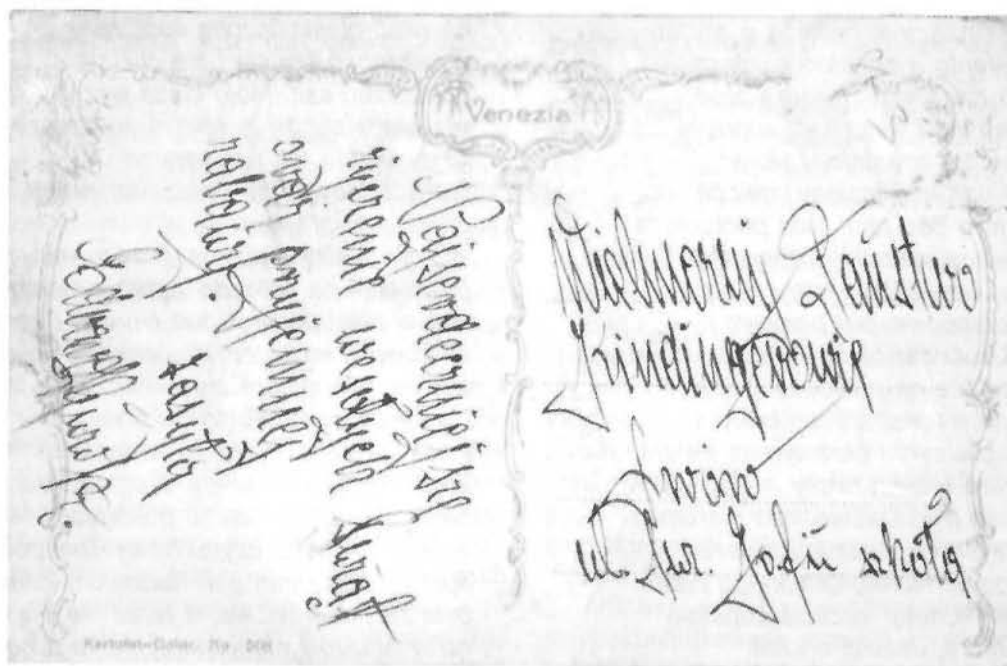
# Urok starych kart

(ze zbiorów rodzinnych A. Kaminskiego)



A. Sethowicz

WESOŁEGO ALLELUJA!



Ks. dziekan odprowadza mnie na stację kolejową. Jest wciąż ta sama, tylko napis nad nami w cyrylicy. Zapamiętała sprzed lat poczekalnia i kasa biletowa, te same perony i tory na Stryj, na Stanisławów i dalej. Opowiadał księdzu o przedwojennych dostatkach Chodorowa: o jednej z największych w Polsce cukrowni, o bekoniarни eksportującej w tamtym czasie do Anglii, o węźle kolejowym, cegielni, no i oczywiście o pałacu ks. Lubomirskiego, do którego zresztą wiele tu należało. Właścicielem był książę Eugeniusz, późniejszy adiutant gen. Andersa. W mieście funkcjonował także sąd i gimnazjum. Do gimnazjum uczęszczał Zbyszek, syn pp. Sadowskich z Dobrowlan, moich rodziców chrzestnych – podchorąży w 1939 r. Był to mój serdeczny kolega i przyjaciel wakacyjny. Zmiotła go wrześniowa wojna. Nie wiem, gdzie zginął. Rodzice też nigdy się nie dowiedzieli. Z tego gimnazjum zapamiętałem także dziewczynę – Wandzię Wróblewską. Mieszkała w domu przy cukrowni. Razem włóczyliśmy się po dobrowlańskich dąbrowach (tak, były wtedy takie!) i dziewczęcą postać Wandzi, w granatowym mundurku uniosłem w pamięci na lata. Nie ma Zbyszka, nie ma Wandzi, nie ma rozlewisk Ługu w Dobrowlanach, no i młyna, który szumiał tam przez lata mojej młodości. Trwa miejsko-wiejska nijakość i taki jest teraz obraz Chodorowa,

miasta mojego urodzenia. Takim wypatynowanym przeszłością, ale tu i ówdzie wybujałym bardzo nieciekawą teraźniejszością jawi mi się ono dziś, za każdym razem, gdy tam przybywam i poszukuję śladów dawnych. To poszukiwanie dawności jest siłą przemożną. To ona każe przystawać mi na długo wśród zdziczałego śliwkowego sadu, gdzie stał dom rodzinny. Ona wprawia w zadumę nad rzeką i przed świątynią. Niby te same ulice, ten sam ich kierunek, a wśród nich tu i ówdzie zapaszek Galicji, bądź niepodległego XX-lecia, wśród domków, parkanów i kwiatnych bylin być może także z tamtych jeszcze czasów. Wszystkie podolskie miasteczka mają takie miejsca, gdzie trwa jeszcze tamten czas... Wystarczy przystanąć, zmrużyć powieki. Powraca tamto światło, tamte obrazy. Zmątek zakorzenił się w tym krajobrazie i jest barwą tych stron.

Ksiądz dziekan odprowadza mnie wieczorową porą na stację. Zachodzi słońce. Miasto otula mrok łagodności i wyciszenia. Wsiadam do pociągu relacji Stryj-Lwów. Wagony jeszcze sowieckie, o „wspinaczkowych” stopniach, bardzo zdezelowane i brudne. Takie tu teraz wszystko. Z szarości mojego miasteczka pojedę w szarość Lwowa. Pamięci, po co wracasz?...

Nowy Sącz, w lutym 1998

Adam Zagajewski

## *Jechać do Lwowa*

Rodzicom

*Jechać do Lwowa. Z którego dworca jechać do Lwowa, jeżeli nie we śnie, o świcie, gdy rosa na walizkach i właśnie rodzą się ekspresy i torpedy. Nagle wyjechać do Lwowa, w środku nocy, w dzień, we wrześniu lub w marcu. Jeżeli Lwów istnieje, pod pokrowcami granic i nie tylko w moim nowym paszporcie, jeżeli proporce drzew jesiony i topole wciąż oddychają głośno jak Indianie a strumienie belkocą w swoim ciemnym esperanto a zaskrońce jak miękkie znak w języku rosyjskim znikają wśród traw. Spakować się i wyjechać, zupełnie bez pożegnania, w południe, zniknąć tak jak mdlały panny. I łopiany, zielona armia łopianów, a pod nimi, pod parasolami weneckiej kawiarni, ślimaki rozmawiają o wieczności. Lecz katedra wznosi się, pamiętasz tak pionowo, tak pionowo jak niedziela i serwetki białe i wiadro pełne malin stojące na podłodze i moje pragnienie, którego jeszcze nie było, tylko ogrody i chwasty i bursztyn czereśni i Fredro nieprzyzwoity. Zawsze za dużo było Lwowa, nikt nie umiał zrozumieć wszystkich dzielnic, usłyszeć szeptu każdego kamienia, spalonego przez słońce, cerkiew w nocy milczała zupełnie inaczej niż katedra, Jezuiści chrzcili rośliny, liść po liściu, lecz one rosły,*

*rosły bez pamięci, a radość kryła się wszędzie, w korytarzach i w młynkach do kawy, które obracały się same w niebieskich imbrykach i w krochmalu, który był pierwszym formalistą, w kroplach deszczu i w kolcach róż. Pod oknem żółkły zamrożone forsycje. Dzwony biły i drżało powietrze, kornety zakonnic jak szkunery płynęły pod teatrem, świata było tak wiele, że musiał bisować nieskończoną ilość razy, publiczność szalała i nie chciała opuszczać sali. Moje ciotki jeszcze nie wiedziały, że je kiedyś wskrzeszę i żyły ufnie i tak pojedynczo służące biegały po świeżej śmietanie, czyste i wyprasowane, w domach trochę złości i wielka nadzieja. Brzozowski przyjechał na wykłady, jeden z moich wujów pisał poemat pod tytułem Czemu, ofiarowany wszechmogącemu i było za dużo Lwowa, nie mieścił się w naczyniu, rozsadał szklanki, wylewał się ze stawów, jezior, dymił ze wszystkich kominów, zamieniał się w ogień i burzę, śmiał się błyskawicami, pokorniał, wracał do domu czytał Nowy Testament, spał na tapczanie pod huculskim kilimem, było za dużo Lwowa, a teraz nie ma go wcale, rósł niepowstrzymanie a nożyce cięły, zimni ogrodnicy jak zawsze*



*w maju bez litości bez miłości  
ach poczekajcie niech przyjdzie ciepły  
czerwiec i miękkie paprocie, bezkresne  
pole lata czyli rzeczywistości.  
Lecz nożyce ciepły, wzdłuż linii i poprzez  
włókna, krawcy, ogrodnicy i cenzorzy  
cięli ciała i wieńce, sekatory niezmordowanie  
pracowały, jak w dziecinnej wycinance  
gdzie trzeba wystrzyc labędzia lub sarnę.  
Nożyczki, scyzoryki i żyłki drapały  
ciepły i skracaly pulchne sukienki  
prałatów i placów i kamienic, drzewa*

*padaly bezgłośnie jak w dżungli  
i katedra drżała i żegnano się o poranku  
bez chustek i bez łez, takie suche  
wargi, nigdy cię nie zobaczę, tyle śmierci  
czeka na ciebie, dlaczego każde miasto  
musi stać się Jerozolimą i każdy  
człowiek Żydem i teraz tylko w pośpiechu  
pakować się, zawsze, codziennie  
i jechać bez tchu, jechać do Lwowa, przecież  
istnieje, spokojny i czysty jak  
brzoskwinia. Lwów jest wszędzie.*

(1986)

Ewa Malec

## Genius loci Lwowa – we Wrocławiu?

Genius loci to pojęcie znane już w starożytnym Rzymie, gdzie według wierzeń każdy człowiek miał swojego geniusza, czyli ducha opiekuńczego czuwającego nad nim od dnia narodzin aż do śmierci. Wierzano, że są również miejsca, którymi opiekują się dobre duchy. Geniusz w tradycji chrześcijańskiej stał się Aniołem Stróżem, natomiast pojęcie genius loci przetrwało do naszych czasów, choć jego sens nieco ewoluował. Miejsca, które mają genius loci, określane są jako szczególne, wyjątkowe, o niezwyklej atmosferze, przyciągające do siebie ludzi, generujące niezwykle zjawiska, stymulujące rozwój talentów, i wreszcie – emanujące na inne miejsca. Genius loci jest zjawiskiem wyczuwalnym dla przybywającego z zewnątrz, ale trudnym do jednoznacznego zdefiniowania. Należy ono raczej do sfery transcendencji. Miasto także może posiadać genius loci. Miasto to jednak nie tylko miejsce w przestrzeni, ale przede wszystkim ludzie tę przestrzeń tworzący.

W miastach wieloetnicznych, wielokulturowych, niewątpliwie częściej niż gdzie indziej wyczuwa się ów nieokreślony genius loci. Tam, gdzie współlistnieją co najmniej dwie kultury, w procesie integracji wytwarza się nowa jakość. Integracja jest procesem dynamicznym, więc współtworzenie tej jakości trwa nieustannie. Pod pojęciem integracji najczęściej rozumie się proces wyrównywania się wzorców kulturowych, przezwycięzania barier regionalnych, narastania więzi społecznej, tworzenia się różnych grup i jednolitego społeczeństwa.

Otóż Lwów był właśnie takim miastem pogranicza, w którym koezystowało i ścierało się ze sobą wiele kultur i religii. W procesie wielowiekowej integracji powstało miasto, którego mieszkańcy wyjątkowo się z nim identyfikowali. Lwów był fenomenem w skali polskiej, a może nawet i europejskiej, nie tylko ze względu na tak silne przywiązanie do miasta jego mieszkańców. Już samo chociażby położenie geograficzne było i jest niezwykle – miasto leży dokładnie na Europejskim dziale wód między Morzem Czarnym a Bałtykiem. Jest we Lwowie kilka budynków leżących dokładnie na owym dziale wód, m.in. wytwórnia słynnych wódek Baczewskiego. Niewiarygodna choć prawdziwa jest historia kościoła św. Elżbiety, z dachu którego deszcz spływa z jednej strony do Morza Czarnego, a z drugiej do Bałtyku.

Niezwykła była również różnorodność grup etnicznych we Lwowie, co niewątpliwie miało związek z położeniem Lwowa między Wschodem a Zachodem. Było to najbardziej wschodnie z miast Zachodu (do którego zaliczam Rzeczpospolitą), a jednocześnie najbardziej zachodnie miasto

Wschodu (np. z punktu widzenia Rusinów). Dla każdej z zamieszkujących Lwów narodowości było to ICH miasto. Tak więc dla Polaków Lwów był przede wszystkim Semper Fidelis, czyli miastem zawsze wiernym (Rzeczypospolitej). W czasie rozbiorów Lwów był ważnym ośrodkiem polskiej kultury i kolebką polskich ruchów niepodległościowych, które później brały czynny udział w wyzwoleniu kraju, a potem także w życiu politycznym Rzeczypospolitej. Armia carska wkroczyła do Lwowa we wrześniu 1914 r., a car Mikołaj II był w mieście w kwietniu 1915 r. W czerwcu Rosjanie opuścili Lwów. Rok 1918 to bohaterska obrona Lwowa i walki z Ukraińcami. Wydarzenie to stało się dla Lwowiaków jednym z najważniejszych wydarzeń w okresie międzywojennym, a po konferencji jałtańskiej nabrało szczególnego znaczenia. Od Wiosny Ludów 1848 r. Lwów był też bardzo ważnym ośrodkiem ukraińskiego ruchu narodowego. Rusini mieli własne towarzystwa oświatowe i muzyczne, teatr, prasę. Lwów był znaczącym skupiskiem ukraińskich artystów, a także uchodził za kolebkę ukraińskiego sportu. Spora część Rusinów ulegała procesowi polonizacji, a szczególnie szlachta, i to głównie w XVI w., mówiąc potem o sobie: gente Ruthenus, natione Polonus.

Przez cały XIX wiek i połowę XX-go Żydzi lwowscy liczyli około 30-40% populacji miejskiej. Lwów był centrum żydowskiego oświecenia – tu ścierali się ze sobą ortodoksi z rzecznikami postępu i asymilacji. Żydzi lwowscy byli grupą zróżnicowaną wewnątrz. Spolszczona grupa Żydów, bogatych mieszczan, bankierów, przedstawicieli wolnych zawodów, nie przekraczała kilku procent ogółu. Większość Żydów żyła w swoich gettach, szczególnie na Zamarstynowie.

Kolejną grupą etniczną byli Ormianie, którzy zasłynęli głównie jako kupcy, złotnicy i tłumacze. „Grek – powiadano – oszuka trzech Żydów, Ormianin oszuka trzech Greków, a Ormianina sam diabeł nie oszuka.” We Lwowie znajdowała się największa enklawa Ormian w Europie. Ważną rolę, szczególnie w rozbudowie gospodarczej Lwowa, odegrało mieszczaństwo niemieckie i austriackie. Również bałak, czyli gwara lwowska, wiele zapożyczył z języka niemieckiego. Z pozostałych, mniej licznych, acz równie istotnych grup etnicznych, należy wymienić jeszcze Rosjan, Szkotów, Turków, Tatarów, a w okresie renesansu Włochów.

Jeśli na tę mozaikę narodowościową nałożyć jeszcze bardziej skomplikowane stosunki wyznaniowe, to uzyskamy pełny obraz tego tygla kulturowego, jakim był Lwów. We Lwowie miały swą siedzibę aż trzy arcybiskupstwa katolic-

kie: rzymsko-katolickie, greko-katolickie i ormiańskie. Papież Sykstus V swój "znak" do herbu Lwowa i tytuł urbs catholocissima, nadał miastu 15.09.1586 r., kiedy nie istniały jeszcze 3 metropolie, bo przecież greko-katolicka to dopiero Austria i r. 1808. Austriacy byli we Lwowie ewangelikami, a kościół przy Zielonej dała im Austria. W końcu było we Lwowie spore skupisko prawosławnych, głównie Rusinów.

Udowodnić, że Lwów posiadał specyficzny genius loci, można przede wszystkim przytaczając wypowiedzi jego mieszkańców, jak chociażby lwowskiego Żyda Ostapa-Ortwina, o którym tak pisze Tymon Terlecki: „był najżarliwszym Polakiem: jako stary człowiek przyjął chrzest, we Lwowie okupowanym przez Armię Czerwoną publicznie ryczał swym słynnym lwim głosem: „Tu jest Polska. Tu od sześciuset lat była Polska”. A tak pisał o Lwowie w 1939 r. Kornel Makuszyński: „Można wyrwać cierni z serca i jakąś zadrę z duszy – ale tego przeklętego miasta ani z serca, ani z duszy nie wyrwiesz.”

To, że polscy lwowiacy z dumą i głębokim poruszeniem mówią dziś o Lwowie, jest nie tylko wynikiem ponad pięćdziesięcioletniej rozłąki z miastem, ale wskazuje na coś znacznie głębszego. Przywiązanie do miejsca zamieszkania i poczucie wspólnoty z innymi mieszkańcami najczęściej zdarza się w małych wspólnotach: wsiach i miasteczkach. Natomiast niepowtarzalna jest namiętność, jaką darzą lwowiacy swoje duże przecież miasto, i poczucie solidarności, nie tylko w krzywdzie wypędzenia, ze wszystkimi lwowiakami.

Epopeja ekspatriowanych lwowiaków rozpoczęła się w roku 1945, po konferencji jałtańskiej, która miała rozstrzygnąć wszelkie wątpliwości co do Lwowa. Jak wspomina Zdzisław J. Zieliński: „Do wyjazdu nikt nas oficjalnie nie zmuszał, nie było też żadnych oficjalnych zarządzeń – wszystko miało w zasadzie charakter dobrowolny. Natomiast oficjalna propaganda nie pozostawiała cienia wątpliwości co do przynależności Lwowa i Kresów Wschodnich. Owszem, zdarzały się naciski, ale nieoficjalne. „Kiedy wyjeżdżacie?” – to pytanie zadawali nam często; zarówno miejscowi Ukraińcy jak i przyjezdni Rosjanie. Po prostu czekali na nasze mieszkania. Wybór był jasny: pozostanie we Lwowie równało się przyjęciu radzieckiego obywatelstwa, co było nie do przyjęcia dla tych, którzy przeżyli dwie sowieckie okupacje we Lwowie. Ludzie związani z działalnością podziemną, głównie z AK, mieli do wyboru wywózkę do łagrów albo natychmiastową ucieczkę ze Lwowa.” Wzywano nas na przesłuchania nocne kończące się pytaniami: „Kiedy wyjeżdżacie do Polski? Bo możecie wyjechać do Kazachstanu...” – wspomina pan Marek Rogalski z Wrocławia.

Rozpoczęła się wielka wędrówka na Zachód, najczęściej wieloetapowa. Lwowiacy, wyrzuceni ze swojego Miejsca, stabilnego centrum ustalonych wartości, przez długi czas dryfowali w Przestrzeni, będącej wolnością, otwartością, możliwością, ale i zagrożeniem. Kraków, Bytom, Gliwice – to kolejne przystanki, nierzadko kilkumiesięczne. Przestrzeń, w jaką zostali rzućci lwowiacy, na początku liczy się wyłącznie w porządku aprowizacyjno-konsumpcyjnym. Nie ma jeszcze (u niektórych – nigdy) świadomości opuszczenia Lwowa na zawsze.

Czym był Wrocław w roku 1945, jakim był miastem wcześniej? W połowie XIX-go wieku był pod względem wielkości drugim po Berlinie miastem Prus. Uniwersyteckim, pięknym, bogatym. Schyłek wieku i pierwsza dekada XX-go wieku to jeden z najlepszych okresów w historii miasta. Budowano wiele i efektownie, wznoszono monumentalne gmachy. Breslau był wówczas liczącym się centrum naukowym i kulturalnym, ważnym ośrodkiem gospo-

darczym. Po pierwszej wojnie światowej stracił nieco blasku, stał się natomiast ważnym punktem strategicznym blisko granicy z Polską. W przededniu drugiej wojny światowej liczył niespełna 630 tys. mieszkańców. W roku 1944 miał ich już około miliona, ponieważ przeprowadzali się tu mieszkańcy zachodnich bombardowanych miast. Większość ewakuowano zanim wojska radzieckie zamknęły pierścień okrażenia wokół miasta w lutym 1945 roku. W czasie zacieklej obrony Festung Breslau miasto zostało poważnie zniszczone, np. dzielnice południowa i zachodnia w 90%. Gdy do Wrocławia wkraczały pierwsze ekipy polskich urzędników, mieszkało w nim jeszcze około 150-200 tys. Niemców, głównie ludzi starszych, kobiet i dzieci. Czy dla przybywających tu lwowiaków Wrocław był tabula rasa, przestrzenią nie nacechowaną żadnymi znaczeniami, gdzie życie można było zacząć zupełnie od nowa?

Na początku był tylko Breslau – obce miasto. Obce mury, obce napisy, obca mowa domami. Moja mama płakała chodząc jego ulicami. I choć słowa Adama Zagajewskiego „...miasto Gorsze. MNiejsze. Niepozorne” dotyczą konkretnie odczuć lwowiaków w Gliwicach, odnoszą się one również do Wrocławia i chyba każdego innego miasta na ziemiach zachodnich, gdzie przyszło żyć lwowiakom. Był więc Wrocław miastem obcym, przecież jednak nie pustym znaczeniowo. Tyle, że te kody kulturowe były czytelne tylko dla poprzednich jego mieszkańców, a tych zostało już niewiele. Dla nowych mieszkańców Wrocław w pewnym sensie był tabula rasa. Pierwsi osadnicy nie byli odważni ani awangardowi. Wiadomo, że były to całe watahy szabrowników, wywożących razem z Armią Czerwoną co się da.

Tymczasem nie dało się, mimo usilnej „piastowskiej” propagandy władz, odciąć od niemieckich korzeni miasta, które dawały o sobie znać nie tylko napisami gotykiem i pozostawionymi domowymi sprzętami, ale przede wszystkim przejawiały się w genius loci, wyczuwalnym przecież, a może nawet przyciągającym przybyszy ze Lwowa. Ci z kolei przyjeżdżali z własnym bagażem tradycji. Jak napisał A. Zagajewski w cytowanym już esej „Dwa miasta”: „Groby rodzinne zostały na Wschodzie. Duchy opiekuńcze zapewne długo się wahały zanim podjęły decyzję towarzyszenia nam w tej niepewnej wędrówce w towarowym wagonie.” Nastąpiła konfrontacja przybyszy ze Wschodu z tym miastem, jakim był Wrocław. Zaczęły się procesy integracji i dezintegracji kulturowej. „Społeczeństwo wrocławskie zdominowały grupy: inteligencja niemal bezpośrednio przeniesiona z Uniwersytetu Jana Kazimierza, specjaliści skierowani tu do odbudowy miasta i szabrownicy, którzy przyjechali na chwilę, by się nielegalnie dorobić – i pozostali. Z tego skupiska powstała nowa społeczność: otwarta, twórcza, przyjazna” – twierdzi prezydent (Wrocławia) Zdrojewski, socjolog z wykształcenia. Ale nie należy zapominać, że oprócz inteligencji przyjechała do Wrocławia lwowska wspólnota tramwajarzy, gazowników, kolejarzy i elektrowni.

Jak prezentowali się lwowiacy na tym różnorodnym tle? Otóż procentowo wcale nie było ich najwięcej. Dużą grupę mieszkańców stanowili przesiedleńcy z Kresów Wschodnich. Młot Lwowa przeniesionego do Wrocławia (Wrocław jeszcze do dziś bywa uważany za replikę przedwojennego Lwowa) ma jednak swoje uzasadnienie, zresztą nie jedyne. Do Wrocławia sprowadziła się cała lwowska elita – zarówno profesorowie Uniwersytetu, jak i lekarze, prawnicy, wyżsi urzędnicy, artyści, wreszcie kolejarze i tramwajarze. To oni od początku nadawali miastu ton.

Wielu z nich przez wiele jeszcze lat (a często aż do śmierci) żyło w świecie iluzji; szczególnie ludzie, którzy coś



już we Lwowie zdążyli przeżyć. Spacerzy A. Zagajewskiego z dziadkiem, z których pierwszy chodził po realnych Gliwicach, a drugi w tym samym czasie po ukochanym Lwowie, nie są tylko piękną poetycką figurą. Wielu lwowiaków nakładało obraz Lwowa na rzeczywistość, w której żyli, a której nie przyjmowali do wiadomości. Lwów był dla nich sacrum, jedyną rzeczywistością prawdziwie istniejącą. Nawet drzewa w parku przywoływały obraz tamtych drzew: „Co innego liście lwowskie. Te były wieczne, wiecznie zielone i wiecznie żywe, niezniszczalne i doskonałe; poruszały się lekko jak płetwy delfinów. Jedyną ich wadą była nieobecność, a nawet nieistnienie. Lecz istnienie nie jest cechą rzeczy. Kant zauważył, że sto talarów istniejących niczym się nie różni od stu talarów wyobrażonych.”

Kultywowanie mitu Lwowa nie hamowało jednak, a często wręcz wspomagało osvajanie Wrocławia. Trzeba pamiętać, jak bardzo Wrocław kontrastował ze Lwowem, szczególnie w tym właśnie momencie historycznym. Ekspatrianci opuszczali Lwów mimo wszystko kwitnący i niezniszczony – Wrocław był, szczególnie w centrum, jednym wielkim gruzowiskiem. Mówiono, że nie do zniesienia był stały widok zniszczonego miasta, wspominało wręcz o „chorobie ruin”. Lwów, poza tym, że był ostoją polskości, przez sto kilkadziesiąt lat znajdował się w sferze wpływów różnych kultur, Wrocław natomiast był pruskim miastem. Wytworzył się duży dystans kulturowy.

Człowiek wobec przestrzeni fizycznej czuje się zawsze trochę bezradny. Po to, żeby móc w niej żyć musi ją w jakiś sposób zawłaszczyć, zidentyfikować, nazwać. Gdy nacechuje ją wartościami lub przypisze jej pewne właściwości, znaczenia – stopniowo przestrzeń przestaje być obca, daje się zaakceptować. Bardzo różnie lwowiacy starali się oswoić Wrocław; poczynając od przedmiotów życia codziennego, na sprawach zasadniczych kończąc. Trudno powiedzieć, czy proces ten trwał kilkanaście czy kilkadziesiąt lat; każdy oswajał Wrocław na swój sposób i w swoim czasie. W przeprowadzonej przeze mnie ankiecie wśród lwowiaków mieszkających we Wrocławiu na pytanie: „Kiedy poczułeś się we Wrocławiu jak u siebie w domu?” najczęściej padały odpowiedzi: „Po małżeństwie” albo „Kiedy urodziło mi się dziecko”. Przełomowe momenty w ich życiu miały miejsce we Wrocławiu.

Najpierw oswajano przedmioty. „Rzeczy dzieliły się na: arystokratyczne, mieszczańskie i socjalistyczne. Arystokratyczne przyjechały ze Lwowa. Ponieważ rodziny deportowane nie dysponowały możliwością wywiezienia wszystkiego, zabierano tylko to, co najcenniejsze, srebro, kilimy, akwarele. Nazywam je arystokratycznymi, gdyż na ogół do niczego nie służyły, miały wartość raczej emocjonalną. Rzeczy mieszczańskie natomiast nazwane zostały „poniemieckie”. Niemcy zostawili kuchenki, maszyny do szycia marki Singer, rowery, sztucce z nieszlachetnych metali. Metale szlachetne pochodziły ze Lwowa, nieszlachetne były niemieckie. Rzeczy socjalistyczne produkowane były przez powojenną, nieudolną Polskę Ludową. Wszystkie te przedmioty musiały ze sobą współżyć, dotykać się, wchłaniać swoje różne zapachy, mieszać się ustawicznie, jak przystało na bezklasowe społeczeństwo.”

Równolegle z obłaskawianiem przedmiotów odbywało się osvajanie miejsc i architektury. Już w 1945 roku zaczęły powstawać w centrum Wrocławia knajpy, kawiarenki i restauracje lwowskie; z ducha, a na początku i z nazwy, dopóki nie zaostrzył się reżim. Słynna była jadłodajnia „U Fonsia” na ul. Szewskiej, która nota bene nie miała nawet szyldu, a gdzie można było zjeść pierogi lwowskie (później

niesłusznie przemianowane na ruskie), gołąbki, studzinię i mamaligę. W latach stalinowskich, kiedy nie można było w ogóle mówić o Lwowie, tradycje kulinarne kultywowane były w domach. Niektóre z nich, jak gołąbki czy pierogi stały się po prostu „dobrem wspólnym”. We wspomnianej ankiecie w odpowiedziach na pytanie: „Co, twoim zdaniem, z tradycji lwowskiej przeniosło się do Wrocławia?” na drugim miejscu po gościnności i otwartości, wymieniane są właśnie tradycje kulinarne, szczególnie świąteczne.

Lwowiacy od razu zachwycili się zielenią i parkami Wrocławia, które przywoływały im na myśl utracony Lwów. Na pytania: „Z czego jesteś dumny we Wrocławiu?” i „Jakie jest twoje ulubione miejsce we Wrocławiu?” – najczęściej padały odpowiedzi: zielone dzielnice miasta i Park Szczytnicki (w całości albo poszczególne zakątki). Z ulubionych miejsc we Lwowie również niemal w każdej odpowiedzi pojawia się Park Stryjski, a także Pohulanka, Ogród Jezuicki, Kajzerwald, Czartowska Skala – a więc zielone tereny Lwowa. Bardzo lwowska bowiem jest tradycja wypadów za miasto, które teraz organizowane są głównie do Sobótki, czyli na górę Ślężę. W dużym stopniu do akceptacji Wrocławia przez lwowiaków przyczyniła się również rzeka, czyli Odra. Dla lwowiaków była to rzecz nowa i zachwycająca, gdyż Lwów posiadał tylko rzekę podziemną, Pełtew, zamulowaną jeszcze w XIX wieku. To właśnie rzeka niejako zrekomensowała brak wzgórz, jakże istotnych dla Lwowa.

Nadawanie ulicom i placom polskich nazw też było jednym ze sposobów na oswojenie Wrocławia. Na Starym Mieście, gdzie nazwy były historyczne, dokonano tłumaczenia istniejących ulic: Odrzańska, Malarska, Szewska, lub przywracano dawne, np. Plac Solny.

Oswajanie architektury przebiegało w bardzo różny, często dramatyczny sposób. I nie chodzi mi tu o odgórne decyzje władz. Znamienna jest historia pierwszego polskiego kościoła we Wrocławiu, pod wezwaniem Św. Bonifacego, obok dworca Nadodrze, wokół którego powstała pierwsza pionierska kolonia we Wrocławiu. W nienaruszonych z zewnątrz neogotyckich murach ekspatrianci chcieli odtworzyć swoją kresową świątynię. W większości jednak przypadków po prostu zostawiano architekturę niemiecką samą sobie na zasadzie: „Nie będziemy niczego odnawiać ani naprawiać, przecież i tak niedługo wrócą tu Niemcy, a my do Lwowa.” Dopiero po jakimś czasie zaczęto niemieckie gmachy remontować i hołubić.

Z drugiej strony lwowiacy tak już się zrosli z architekturą niemiecką, że niektórzy przyjeżdżając do Warszawy z rozpedu pytają: „Dlaczego sobie nie załatwicie mieszkania w jakiejś ładnej niemieckiej kamienicy?” Większość lwowiaków jednakże zamieszkała we Wrocławiu w niemieckich willach na przedmieściach, ponieważ to one najlepiej przetrwały obronę Festung Breslau. W wypalonych kamienicach w centrum miasta z uporem osiedlali się mieszkańcy wsi i miasteczek, głównie z Polski Centralnej, gdyż był to dla nich rodzaj awansu społecznego i mimo wszystko skok cywilizacyjny. Lwowiacy, przede wszystkim inteligencja woleli piękne wille i szeregowe domki na Biskupinie, Sępolnie i na Krzykach; szczególnie, że zaraz po wojnie jeszcze można było wybierać. Wielu lwowiaków, którzy znali już przecież smak wypędzenia, odczuwało wewnętrzny opór przed zajmowaniem cudzego mieszkania, jedzenia przy cudzym stole, spania w cudzym łóżku. Zdzisław J. Zieliński wspomina: „Zaraz po naszym wprowadzeniu przyszła Niemka z góry mówiąc, że tu znajduje się zabrany jej... młynek do orzechów. Kiedy to przetłumaczyłem, mama kazała mi go z miejsca oddać, jako że nie chce mieć niczego czyjegoś.”

Najważniejsze jednak dla oswojenia Wrocławia przez lwowiaków okazały się instytucje, jakie ze sobą przywieźli. Najistotniejszą chyba rolę odegrał Uniwersytet. Po opuszczeniu Lwowa większość profesorów Politechniki Lwowskiej i Uniwersytetu Jana Kazimierza trafiło do Krakowa. Z niechęcią przyjmowali oni propozycje stabilizowania się na uczelniach krakowskich. Obawiali się, że propozycje krakowskiej uczelni stworzenia odrębnych sekcji lwowskich w ramach UJ mają charakter przejściowy, a z czasem lwowscy profesorowie i asystenci wtopią się w społeczność uniwersytecką, wypełniając luki powstałe w środowisku w latach wojny. O silnym poczuciu własnej odrębności świadczy fakt, że interesowały ich przede wszystkim projekty tworzenia nowych uczelni – w Gdańsku, Toruniu, Gliwicach, Katowicach i Wrocławiu. Najlicniejsza była grupa stawiająca na Wrocław – w niej dwóch byłych rektorów UJK: S. Krzemieniewski i St. Kulczyński, późniejszy pierwszy rektor Uniwersytetu Wrocławskiego. Wśród lwowskich profesorów istniało przekonanie, że zachowanie zwartości dawnych lwowskich struktur akademickich daje pewne nadzieje na prawo do powrotu Polaków do Lwowa, przy mimo wszystko oczekiwanych zmianach politycznych. Generalnie warstwy elitarnie, w dużej części pochodzące ze Lwowa, ludzie doświadczeni przez dwie okupacje plus terror ukraiński – odnosili się dość sceptycznie do trwałości polskiego panowania na ziemiach zachodnich.

Jeszcze przed wyjazdem do Wrocławia odbyło się w Krakowie zebranie grupy Bolesława Drobnera (pioniera i organizatora polskich władz we Wrocławiu), na którym, jak wspomina jeden z uczestników spotkania, „dla wszystkich było oczywiste, że to uczeni lwowscy we Wrocławiu będą organizować uniwersytet i politechnikę.” Jak silne musiało być oddziaływanie wrocławskiego *genius loci*, skoro lwowscy profesorowie nie wybrali Gdańska czy Katowic. Trzeba było we Wrocławiu nie tylko zbudować struktury akademickie, ale fizycznie odbudować Uniwersytet z gruzów.

Uniwersytet Wrocławski stał się dla lwowiaków duchowym ośrodkiem, który ściągał ich z Bytomia, z Gliwic i innych miast; ucieleśnieniem lwowskiego *genius loci* we Wrocławiu. Na pytanie „Czy wybrałeś Wrocław jako ostateczne miejsce zamieszkania świadomie?” – starsi lwowiacy w większości odpowiadali twierdząco. Wybrali Wrocław, „bo tu byli lwowiacy” albo „bo tu był uniwersytet *de facto* lwowski”. Lwowscy profesorowie na Uniwersytecie Wrocławskim wychowywali następne pokolenia w duchu tradycji lwowskich, Nawet pedel, na Uniwersytecie Wrocławskim był ze Lwowa, a tak o nim pisze F. Ryszka, były student nie-lwowiak: „Pan Wiśniewski zbierał za niewielką opłatą podpisy profesorów w indeksach, kibicował też z życzliwością przy egzaminach żeby wesprzeć zestresowanych studentów: „Ta głupszy od pana zdawali”. Píše też Ryszka: „w klimacie wrocławskim było coś osobliwego, niezupełnie porównywalnego z sytuacją na innych uniwersytetach. Nie chodzi mi tylko o dystans między studentem a profesorem, we Wrocławiu mniejszy niż np. w Krakowie, gdzie profesor był postacią z Olimpu i dawał to studentom do zrozumienia.” Wpływ tradycji lwowskiej, związanej ze szczególnym uczuleniem na patriotyzm i demokratyzację stosunków uniwersyteckich, były związane nie tylko z malejącą przeciw grupą uczonych lwowskich. Przejmowały je i dziedziczyły grupy wyrastające z innych polskich środowisk akademickich, a dziś kontynuowane są również przez najmłodszych wychowanków uczelni wrocławskiej. W świadomości wrocławskiej społeczności uniwersyteckiej związki z uczelnią lwowską nobilitowały. Lwowskie tradycje nie były tradycjami

muzealnymi. Ze swej istoty jednak były sprzeczne z dążeniami ówczesnej polityki dostosowywania uniwersytetów polskich do modelu uczelni radzieckich. Lwowskie tradycje służyły więc obronie ciągłości, tradycji i tożsamości etosu akademickiego. Ponadto we Wrocławiu to nie, jak zazwyczaj, miasto budowało Uniwersytet, ale Uniwersytet brał rzeczywisty udział w odbudowie miasta ze zniszczeń wojennych.

Następną ważną dla lwowiaków „instytucją narodową” przeniesioną ze Lwowa było Ossolineum, czyli Zakład im. Ossolińskich, w latach 50-ych upaństwowiony i podzielony na wydawnictwo i podlegającą PAN Bibliotekę. Co prawda nie udało się odzyskać całości zbiorów, ale nie da się przecenić kulturotwórczej roli Ossolineum w powojennej Polsce. Było ono (i jest), podobnie jak Uniwersytet Wrocławski, symbolem ciągłości tradycji, nie tylko lwowskiej, ale w ogóle kultury przedwojennej Polski.

Jeżeli porównać Uniwersytet i Ossolineum do ucieleśnionego *genius loci* Lwowa, to Panoramę Raclawicką, sprowadzoną ze Lwowa w 1946 roku, należałoby chyba nazwać lwowską „arką przymierza”. Pomimo swej burzliwej historii (udostępniona do publicznego zwiedzania dopiero w 1985 r.), Panorama była i jest dla lwowiaków rodzajem „świętego słupa”, który wyznacza pęknięcie w ciągłej przestrzeni świeckiej i pośredniczy w kontakcie z *sacrum*. We wspomnianej ankiecie Panorama Raclawicka jest najczęściej wymieniana w odpowiedzi na pytanie: „Co jest dla Ciebie miejscem świętym w Wrocławiu?”

Przestrzeń miejską wyznaczają między innymi pomniki, określające niejako świadomość ludzi, którzy tę przestrzeń zamieszkują. Dla lwowiaków takim pomnikiem jest posąg Aleksandra hrabiego Fredry, sprowadzony ze Lwowa w 1946 r., odsłonięty w 1956 r. O wpływie i pozycji lwowiaków we Wrocławiu niech świadczy fakt, że stoi on na środku Rynku Starego Miasta i stał się dla większości wrocławian najpopularniejszym punktem spotkań. Jednym słowem, Fredro wrósł we Wrocław, tak jak lwowski *genius loci* zaszczerpił się na wrocławskim gruncie. Nota bene drugim ważnym pomnikiem, gdzie umawia się na randki, jest figura Siermierz, jeszcze z czasów pruskich, co z kolei świadczy o osławianiu przez wrocławian niemieckiej przeszłości miasta. Może to, że ostatnio odsłonięto pomnik Sokratesa, wyjaśni najlepiej, co to takiego ten lwowsko-wrocławski *genius loci*.

Wreszcie to właśnie we Wrocławiu powstało pierwsze Towarzystwo Miłośników Lwowa – w latach 80-tych, kiedy już było można. Członków TML przybywa, choć starych rodowych lwowiaków jest coraz mniej. Młodzi ludzie, wychowani w lwowskich domach, coraz chętniej sięgają do korzeni i pragną kultywować tradycję. O jej sile niech zaświadczy prawdziwa anegdota opowiedziana przez pana Andrzeja Chlipalskiego, prezesa krakowskiego oddziału TML, o rodzinie lwowskiej, która w 1945 roku przybyła do Wrocławia. „W przydzielonym sobie mieszkaniu ludzie ci zastali niemieckie dziecko. Chłopak paroletni, słowa po polsku nie umie, rudawy, piegowaty, na pierwszy rzut oka Niemczura jak z obrazka. Nie wiadomo, co z rodzicami – wyjechali, zginęli? Tak czy owak dzieckiem trzeba się było zająć – i chłopak został w rodzinie. Po latach, już jako dorosły człowiek, przyjął gościa, który pierwszy raz od wojny chciał odwiedzić jego przybranych rodziców, chwilowo nieobecnych w domu. W trakcie rozmowy gość westchnął: Ech, wróciłoby się do Lwowa, co? Na to Niemiec, który Lwów widział tylko na fotografii, woła z entuzjazmem: Ta panie, ta na kolanach!”



Nieprzypadkowo w końcu właśnie we Wrocławiu zrodziła się Pomarańczowa Alternatywa, która nie przyjęła się nigdzie indziej. Dlaczego? Po pierwsze była sposobem wrocławian na oswojenie miasta zabawą, absurdalnym żartem. Myślę jednak również, że paradoksalnie był w Pomarańczowej Alternatywie, punkowo-kontestatorskim ruchu młodzieżowym, odrodzony duch polskiego kresowego miasta, a konkretnie odbicie specyficznego lwowskiego humoru. Po-czucie absurdu wszelkich skrajności, otwartość i sympatia dla obcych – to przecież charakterystyka lwowskiego esprit. Jak pisał w 1939 r. (a więc jeszcze przed utratą Lwowa) K. Makuszyński: „Uśmiech Lwowa jest wspólnym ich (lwowia-ków) skarbem i tym zaklęciem, co ich łączy. (-) Kiedy go wymienią, tam wszędzie wyrasta dokoła nich – Lwów.” I może jest to najlepszy dowód na istnienie lwowskiego ge-nius loci we Wrocławiu.

Zestawienie przedwojennego Lwowa z powojennym Wrocławiem daje również ciekawe rezultaty. Zastanawia ilość punktów stycznych, nie tylko „przeczepów” lwow-skich we Wrocławiu.

O różnorodności kulturowo-wyznaniowej Wrocławia i Lwowa już pisałam. Oba miasta wyróżniały się zresztą tak zróżnicowanym składem ludnościowym na tle innych pol-skich miast.

Można również ze sobą porównać ulice i place Lwowa i Wrocławia, i wtedy okaże się, ile chociażby samych nazw ulic jest takich samych. Ulica Ruska, Kurkowa, Plac Strze-lecki – to tylko niektóre przykłady. Na siatkę ulic, rzecz ja-sna, lwowiaczy nie mieli wpływu, ale zaadaptowali ją do swoich przestrzennych potrzeb. I tak ulica Świdnicka mu-siała zastąpić lwowskie Corso, czyli ulicę luksusowych skle-pów Akademicką, a Park Szczytnicki odegrać rolę utracone-go Parku Stryjskiego.

Porównanie rozwoju kulturalnego obu miast zajęłoby zbyt dużo miejsca, więc wymienię tylko najważniejsze podo-bieństwa. We Lwowie działali m.in. W. Bogusławski, A. Grottger, G. Zapolska, Al. Fredro, W. Horzyca, R. Ingarden – by wymienić niewielu. Wrocław z kolei jest miastem, w którym tworzyli J. Grotowski i H. Tomaszewski, tutaj mie-szka Tadeusz Różewicz. Teatr Wielki we Lwowie – jeden z najpiękniejszych budynków teatralnych w Europie – nie tylko posiadał słynną kurtynę Siemiradzkiego ale przede wszystkim grzywali tu Ludwik Solski, Gabriela Zapolska i sama Helena Modrzejewska. Teatr Polski we Wrocławiu, pod dykcją Jacka Wekslera odrodził się po niedawnym pożarze jak feniks z popiołów i dziś współpracują z nim najlepsi polscy reżyserzy: Krystian Lupa, Jerzy Jarocki, Je-rzy Grzegorzewski.

Nie można też zapomnieć o radiu, jakże ważnym zarów-no dla lwowiaków jak i dla wrocławian. Audycje słynnej „Wesołej Lwowskiej Fali” słuchane były przed wojną w ca-łej Polsce. Wrocławskie radio nie ma co prawda takiego za-sięgu, ale audycje wrocławskiego Studia 202 również słucha dziś cała Polska. Zresztą nie jest przypadkiem, że kabaret „Elita”, realizujący tę audycję, działa właśnie we Wrocła-wiu. Nieżyjący już niestety od kilku lat jego twórca, Andrzej Waligórski, pochodził ze Lwowa.

Najciekawsze dopiero jednak okazuje się porównanie stosunku Lwowa i Wrocławia do Polski, rozumianej jako zbiór pewnych niezmiennych wartości. Lwów, jak już pisa-łam, był Semper Fidelis, czyli zawsze wierny Rzeczypospo-litej w różnych krytycznych sytuacjach historycznych, czy to w roku 1918 czy 1939, Wrocław natomiast w latach 80-tych zyskał miano polskiego Belfastu. To tutaj odbywały się naj-większe manifestacje „Solidarności”. Do dzisiaj wielu mie-

skańców miasta, mówiąc o ulicy Grabiszyńskiej i stykają-cym się z nią placu Pereca – miejscach największych bitew ulicznych – używa określeń „zomostasse” i „gazplatz”. „Solidarność” była we Wrocławiu nie tylko ruchem poli-tycznym, ale przede wszystkim samorządowym – w tym tkwiła jej siła i zasięg społeczny. Dbałość o lokalne, wro-cławskie sprawy była znakiem wrośnięcia mieszkańców w miasto. Jak napisał W. Kalicki: „Atak na kolumnę milicyjną na Moście Grunwaldzkim, nocne walki z użyciem butelek z benzyną miały w sobie coś z wyzwania własnego miasta – przez mieszkańców.”

Podobieństwa między Lwowem a Wrocławiem nie są przypadkowe. Pisał jeszcze przed wojną K. Makuszyński: „Bardziej solidarni niż masoni, bardziej solidarni niż wszy-stkie znane i nieznanie tajemne stowarzyszenia, słowem naj-bardziej solidarni na całym Bożym świecie są lwowianie. Lwowianie tworzą mafię, najściślejszy związek – bezintere-sownie.” Lwowska solidarność związana była z wrocławską „Solidarnością” nie tylko nazwą.

To nie instytucje ani kultura materialna przesądziły o lwowskim charakterze Wrocławia. Najistotniejsza była i jest kultura duchowa, przekazywana z pokolenia na pokolenie, ocalona mimo oderwania jej źródła – Miasta. Bo duch Mia-sta przywędrował razem z jego mieszkańcami, a lwowiaczy są – mówiąc bez przesady – opętani przez namiętność do swojego Miasta.

Miasto to ludzie w nim mieszkający, co napisali wszy-scy bez wyjątku lwowiaczy w odpowiedzi na pytanie „Odwiedziwszy Lwów po wojnie, czy sądzisz, że miasto zachowało swój charakter?”. Chociaż mury we Lwowie wciąż te same, miasto jest obce. Pani Janina z Wrocławia napisała: „Lwów to było miasto europejskie. Obecni mie-szkańcy Lwowa nie pasują do jego pięknej architektury. Utkwił mi w pamięci taki obrazek z jakiejś pięknej, sło-necznej niedzieli: () na Wałach Hetmańskich siedzący „lwowianie” bardzo niegustownie, nieelegancko ubrani, wietrzyli sobie nogi, tzn. siedzieli boso. To kiedyś było nie do pomyślenia.”

Lwowiaczy przywieźli ducha swojego Miasta do Wrocła-wia i okazało się, że lwowski genius loci zdecydował o obliczu tego drugiego. Pomimo, iż rodowitych lwowiaków jest coraz mniej, stali się oni współtwórcami tak specyfic-znej kultury, że nawet nazywana później „wrocławską”, bę-dzie ta kultura nosić w sobie głębokie pokłady „lwowsko-ści”.

Lwów przeniesiony w sferę sacrum, mitu, staje się na naszych oczach ważnym archetypem kulturowym, być może największą Itaką współczesnej polskiej tradycji. To przenie-sienie w obręb mitu, w sferę sacrum, gdzie „możliwe jest życie po śmierci i co ważniejsze – owocowanie po śmierci” jest rodzajem rekompensaty za utratę Lwowa, równie waż-nego ośrodka kultury jak Warszawa czy Kraków.

O sile przyciągania tego mitu niech świadczy fakt, że najpiękniejszy wiersz o Lwowie napisał urodzony w 1945 r. A. Zagajewski, a prezesem Towarzystwa Miłośników Lwo-wa jest urodzony rok wcześniej (we Lwowie) pan Andrzej Kaminski.

*Ewa Malec – studentka II r. Międzywydziałowych Indywi-dualnych Studiów Humanistycznych Uniwersytetu Warszaw-skiego, studentka Międzynarodowej Szkoły Humanistycznej skupiającej młodych naukowców z Europy Środkowo-Wschodniej; członek Koła Naukowego Uniwersytetu zajmu-jącego się badaniem kultur pogranicza. Ur. 1.02.1976 w Warszawie, córka lwowianki i wilnianina, wnuczka, z dziada pradziada, kresowiaków (Dolina, Lwów) – Redakcja.*

# Chyrów

Chyrów – 36 km od Lwowa, 340 m n.p.m. Na początku wieku miasteczko liczyło 3 400 mieszkańców (w tym 1000 Polaków, 500 Rusinów i 1900 Żydów). 1 km na południe na terytorium wsi Bąkowiec ogromny, czworoboczny budynek, w którym mieściło się collegium i konwikt OO. Jezuitów, obliczone na pomieszczenie 500-600 wychowanków. Mieściła się tam sala teatralna na 1000 osób, kaplica i jadalnia (na około 500 siedzeń). Istniało bardzo bogate muzeum przyrodnicze (wiele ptaków i motyli z Azji i Ameryki). Za Chyrowem piękna górská dolina Strwiąża.

Zamieszczamy Zarządzenie Rektora Zakładu ks. Krzyżanowskiego z 21. 05. 1932 r. i Okólnik do Rodziców i Opiekunów (udostępniony przez p. A. Bujaka zamieszkałego w Niemczech).

Redakcja

## Okólnik

### do wszystkich P.T. Rodziców i Opiekunów

Największe arcydzieło, jakim jest wychowanie młodzieńca na szlachetnego człowieka, z charakterem mocnym, na zmienności losu odpornym, na Katolika i Polaka, z odwagą cywilną i męstwem łączącego wierność dla zasad moralnych chrześcijańskich w całym życiu obywatelskim i osobistym, wymaga koniecznie konsekwentnego współdziałania domu rodzicielskiego i jego otoczenia, z wysiłkami Zakładu.

Jeśli między tymi dwoma czynnikami wychowawczymi panuje rozbieżność i wskutek tego uczeń w okresie wakacyjnym czuje się jakby wyswobodzonym od tych świętych obowiązków moralnych, do których go Zakład przez 10 miesięcy wdrażał, to musi z tego wynikać wypaczenie jego charakteru, zupełne załamanie się podstaw wychowania i w końcu ruina.

I niestety co roku stwierdza smutne nasze doświadczenie, że wychowanek, który już skutkiem umiejętnej pracy rokował jak największe nadzieje, wraca po feriach do Konwiktów z wymęczoną głową, skażonym sercem tak dalece, że musi być z Konwiktów usunięty ze względu na dobro powszechne, dobro całości. A śledzenie przyczyn tej fatalnej zmiany na gorsze pokazuje nam, że na wakacjach nie miał odpowiedniego dla siebie, dobrego towarzystwa, lecz wdał się z kim chciał – albo też otoczenie jego nie dbało zupełnie o spełnienie obowiązków religijnych, jak uczęszczanie na Mszę św. bodaj w niedzielę i święta, jak modlitwa codzienna, jak zachowanie postów, jak umysłowa praca przynajmniej w jakimś skromnym zakresie, lub choćby fizyczne zajęcia i przyzwoite gry – z czego rodzi się najzubożniejsze dla młodzieńca lenistwo i wyjałowienie duszy tak, że po ferjach jest on niezdolny zabrać się rażno i ochoczo do książki, co mści się na nim w końcu roku – lub, co jeszcze gorsza: traci moralność skutkiem złej i przewrotnej lektury, oglądania bezwstydných obrazów, uczęszczania na teatr, kino i widowiska demoralizujące, które budzą w nim przedwcześnie zgubne namiętności i czynią go rozpasanym. Zaklinam przeto P.T. Rodziców i Opiekunów na miłość Boga, Ojczyzny i dobro ich własne, by przed temi wszystkimi niebezpieczeństwami chronili swych synów w czasie feryj, jeśli nie chcą ich narazić na smutne następstwa takiej niekonsekwencji wychowania.

Przypominam również, że wedle regulaminu Zakładu nosić można wyłącznie ubranie mundurkowe, wszelkie zaś inne w Zakładzie jest niedopuszczalne. Do kl. IV włącznie



są przepisowe krótkie spodnie. Do umundurowania należy także płaszcz zakładowy, który każdy uczeń mieć powinien.

Wyjątek stanowią uczniowie, przebywający pierwszy rok w Zakładzie. Upraszam przeto, by uczniom, którzy drugi rok są w naszym Zakładzie nie dawali P. T. Rodzice ubrań cywilnych na czas ich pobytu w Zakładzie. O ileby je jednak przywieźli ze sobą uczniowie, odeśle się, z powrotem na koszt P.T. Rodziców.

Celem uniknięcia nieporozumień w sprawie zaopatrzenia się w książki na rok przyszedł, każdy powinien dać znać najpóźniej do dnia 30 lipca, jakie książki posiada.

Donoszę uprzejmie, że rok szkolny 1931/32, kończy się w naszym Konwiktach w poniedziałek, dnia 27 czerwca.

Rozjazd na wakacje odbędzie się 27 czerwca pod opieką naszych Księżów według załączonego planu jazdy.

Ponieważ wysłanie tylu uczniów naraz połączone jest z kilkutygodniowym przygotowaniem, uprasza się o jak najrychlejszą, możliwie odwrotną odpowiedź (niepóźniej wszakże jak do 15 czerwca), którą należy adresować do Ks. Prefekta Generalnego, naznaczając wyraźnie:

- a) do której stacji pod opieką Księżów syna odesłać;
- b) jakie rzeczy syn ma ze sobą zabrać, czy także użytą odzież i bieliznę;
- c) czy ma zabrać duży kosz lub kufer, do której stacji ma być nadany.

Uprasza się przytem, aby o wszelkich zmianach, dotyczących wyjazdu ucznia, donoszono nie tylko samemu uczniowi, ale koniecznie także Ks. Prefektowi Generalnemu, w przeciwnym bowiem razie nie możemy ręczyć za spełnienie tych życzeń.

W ostatnich 10-ciu dniach żadnych zmian, dotyczących podróży, uwzględnić nie możemy! – Zaznaczam również, że dopiero w sam dzień wyjazdu t.j. 27 czerwca można synów zabierać, a nie wcześniej!

Ponieważ z rozporządzenia Min. Kolei Państwowych zamawiający wozy podać musi dokładną ilość jadących i złożyć odpowiednią za każdego kaucję, proszę zatem stanowczo trzymać się ściśle naznaczonej partii, w przeciwnym bowiem razie przepada całkowicie kaucja, a nadto mogą być dla nas przykre konsekwencje.

Powrót do Konwiktów z wakacji nastąpi również pod opieką księżów, we czwartek dnia 1. września.

Jedynie partja łódzka wyjeżdża we środę dnia 31 sierpnia wieczorem.



Kto na czas wakacji pościeli w Konwikcie nie zostawił, winien ją na kilka dni przed przyjazdem do Konwiktu przysłać.

Jeżeliby syn lub pupil w czasie wakacji zapadł na jakąś chorobę, upraszam o jej rodzaju i przebiegu zawiadomić mnie przed rozpoczęciem roku szkolnego. Również gdyby w okolicy, w której chłopiec przebywał, panowały w czasie wakacji jakie choroby zakaźne, proszę ze względu na dobro wychowanków i całego Konwiktu donieść mi o tem przed przyjazdem uczniów. Lekceważenie tego punktu naraża Konwikt na wielkie przykrości i szkody, a winowajców na konsekwencje karne.



W braku kapitału, proszę usilnie o przysłanie pieniędzy: na bilet, wysyłkę kosza lub bagażu i wydatki w drodze, najdalej do 15. czerwca.

Nieuzasadnione spóźnienie do Konwiktu naraża wychowanków na bezwzględne usunięcie z Zakładu.

Uwaga: W końcu uprzejmie proszę aby P.T. Rodzice czy Opiekunowie w odpowiedzi na niniejszy okólnik wyraźnie zaznaczyli, czy syn lub pupil ma nadal w Konwikcie pozostać, abym mógł opróżnione miejsca nowozgłaszającym się uczniom wyznaczyć.

Z należnym poważaniem  
Ks. H. Krzyżanowski J., Rektor Zakładu  
Chyrów dnia 21 maja 1932 r.



Marta Maria Kowalska

## Czy pamięć wystarczy jako ostrzeżenie?

Gdy uczyłam się historii w II klasie liceum ogólnokształcącego we Wrocławiu druga wojna światowa była dla mnie tak odległa jak rewolucja francuska. Oczywiście wiedziałam, że dziadkowie przyjechali ze Lwowa, a moja mama opowiadała mi, jak nagle skończyło się jej beztrudne dzieciństwo we wrześniu 1939 r. Bomby, aresztowania, terror dwóch okupantów Lwowa, Katyń, Sybir, Kazachstan – te treści nie były mi obce. Znałam je z opowieści dziadków i rodziców, ale w moim odbiorze to były raczej znajome słowa, a treść gdzieś ulatywała w zetknięciu z rzeczywistością mojej młodości, tej najpierwszej, licealnej, a potem studenckiej. Nie znam wojny i niechętnie sięgałam do wojennej literatury, a do tej kresowej zachęcali mnie rodzice. Przeglądałam ją pobieżnie i zdecydowanie unikałam „naturalistycznych” opisów wojennych okropności. Jestem też przeciwniczką telewizyjnych thrillerów. Natomiast z „dawnych” przedmiotów związanych ze Lwowem i Kresami dużą przyjemność sprawiało mi oglądanie starych fotografii. Wśród nich jest kilka z Tarnopola, gdzie mieszkali kuzyni mego ojca, Ostrowscy. Ale w rodzinnych przesłaniach Lwów zawsze zasłaniał Tarnopol, który lokował się daleko. Wiedziałam tylko po prostu, że był.

Zupełnie przypadkowo wpadła mi w ręce książka, której tytuł, wypisany na białej lakierowanej okładce „Petruniu, ne ubywaj mene” przetłumaczyła mi mama, bo go nie zrozumiałam. Książkę tę przeczytałam, a właściwie „wbudowałam” w moje widzenie świata, w moją nadzieję, że nie będzie w nim nienawiści i absurdałnych zbrodni. Nie czyta jej się tak po prostu, bo jest to książka-statystyka, z bardzo zwięzłym wstępem, zawierającym jakby ekstrakt burzliwych dziejów polsko-rusko-ukraińskich. Te kilka kartek wprowadza czytelnika w suchą statystykę (opartą o przedwojenny podział administracyjny woj. tarnopolskiego) ilościowego ujęcia zbrodni i list zamordowanych Polaków w rozbi-

ciu na miesiące obejmujące lata 1941-46. Na listach figurują nie tylko Polacy, bo, jak napisał autor książki Czesław E. Blicharski – „Były przypadki narażania, a nawet utraty życia przez Ukraińców stających w obronie życia sąsiadów-Polaków. Tym większa im chwała” (s. 40). Ich nazwiska i miejscowości, w których zapłacili najwyższą cenę za miłosierdzie i wierność 5 przykazaniu są wyszczególnione przez autora – np. w pow. Przemyślski, wieś Łohódów – członkowie rodziny Piotra Snieżyka ocaleni dzięki pomocy Aleksandra Łaby, Ukraińca. UPA w odwecie wymordowała w lipcu 1944 roku całą jego 5-osobową rodzinę (s. 124). Nasuwa się tu refleksja – czyż nie byli to nieznani „Sprawiedliwi wśród narodów świata”?

Ta książka, ze względu na swoją treść, podaną w tak skondensowanej statystycznej formie, gdzie nie ma miejsca na emocje i rozrachunki, właśnie najbardziej oskarża ten patologiczny nacjonalizm, który zdeptał nawet więzy krwi. W XX wieku w Europie, wyrosłej na filozofii greckiej, prawie rzymskim i uniwersalizmie chrześcijańskim, mordowano za narodowość i wyznanie.

Autor książki (jej pełny tytuł: „Petruniu, ne ubywaj mene. Czystka etniczna w wykonaniu nacjonalistów ukraińskich na terenie woj. tarnopolskiego. Miscellanea Tarnopolskie, t. 5, 1998”) stwierdził, że listy ofiar są niekompletne i takimi już pozostaną na wieki.

Ludobójstwo wg słownika języka polskiego oznacza zorganizowane niszczenie całości lub części grup ludności ze względu na rasę, narodowość lub religię i jest pojęciem wprowadzonym do prawa międzynarodowego.

Książka Czesława E. Blicharskiego, mimo że dotyczy tylko ludobójstwa popełnionego na Polakach, ma dla mego pokolenia przesłanie uniwersalne. Każdy (bez względu na narodowość) kto popełnia taką zbrodnię winien być sprawiedliwie ukarany. □

## Pielgrzymka do naszej drugiej Ziemi Świętej

Słońce schylało się ku zachodowi, na placu w Opolu czekały na nas dwa przechodzone, mniej niż luksusowe autobusy. W rogu frontowej i tylnej szyby był naklejony niewielki obraz Matki Boskiej Nadwórniańskiej. W tyle jednego autobusu mieściła się dobrze opakowana kopia oryginalnego obrazu matki Boskiej Nadwórniańskiej. Celem pielgrzymki było przekazanie tego obrazu dla polskiego kościoła w Nadwórnej. Wiara zaczęła się schodzić, serdeczne przywitania po 55-ciu latach rozłąki, no i ładowanie bagażu. Specjalnie na tę wycieczkę kupiłem walizkę na kółkach dla wygody i łatwiejszego poruszania się. Los chciał inaczej, żeby zamiast wygody miał niewygodę. Zaraz na początku mojej podróży przy ładowaniu bagażu w Toronto, albo przy rozładowywaniu w Londynie urwali mi rączkę walizki. W Warszawie mój kuzyn dorobił prowizoryczne pasy i uchwyt, tak że można było podnieść ciężką walizkę.

O godzinie 17-tej ruszyliśmy w kierunku Krakowa. Szosa była dobra, autobusy jechały dość szybko. Brat siedział przy oknie, a ja koło niego. Naprzeciw, po drugiej stronie, siedziała koleżanka z mojej klasy, Lila Langheinig, Czerstwa, jak ją nazywał kierownik szkoły Zawadowski, za co ona nienawidzi go do dziś. Byłem zajęty rozmową z Lilą, po tylu latach nie brakło tematu. W Krakowie dosiadło kilku pasażerów. Większość uczestników była w starszym wieku. Kilka starszych pań, ale młodych w sercu, śpiewało drżącym dyskantem „jak dobrze nam zdobywać góry”.

Jazda dniem była niezła, ale nocą znużenie dawało się we znaki, w ciasnych i niezbyt miękkich siedzeniach trudno było drzemać. Nocą cichły rozmowy, monotony warkot silnika mieszał się z chrapaniem leśnych dziadków. Już było po północy, kiedy zatrzymaliśmy się na dużej przygranicznej stacji benzynowej w Kunowicach. Autobusy nabrały paliwa, a my w dość sporej restauracji pokrzepiliśmy się zupą albo kawą, z przekąską. Przed granicą, dla fasonu nasz księżulek ubrał sutannę. Strażnicy otworzyli bramę i przekroczyliśmy granicę. Ciemną nocą stanęliśmy na naszej drugiej ziemi świętej. Długi szereg ciężarówek, autobusów i samochodów osobowych czekał na odprawę celną.

Do autobusu wszedł celnik, zebrał paszporty i poszedł z nimi do biura. Ksiądz wyszedł pierwszy z autobusu, a my za nim podążaliśmy do budynku celnego, który podobny był bardziej do magazynu niż do urzędu.

Zwykle deklaracje celne pisane są w kilku językach, a oni mają tylko w swoim. Odprawa trwała długo. Wśród uczestników było tylko troje zamorskich, młoda kobieta z USA, facet z Australii i ja. Australia nie ma konsulatu ukraińskiego i Australijczyk musiał wyrabiać wizę na granicy, co trwało dość długo. Najdłużej trzymali mój paszport, nie wiem dlaczego? Może sprawdzali czy nie mordowałem banderowców. Nasza odprawa celna była krótka w porównaniu do innych, chyba dlatego, że to była pielgrzymka, że z nami jechał ksiądz. Wyminieliśmy wiele czekających pojazdów i ruszyliśmy ciemną nocą w stronę Stanisławowa. Ciemno było, nie można było widzieć, gdzie jesteśmy, ale można było odczuć. Szosy w tak marnym stanie, że autobusy nie jechały szybciej niż 30-40 km. na godz. Zaczęło świtać, ksiądz zaintonował fałszywym tonem „Kiedy ranne wstają zorze...” (nie spotkałem księdza, żeby tak nie miał głosu i

śluchu), bractwo ciągnęło za nim, mniejsza z tym, jak kto umie, tak Boga chwali. Rozwidniało się na dobre i o dziwo, co za widok – wszystko jest prawie tak, jak zostawiliśmy w 1939 r., jak w teatralnej sztuce „Camelot”, gdzie czarownica rzuciła kłutwę na okolicę i wszystko pogrążyło się w głębokim śnie, wszystko stanęło w miejscu, a teraz dobra wróżka dotknięciem czarodziejskiej różdżki powołała wszystko do życia. Przy drodze słupy telefoniczne z masą pojedynczych drutów, umieszczonych na białych porcelanowych lalkach (tak nazywaliśmy izolatory). Na pastwiskach pasterze pasą krowy, kozy i owce, kury, gęsi i kaczki. Ludzie chodzą piechotą. Biedne małe chałupki, połamane płotki, błotniste polne drogi. Prawie nic się nie zmieniło. Na szosie Stanisławów-Nadwórna drabiniaste wozy zaprzężone w konie. Rzadko widać jakiś stary rosyjski samochód albo motocykl z przyczepką. Przejechaliliśmy przez Stanisławów bez zatrzymywania się. Koło południa stanęliśmy przed polskim kościołem w Nadwórnej. Lila poszła zawiadomić Saszkę o naszym przyjeździe, bo ona zna chody, już była u Saszki kilka razy. Wkrótce przyjechał Saszka swoim motocyklem z przyczepką i Halinka Symowanek (z domu Zbigini) przyjechała ze znajomymi samochodem. Ja z bratem zostałem u Saszki i ci, którzy mieli znajomych na miejscu zostali w Nadwórnej, a reszta towarzystwa ulokowała się w pensjonacie w Jaremczu. Saszka gościł nas bardzo serdecznie. Kuchnia cymes (po bitkowsku) niech się schowa francuska „cuisine”. Przede wszystkim doskonała woda, świeży naturalny prowiant (zamrażanie jest rzadko spotykane), do tego znakomite kucharki, Darusia i córka Lila przyprawiały przysmaki – palce lizać, buzi dać. Po tylu latach zajadałem się pierogami z bryndzą.

Pod wieczór poszedłem z Saszką do Michała Andryjowicza (syna naszego szewca) dać mu pieniądze przekazane od jego młodszego brata, Sławka (kolegi szkolnego Ceški). Chodziłem po Nadwórnej jak „lunatyk”, nie musiałem pytać, gdzie było kino naszego Papy, gdzie sklep Swyszczu, gimnazjum. Pomimo zmęczenia poszliśmy późno spać, nie mogliśmy się nagadać.

Następnego dnia jeden autobus pojechał na cały dzień do Bitkowa, a drugi do Kołomyi. Jak się okazało, był to krótki dzień, od 10-ej do 13-ej. Co można było zwiedzić w tak krótkim czasie? W naszym wieku? To nie te lata, kiedy ganialiśmy po górach jak kozice. Dawne ścieżki i drogi wydały się bardziej strome niż dawniej. Autobus zatrzymał się naprzeciw naszego domu, na „sztunderplacu”, przy którym stał niegdyś konsum. Nasz dom, biedny, opuszczony, na drzwiach duża kłódka, nie mogliśmy do niego wejść, ale obeszliliśmy dookoła. Blacha dachu zardzewiała, tynk ze ścian opada, do pokoju na poddaszu można zaglądać przez dziurę w ścianie. Nie ma kurnika, ogród i podwórko zarosnięte.

Tylko świerk przed oknem frontowego pokoju zachował się, jest wspinały. Koło świerka mam zdjęcie w harcerskim mundurze, jak byłem chłopcem, i teraz w tym samym miejscu zrobiłem sobie zdjęcie, jak jestem leśnym dziadkiem.

Zdzicha, Janka, Halinka, jej kuzynka, Kazik, Saszka i ja ruszyliśmy drogą koło kancelarii kasyna na Foto Naftę. Druga grupa poszła na Olej. Sapiąc jak miech kowalski



dobiliśmy do łąki, koło domu Pisulów, na której jeździliśmy na nartach. Łąki nie ma, zarosła lasem. Za mało było czasu, żeby iść na Bęben. Zrobiłem tylko parę zdjęć Bębna, Hygi i Babeckiej góry i już był czas wracać. W drodze powrotnej oglądaliśmy dom dyrektora. Następnego dnia wycieczka zwiedzała dolinę Prutu, niestety nie wziąłem w tym udziału, Kazik obiecał swojej żonie zwiedzenie Wołosowa, skąd ona pochodzi, a więc dotrzymałem bratu towarzystwa. Była piękna pogoda. Saszka zawiózł nas tam swoim pojazdem mechanicznym. Pytaliśmy starych ludzi, gdzie była gospodarka Rogalów i za każdą informację dawałem dolara (na ten cel wziąłem z sobą 100 pojedynczych dolarów). Wędrowaliśmy od chatki do chatki (niektóre kryte słomą), polnymi drogami wśród łąk z domieszką maków, chabrow i bławatków. Były sianokosy. Żniwiarze szli równym szeregiem, drobnym krokiem, kładąc pokos za pokosem (nie widziałem w polu traktorów). Lekki wietrzyk roznosił zapach świeżego siana. Doszliśmy do rozdroża polnych dróg. Przy drodze stała biedna chatka. Weszliśmy na podwórko, pies szczekał, ale był uwiązany. Z chatki wyszła uboga ubrana babuszka, pytam, czy wie, gdzie była gospodarka Rogalów. Jak babinka zobaczyła nas z aparatami fotograficznymi, zaczęła się cofać wołając „ja niczoho ne znaju, ja niczoho ne znaju” (chyba wzięła nas za tajną policję). Brat wrócił na drogę, ale ja nie dałem za wygraną. Nie bójcie się – mówię – jak wy nie wiecie, zapytam kogo innego, a tu macie dolara na pamiątkę, zostańcie z Bogiem. Babuszka stanęła, wzięła dolara, oglądnęła go z obu stron i zapytała, skąd jestem (jak mówią pieniądz nie jest wszystkim, ale uspokaja nerwy). Z Kanady – odpowiedziałem. Wtedy babinka z płaczem: dwa tygodnie mija, jak pochowałam męża, teraz boję się każdego. Żal mi się zrobiło babinki, dałem jej jeszcze 5 dolarów. Podziękowałem za wskazanie drogi i poszedłem we wskazanym kierunku. Gdybym w przyszłości był w tych stronach, to odwiedzę tę biedną babuszkę. Tak uciekł nam znów jeden piękny dzień.

Wieczorem tego dnia Saszka zaprosił na kolację Zdzichę, Jankę, Halinkę i jej brata, był też Marian Tryniak, zamieszkały w Nadwórnej (jego ojciec pracował u ojca Białej Krysi). Po sutej, smacznej kolacji był bal na budach. Muzykalna rodzina Saszki dała koncert (wszyscy mają skończone konserwatorium muzyczne). Saszka grał na saksofonie, Dariusia na pianinie, syn Andrzej – na organach.

Trzeciego dnia wybraliśmy się w trójkę: Saszka, Kazik i ja, jeszcze raz do Bitkowa. Saszka został z motocyklem w centrum, a my ruszyliśmy w stronę elektrowni, koło dawnego placu tenisowego. Ciekawi mieszkańcy rozsypujących się baraków pytali nas skąd jesteśmy, dlaczego fotografujemy zarośla, krzaki i opuszczone budynki. Przeszliśmy koło elektrowni i przez obecnie mały most w kierunku kościoła. Zwór, w którym siedział na rusztowaniu tor wyciągu, został częściowo zasypany osunięciem się góry. Koło kościoła nabrałem ziemi do woreczka i zerwałem parę gałązek buka, robiąc przy tym ustawicznie zdjęcia. Jakiś jegomość obserwował nas, jak my wszystko oglądamy, obmacujemy, podszedł do nas i zaczął rozmowę. To był kierownik szkoły. Jak się dowiedział, że my mieszkaliśmy w Bitkowie, że byliśmy uczniami tej szkoły, otworzył ją i mieliśmy okazję zwiedzić naszą biedną, zrujnowaną szkołę. Górne piętro spaliło się i nie zostało odbudowane, bolszewicy postawili tylko dach. Było dość gorąco, kierownik szkoły zaprosił nas do plebanii (obecnie mieszkania nauczycielskie) na wodę z sokiem malinowym. Weszliśmy do plebanii, a tam stoły zastawione,

pełno gości i rozlega się śpiew „mnohyje lita”, imieniny jednej z nauczycielek. Muszę przyznać, że okazali się bardzo gościnni, posadzili nas za stołem i podawali gołąbki, pierogi, kapustę, pieczeń, ciasta, gorzałkę i wino. Ja z Kazikiem na uczcie, a biedny Sasza siedzi na motocyklu i czeka na nas, dlatego nie ucztowaliśmy długo. Podjechalśmy do podnóża Bębna, Saszka zostawił motocykl u znajomych na podwórku i ruszyliśmy na przełaj na krótsze drogi na Kamienie. Było pochmurno i coraz ciemniejsze chmury nadciągały, a my prostą linią do góry, żeby jak najprędzej dopiąć celu. Już byliśmy niedaleko szczytu, jak naraz zaczęło lać „jak wół do karety” (Stronć – Wesoła Lwowska Fala). Byliśmy spoceni i obawialiśmy się przeziębienia. Nic innego nie pozostało, tylko wracać. Nie wracaliśmy przez pola, tylko błotnistą drogą koło Kowaliczki i Jaremczów. Jak doszliśmy do miejsca, gdzie była stajnia, deszcz przestał padać i zrobiła się piękna pogoda, ale było za późno wracać, cel nie został osiągnięty. Z Bębniem łączą mnie miłe wspomnienia, wycieczki szkolne, spacer, i chciałem zobaczyć, czy zachował się wiersz wykuty w kamieniu:

*Tu spoczywa Jan parobek,  
Ja pan jego, ten nagrobek,  
Postawiłem ku pamięci,  
Niech go wszyscy święcą święci.  
Jak stawiałeś ten nagrobek  
on już nie był twój parobek,  
Tyś już nie był jego panem,  
Pocałuj go w d... Amen.*

W drodze powrotnej zatrzymaliśmy się koło Bystrzycy, ucałowałem wodę i wziąłem parę kamyków na pamiątkę, potem Saszka pokazał nam swoje atelier artistique. Później wieczorem dostaliśmy telefon, że odjazd został przyspieszony. Tego wieczoru nastrój nie był wesoły, zbliżało się rozstanie. Podjedliśmy jeszcze pierogów z bryndzą i smaczne paluszki. O godz. 4-ej pobudka, o 6-ej odjazd. Saszka zabrał bagaż do przyczepki. Kazik z tyłu, a ja z towarzyszem spacerkiem na plac zbiórki koło kościoła. Żegnał nas młody, polski ksiądz, nie grubszy od nitki, wysoki ponad dwa metry. Nadwórna była jeszcze pogrążona we śnie, jak nasze autobusy ruszyły w stronę Lwowa. Krajobraz – można powiedzieć – bez zmian, jaki był w 39 r. Jak okiem sięgnąć, pastwiska (to chyba zaniedbana uprawna rola). Jak dawniej, pod wierzbami siedzą beczynni pasterze. Biedne wioski mają może trochę więcej murowanych chatek, z czerwonej cegły, krytych blachą. W każdej wiosce widać kopuły nowej, często niedokończonej cerkwi. Przejechaliśmy przez śródmieście Stanisławowa, koło dworca i ratusza, ale ja nie znam miasta. Na obiad byliśmy we Lwowie. Prymitywna jadłodajnia, jakiej nie znajdziesz na Zachodzie. Duża oszklona hala, podobna do pustego magazynu zastawionego stołami. Był gorący dzień, miałem pragnienie, do tego obiad był tłusty, i chociaż nie jestem zwolennikiem piwa, zamówiłem piwo. Pociągnąłem jeden łyk i poprosiłem o wodę, jak można coś podobnego sprzedawać? Ustępu nie będę opisywał, to pozostawiam wyobraźni. Wszystko odbywało się w pośpiechu, pół dnia na zwiedzanie Lwowa to bardzo mało. Ruszyliśmy zwiedzać miasto, koło kierowcy siedziała pani Jadzia (przewodniczka) młoda, bardzo miła kobieta. Podziwiam ją, jak ona może bez najmniejszej przerwy gadać, podczas jazdy i w marszu: na lewo jest to, na prawo widzimy to, teraz zbliżamy się do tego i.t.d. Bez wytchnienia opowiadała historie szlacheckich polskich rodzin, które przyczyniły się do rozwoju miasta, o sławnych mieszkań-

cach Lwowa, o bohaterach. Mówiła bardzo dobrze po polsku, ale można było wyczuć odrobinę rosyjskiego akcentu. Oczywiście, byliśmy na Wysokim Zamku, w Stryjskim Parku i, co najważniejsze, na Łyczakowskim Cmentarzu.

Pielgrzymka była zaopatrzona w wielką ilość świec. Zapaliliśmy świece na grobach naszych poetów i pisarzy i innych sławnych rodaków, bohaterów, kompozytorów i.t.d.

Najsmutniej wyglądał cmentarz Orląt. Z tego cmentarza bolszewicy zrobili zsympowisko gruzów. część cmentarza została odkopana, na bramie widać napis „Umarli po to, ażebyśmy żyli”.

Po kolacji (w tej samej jadłodajni) udaliśmy się do polskiej katedry na wieczorną mszę św. Widziałem sporo dużych miast na świecie, ale z wszystkich dużych miast najbardziej do serca przypadł mi Lwów. Nie wiem, dlaczego. We Lwowie byłem tylko kilka razy. W mej pamięci zachował się jedynie Wysoki Zamek, dworzec i Panorama Racławicka. Pokochałem Lwów chyba dlatego, że byłem wiernym słuchaczem Wesołej Lwowskiej Fali. Ta joj, to może nie miasto, zabudowania, a raczej mieszkańcy przypadli mi do serca, te uszanowania, całuję rączki, padam do nóg, bądź zdrów, ma tylko jeden Lwów. Myślałem, że Lwów był bardziej zniszczony przez wojnę, wcale nie, śródmieście prawie nienaruszone, piękne, ozdobne, stare kamienice opasane brukowanymi ulicami, czego się dziś nie spotyka. Przedwojenne niebieskie tramwaje są jeszcze na chodzie.

Okolo godz. 19-ej opuściliśmy to piękne miasto. Na horyzoncie widniał tylko rąbek zachodzącego słońca, kiedy przejeżdżaliśmy przez Borysław (moje rodzinne miasto) i przez Drohobycz. W Borysławiu spodziewałem się zobaczyć las szybów naftowych, a w Drohobyczku kłęby pary buchające z rafinerii i dym wysokich kominów – rozczarowanie – ciche, niewielkie miasta, jakby tam nie było żadnego przemysłu.

Nocą dobiliśmy do granicy. Może lepiej, że nocą, za dnia byłoby cięższe rozstanie z naszą drugą ziemią świętą. Było po północy, kiedy znów stanęliśmy w długim szeregu pojazdów czekających na odprawę celną. Obawiałem się kontroli, miałem 7 obrazów od Saszki. Jak zwykle ksiądz wyszedł

pierwszy z autobusu i zażegnał niebezpieczeństwo. Czekaliśmy na granicy kilka godzin, nie wiem dlaczego, czy mają za mało personelu? Albo brak personelu fachowego? Byłem w konsulacie ukraińskim w Toronto po wizę i ku wielkiemu zdziwieniu zauważyłem, że kobieta wypisująca pokwitowania za opłatę, nie zna ani słowa po angielsku; to jest możliwe tylko u nich. W drodze złapał nas ulewny deszcz, ale nie trwał długo. Teraz jechaliśmy szybciej, lepsze drogi. Czasem autobusy zatrzymywały się w okolicy lasu, na krótką przerwę. Znużeni obserwowaliśmy przydrożne tablice, ile jeszcze kilometrów do Krakowa, a następnie do Opola. W Krakowie wysiadło kilku uczestników wycieczki i popędziliśmy do Opola, gdzie nastąpiło czułe pożegnanie. Koleżanki i koledzy, którzy nie widzieli się przez 55 lat, teraz żegnali się ze łzami i równocześnie z mocnym postanowieniem „przyjadę na przyszły rok”.

Fizycznie czułem się doskonale, czyste powietrze filtrowane liśćmi buków i woda z górskich strumyków też robiła swoje. Duchowo było coś innego, chodziłem jak lunatyk w pięknym śnie, pijany od szczęścia, że Pan Bóg dał mi doczekać tej upragnionej chwili, żebym stanął na naszej drugiej ziemi świętej. Byłem odurzony spełnieniem moich marzeń, upojony przejściem aleją wspomnień, przejść śladami pięknej, niewinnej, bezpowrotnej młodości. Właściwie można powiedzieć, że byłem na pół przytomny, dopiero w domu zacząłem przychodzić do siebie, przekonywać się, że to nie był piękny sen, to była rzeczywistość, i wtedy ogarniał mnie żal, że ta czarowna chwila tak krótko trwała.

Wspomnienia z pielgrzymki kończę słowami naszego wieszcza:

*A teraz przenieś moją duszę utęsknioną  
Do tych pagórków leśnych, do tych pól zielonych.*

Czerwiec, pielgrzymka 1995 r.  
Mieczysław (Matt) Berezowski  
22 Sigmont Rd.  
Etobicoke, Ont. M9C 4 k 8  
Canada

## Henryk Stanisław Hordt

### Opryszki

Na terenie Beskidów Wschodnich spotykamy się często z nazwiskiem słynnego opryszka Dobosza i z pochodnymi od niego nazwami. Warto więc, w największym choćby skrócie zapoznać się z historią karpaccich zbójników, której początek sięga XVI wieku. W tym czasie, wraz z pogarszającymi się stosunkami społecznymi, zaczęły pojawiać się grupy niezadowolonych chłopów sprzeciwiających się poddaństwu i coraz bezwzględniejszym obowiązkom pańszczyźnianym. Chłopi byli traktowani przez niektórych właścicieli ziemskich na równi ze zwierzętami, często okrutnie. Konflikt ten ujawnił się szczególnie ostro wśród ludności góralskiej, przywykłej do swobody, żyjącej dotąd bez jakichkolwiek świadczeń na rzecz dworów. Powstawały bandy złożone z kilkudziesięciu górali, zwane w zachodnich Karpatach zbójnikami, we wschodnich zaś opryszkami. Kierowała nimi chęć zemsty za doznane krzywdy, często bieda, głód i niemożność pokonania elementarnych potrzeb

życiowych, ale też widoki łatwego zysku. Górzysty, trudno dostępny teren, jak i poparcie miejscowej ludności sprzyjały opryszkom, toteż i szeregi ich były uzupełniane uciekinierami z nizinnych pobliskich terenów. Chłopi uciekali w góry, gdzie łatwiej było się schronić. Bandy opryszków napadały na dwory, na kupców, zwłaszcza na ormiańskie karawany kupieckie. Zdarzały się też typy o zbrodniczych instynktach, które napadały na domy bogatszych zwłaszcza Huculów i mordowały nawet dzieci. Napadom sprzyjały wielkie odległości między domami, których mieszkańcy byli zdani na własną tylko obronę. Zamożniejsi więc Huculi budowali swe domy w kształcie obronnych gniazd. Zdarzały się też wypadki, że za dnia dobry, spokojny i szanowany gospodarz, w nocy zajmował się rozbojem, o czym nie wiedzieli najbliżsi nawet jego sąsiedzi. Tak więc obrona przed samowolą dworów jak i przed agresją na ustalony od wieków huculski starowiek przemieniła się na pospo-



lity rozbój. Góry stały się niedostępne i zostały odcięte od reszty kraju.

Na straży porządku publicznego, a więc też dla zwalczania opryszków, działał na zamku stanisławowskim „sekwestr”, czyli sąd karny, który miał do pomocy milicjantów zwanych „smolakami”. Każdy wyrok był jednak przyjmowany przez ludność jako zamach na ich swobodę i niezależność. W pieśniach sławili czyny opryszków, w których, naiwnie dopatrywali się obrony swych praw do tej ziemi, obrony przed inwazją na ich góry. Chcieli być panami na swoich połoninach i w swoich lasach, niezależnymi od reszty świata. Bronili swego „starowieku”, tzn. czasów, w których Huculszczyzna stanowiła enklawę odcętą od wpływów zewnętrznych i żyła w tym górskim zakątku swoim najlepszym, niezmienianym przez postęp i obcą kulturę rytmem.

Był niegdyś czas, kiedy gloryfikowano czyny opryszków, mimo że były niezgodne z jakąkolwiek etyką. Opowiadano o nich i opiewano je na całej Huculszczyźnie, a przy tym wymyślano wciąż nowe, ale zawsze chwalebne ich czyny. Tak powstał cały świat legend regionu huculskiego, o czym zaświadcza bogata literatura na ten temat.

Najsłynniejszym z opryszków był Ołeksa Dowbusz, częściej znany jako Dobosz, do dzisiaj podziwiany i przy każdej okazji opiewany jako bohater narodowy. Na jego temat krąży wiele legend, a Huculi opowiadają o jego wielkoduszności, tęsknocie do swobody, o jego dzielności i sile, a przede wszystkim o jego miłościach i przedwczesnej śmierci. Żaden z wodzów, artystów, poetów, czy mędrców nie doczekał się tak wspaniałych i trwałych pomników, jak Dobosz. Stworzyła je sama natura. Dla przykładu wymienię tylko kilka z nich: słynna z pięknych widoków góra Doboszanka w Gorganach z komorami i skałą zwaną Zamczyskiem Doboszowym, Jaskinie Dobosza w Bubniszczach koło Bolechowa, Jaskinie Dobosza w Jamnie, Krzesło Doboszowe na Połonie Kiedrowatej pod Munczelem, głazy na Synyciach, gdzie Dobosz ukrył skarby, i mnóstwo innych miejsc, które nawiedzał Dobosz, a którym z tej racji nadano jego imię, i nikt im, jak dotąd, tego imienia nie odebrał. Na Huculszczyźnie nie ma prawie ani jednej wsi, góry, lasu czy potoku, gdzie by nie było pamiątek po Doboszu. Do najcenniejszych należą przedmioty, którymi posługiwał się on sam, nie ma jednak pewności, że rzeczywiście należały do niego.

Brak jest wiarygodnych wiadomości o miejscu jego urodzenia i dzieciństwie. Różni różnie plotą. Podam w wielkim skrócie, co na ten temat pisze S. Vincenz, najlepszy znawca Huculszczyzny. Pisze on, że Dobosz był synem ubogich wyrobników mieszkających w Peczenizynie, sześć kilometrów na zachód od Kołomyi. Od dzieciństwa musiał pomagać rodzicom przy gospodarstwie, a w wieku chłopięcym wyprowadzał owce i kozy na połoninę Kizią. Pracował tam w bardzo ciężkich warunkach u niedobrego watażki, który za najmniejsze przewinienie niemiłosiernie go bił. Tylko w ukryciu, w towarzystwie kóz i owiec czuł się bezpieczny i szczęśliwy. Wychował się na człowieka lasu. Z czasem zebrał watahę opryszków i rozpoczął awanturnicze życie od zabicia swego gnębiciela na Kiziej i okrutnego zamordowania pewnego barona, który oszukał jego brata i był przyczyną jego śmierci. Odtąd zaczął uprawiać swój

zbojecki proceder. Corocznie na wiosnę zbierał się ze swą watahą w umówionym z góry czasie i miejscu oraz przyjmował nowych łeginiów po uprzednim przeprowadzeniu próby odwagi i sprawności fizycznej oraz po odebraniu od nich przysięgi wierności. Odbywało się to najczęściej na Kiziej, na Stohu, ale też na innych górach. Z Koziej prowadziły tajne pąje do skał w Kiedrowatej, gdzie znajdowały się komory z bronią i skarbami. Jedna ze skał nazywała się „krzesłem Dobosza”, na którym zasiadał jak udzielny książę. Na jego wezwanie zjawiali się natychmiast opryski i stąd wyruszało na łupieskie wyprawy konne wojsko Dobosza. Ubrani byli w czerwone spodnie i sieraki, na głowach mieli wysokie, trójkątne czapy, a na nich i na piersiach błyszczące miedziane blachy. Wszystko to, jak i różnorodna broń i konie, pochodziło z rozbójów.

W krótkim czasie wierzchowina zarośla się od coraz liczniejszych zastępów Dobosza zwożących skarby i zagarnięte karawany kupieckie. Coraz śmielsze i zawsze udane były jego wyprawy. Zorganizował krwawe napady na dwa miasta: Kuty i Bolechów. Szczytem jego łupieskiej działalności był świetnie zorganizowany napad na Złotą Banię – obronny zamek na przedgórzu węgierskim. Zbudowany na skale, otoczony fosą, zabezpieczony zwodzonym mostem, był nadzwyczaj silnie ufortyfikowany i strzeżony. Znajdowała się tam mennica państwowa i skarbiec. Napad, podczas weselnych uroczystości na zamku, odbył się zupełnie bezkrwawo i mimo natychmiastowego pościgu nie udało się niczego odzyskać. Rosła sława młodego hetmana huculskiego. Zwracano się do niego we wszystkich sprawach, także o rozstrzygnięcie w sporach. Zdobywcę rozdawał często niezamownym Hucułom, za co go lubili, sławili i śpiewali o nim piosenki. Rychło jednak zauważył, że nie można było nasycić ich chciwości i zachłanności.

Takie łatwe wzbogacanie się doprowadziło wkrótce do sporów i zawiści, przy czym popularność Dobosza malała. Spostrzeżono, że za otrzymywane prezenty uzależnił ich od siebie. Na bogaczy nałożył wysoki podatek, jako gwarancję za ich własne bezpieczeństwo.

Przebrała się jednak miara jego planów podporządkowania sobie całej Huculszczyzny. Zaważyło tu jedno tragiczne zdarzenie: nad rzeką Riczką, we wsi Krasnoła, 5 km od Uścieryk, gdzie Czeremosz Czarny łączy się z Białym i tworzy rzekę Czeremosz, mieszkał zaможny gospodarz Diduszko. Pracowity, ogólnie szanowany dbał nie tylko o swoją rodzinę, ale też o służbę. Nie opłacał się Doboszowi, a wprost przeciwnie, odgrzał się i obiecał wielką nagrodę za ujęcie go. Wstrząsnęło to Doboszem, gdy się o tym dowiedział. Nieprzytomny z gniewu wyruszył natychmiast do diduszowej graży i tam na oczach rodziny i służby toporem zabił spokojnego i uczciwego człowieka. Zawrzało w górach. Tak bogaci, jak i biedni zwrócili się przeciw Doboszowi, a nawet na płajach czyhali, by go zabić.

Jednak nie z ich ręki zginął słynny watażka. Winna była temu gorąca i namiętna miłość do zamężnej kobiety, Kseni Zwinkowej, żony gospodarza w Kosmaczu. Obdarowywał ją najbogatszymi prezentami i powierzał jej największe swoje tajemnice. Ksenia była jednak przewrotna, miała go zapewne dość i postanowiła pozbyć się go. Razem z mężem uknuła zasadzkę i gdy Dobosz zaczął gwałtownie dobijać się do chaty, jej mąż strzelił do

niego ze strychu zaczarowaną, srebrną kulą, poświęconą w kilku cerkwiach, bo od takiej tylko mógł zginąć, jak jej kiedyś sam Dobosz powiedział. Ksenia i jej ród szczylic się przy każdej sposobności, że to ona właśnie była przyczyną śmierci najslawniejszego watażki. Nie wiadomo ile w tym prawdy. Z legend huculskich wynika, że zrozpaczeni opryski ponieśli jego ciało na Kizią i tam pochowali je wśród skał w pobliżu krzesła doboszewego, jak sobie tego przed śmiercią życzył. Nakazał im też wtedy, aby zaprzestali zemsty, rozbojów i morderstw.

Tak o śmierci Dobosza głoszą opowiadania i pieśni huculskie. Stanisławowskie akta sądowe podają natomiast, że Dobosz zmarł w Kosmaczu – sam się otrul podczas przesłuchiwania go przez smolaków. Ciało jego przewieziono do Kołomyi, gdzie zawieszono je na widok publiczny dla odstraszenia innych. Podają też, że zostało ono poćwiartowane i rozrzucone po polach. W to jednak nikt na Huculszczyźnie nie wierzy. Wciąż jeszcze ludzie pielgrzymują na główny grzbiet Czarnohory i tam na Kiedrowatym odwiedzają miejsca gdzie żył, gdzie był jego skalny dom i gdzie spoczywają jego szczątki.

Oleksa Dowbusz, urodził się w 1711 roku, a działał jako opryszek w latach 1739 do 1745. Jeżeli do tych lat dodamy 200 to otrzymamy czas działalności znacznie groźniejszego zbrodniarza, działającego też na terenie Polski, który, podobnie jak Dobosz, przez samobójstwo uniknął sprawiedliwej kary.

Przez pewien czas Dobosz był udzielnym władcą utworzonej przez siebie rzeczypospolitej huculskiej. Chronił swój lud przed pańszczyzną – chociaż sam nakładał podatki, chronił młodych łeginiów przed wojсками – chociaż sam werbował ich do swej bandy, marzył o swobodzie dla własnego ludu – ale uciskał tych, którzy byli mu niewygodni. Był doskonałym organizatorem i przezornie obmyślał każdą wyprawę opryszków.

Jak każdy Hucul, był niesłychanie drażliwy (o czym powinni pamiętać turyści) i głupie przechwałki wypowiedziane przeciw niemu wprowadzały go w nieposkromiony gniew, czego przykładem jest zamordowanie Diduszki. Oleksa zrozumiał swój błąd. Nie każdy, kto mówi, że zabije, lub że zabije się, naprawdę myśli o morderstwie lub samobójstwie. Od mowy do czynu jest nieskończenie daleko. Upokorzył się, przeprosił i zawarł zgodę z synem zamordowanego Diduszki, Stefanem, bogato go obdarował, aby naprawić wszelkie szkody.

Huculi kochają swego opryska – rozbójnika, sławią go jako wielkiego bohatera nie za jego rozboje, ale za jego wielkoduszność, za serce dobre dla ubogich. Na pewno przyczyniła się do tego siła i uroda przystojnego leginia i młody wiek, w jakim zginął, i to z powodu wielkiej miłości. Daje to kanwę do snucia niezliczonych, romantycznych opowieści wciąż na nowo powstających, wymyślanych, w których nie ma chyba cienia prawdy. Dzieje Dobosza to zmyślanie i nikt nie doszedł prawdy i nigdy nie dojdzie. Pewne jest, że istniał dzielny i groźny opryszek o nazwisku Dowbusz, który przez pewien czas panował w górach jak udzielny książę i był nieuchwytny. Prawdziwa jest historia Diduszki, odważne napady na Kuty i Bolechów oraz na Złotą Banię, ale jak było z Ksenią – to nie wiadomo. Jej mąż Zwinko wszystkiemu zaprzeczał, niczego nie zauważył i nie wiedział o tym, jakoby jego żona otrzymywała jakiekolwiek prezenty od Dobosza.

Historycy podają długą listę groźnych, wschodniokarpackich opryszków niepokojących ludność tamtych stron.

Do zaniku zbójnictwa w Karpatach przyczyniły się chłopskie ruchy wolnościowe w Galicji, w latach 1846 i 1848, które spowodowały społeczno-gospodarcze reformy, m.in. zniesienie poddaństwa w 1848 r., uwłaszczenie chłopów i zniesienie obowiązków pańszczyźnianych. Dopiero jednak austriacka żandarmeria zlikwidowała ostatecznie działalność opryszków w drugiej połowie XIX wieku. Utworzono oddziały „puszkarów” z ochotników huculskich, dano im broń, pensję i bezkarność za czyny przeciw mieszkańcom tych gór. W ten haniebny, ale skuteczny sposób zwalczono opryszków i zniewolono naród, przez zorganizowanie Huculów przeciw Hucułom. Oczyszczono góry, do których od długiego czasu nikt nie miał dostępu.

W XIX wieku pojawili się na Huculszczyźnie patrioci polscy, którzy po powstaniach, zwłaszcza 1863 roku, w tamtejszych kniejach szukali schronienia przed zaborcami.

Trzy zdarzenia odegrały w życiu Huculów szczególnie wielką rolę, a mianowicie: przejście władzy państwowej od liberalnej, tolerancyjnej Polski do absolutnej, nietolerancyjnej Austrii. Drugim był gwałtownie rozwijający się przemysł drzewny, a trzecim, zdawałoby się najkorzystniejszym dla miejscowej ludności, było zbudowanie linii kolejowych: Stanisławów-Delatyn-Kołomyja-Kuty i Delatyn-Worochta. Dolinę Prutu zaczęli penetrować agenci spółek handlujących drewnem, zaczęli pojawiać się też lichwiarze zbożowi, którzy doprowadzali Huculów, pozbawionych jakiejkolwiek ochrony prawnej, do kompletnej ruiny. Lasy wycinano w sposób nieprzemyślany i barbarzyński, a drewno spławiano często aż nad Morze Czarne dla angielskiego lub austriackiego przedsiębiorcy handlowego. Tak wschodnio-karpacki górale, o pasterskiej umysłowości, zostali wciągnięci w konfrontację z wyrafinowaną przemysłowo-handlową kulturą reprezentowaną przez Anglików, Austriaków i Żydów. Dopiero rząd II-ej Rzeczypospolitej wziął Huculów w opiekę, unieważnił wiele oszukańczych umów i nie pozwolił na wywłaszczenie i wysiedlanie Huculów z ich domów, jak i na pozbawianie ich koniecznych warunków do życia.

Tak więc po wiekach niepokojów, jakie trapiły tamtejszą ludność, po przeżyciach z opryszkami, a później z różnego rodzaju oszustami i lichwiarzami, którzy masowo wtargnęli w te góry, zwłaszcza po wybudowaniu linii kolejowych, po walkach, jakie się tam rozegrały podczas I wojny światowej, nastał wreszcie na Huculszczyźnie spokój i zaczęło swobodnie rozwijać się życie. Powoli wzrastał dobrobyt i ogólny poziom kulturalny Huculów. Poczuli się oni bezpieczni w swoich górach, a za ich pomoc żołnierzom II Brygady Legionów Polskich w walkach z Moskalami w zimie 1914/15 roku, rząd otoczył Huculów opieką, wspierał ich rodzimy przemysł oraz wielokierunkową, wyjątkowo piękną sztukę ludową. Huculszczyzna zyskiwała z roku na rok coraz to szerszy rozgłos w kraju, a miejscowości nad Prutem i okolice Kosowa stały się najbardziej atrakcyjnymi letniskami i zimowiskami. Góry Pokucia, a zwłaszcza główne pasmo Czarnohory zasłynęło w Polsce z najpiękniejszych, obok Tatr, terenów do uprawiania turystyki tak letniej, jak i zimowej. □



Zbigniew Umański

## Notatnik Kresowy

### „Kurier z Londynu” we Lwowie

Jan Nowak Jeziorański, słynny „kurier z Londynu”, człowiek-legenda, odwiedził Lwów w towarzystwie Andrzeja Przewoźnika – sekretarza generalnego Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa. Był na Cmentarzu Orląt, zwiedził zabytki lwowskie, spotkał się w siedzibie Zarządu Głównego Towarzystwa Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej z jego kierownictwem i członkami. – „ogromną radością jest dla mnie spotkać się z lwowiakami, bo od dziecka miałem olbrzymi sentyment do Lwowa. (...) Wasz los – Polaków tutaj jest szczególny. Na was spoczywa misja utrzymania tu kulturowego dziedzictwa polskiego i zdobycia szkolnictwa polskiego.... Moje całe doświadczenie mówi mi, że i w waszym interesie i Polski leży pojednanie polsko-ukraińskie. Nie nastąpi to z dnia na dzień – stereotypy umierają wolno, ale nie możemy czekać aż przyjdzie nowe pokolenie... W tej chwili stosunki polsko-ukraińskie idą ku lepszemu. Cierpliwości... Tutejsza społeczność polska nie jest żadną polonią – jesteście u siebie! – przypomniał lwowiakom uczestniczącym w spotkaniu.

O ustaleniach z władzami lwowskimi po ostatnich rozmowach dotyczących odbudowy Cmentarza Orląt poinformował sekretarz generalny ROPWiM Andrzej Przewoźnik (pisaliśmy o nich, zamieściliśmy dokumenty podpisane w tej sprawie przez obie strony w poprzednim numerze „SF”). – Są efekty naszej pracy. Nie należy patrzeć pesymistycznie. Należy pamiętać, że jest to przedsięwzięcie ogromnie skomplikowane. Czekają nas ogromne prace – stwierdził A. Przewoźnik na zakończenie.

### Urodzinowa feta na cześć Adama

200 rocznicę urodzin naszego wieszca narodowego – Adama Mickiewicza, konsul RP we Lwowie, Piotr Konow-rocki, chce godnie uczcić. Zwierzyl się dziennikarce „Gazety Lwowskiej”: – Musimy szczególnie zadbać o pomnik Mickiewicza – lwowski pomnik wieszca jest najpiękniejszy w Europie. Pragnę zorganizować mickiewiczowskie obchody w naszym mieście. Warszawa przyśle nam dużą wystawę i lektora, który będzie opowiadać o Mickiewiczu. 24 grudnia, w dniu urodzin poety, złożymy kwiaty przy pomniku – zaprosimy wojewodę i mera, żeby przyłączyli się do nas. Chcę też urządzić wieczór mickiewiczowski w Operze. Reżyser Z. Chrzanowski podpowiedział, że można by było zrobić Mickiewiczowski Wieczór Wigilijny. I w ten sposób zakończyć Festiwal Kultury Polskiej... „Gazeta Lwowska” natomiast rozmawiała z Arboretum w Przemyślu, żeby zadbało o rośliny wokół pomnika. Znalazła też we Lwowie kwiaciarkę-Polkę, która po przeczytaniu o tym, jak krakowskie kwiaciarki tradycyjnie składają kwiaty w dniu urodzin Mickiewicza, przyrzekła sobie, że zapoczątkuje taką tradycję we Lwowie. Powodzenia!

### Przyjaciel kresowian

Prezes Stołecznego Oddziału TMLiKPW ks. Janusz Popławski udekorował Złotą Odznaką TML dyrektora Muzeum Niepodległości w Warszawie – dr. Andrzeja Stawarza, przyznając mu przez Kapitułę tego odznaczenia za jego przychylny stosunek do spraw kresowych. Przy muzeum istnieje kolekcja Leopoldis z bogatymi zbiorami, które kilkakrotnie były eksponowane na wystawach poświęconych Kresom Południowo-Wschodnim. Szczególnie imponująca była wystawa „Kresy Wschodnie Rzeczypospolitej – Ziemia i ludzie” zorganizowana na przełomie 1997/98 roku.

W salach Muzeum Niepodległości odbyło się uroczyste zakończenie I Dni Lwowa, zorganizowanych w Warszawie w dniach 20-24 listopada ub. roku. W tym roku warszawscy lwowiacy i kresowiaci, zachęcani dużym zainteresowaniem ich „Dniami Lwowa” planują w listopadzie br. urządzenie Tygodnia Lwowskiego.

### Już cztery polskie klasy

... są w podstawowej szkole ukraińskiej nr 14 w Stanisławowie. Uczęszcza do nich 46 uczniów. Grono nauczycielek z Polski – Alicja Marchlewska, Anna Świątkowska, Stanisława Szczur, Małgorzata Rygiel i Helena Szaraparowska z Wrocławia, oprócz polskiego uczą dzieci także geografii i historii naszego kraju. Zarówno nauczyciele jak i ich wychowankowie uczący się w klasach z jęz. polskim mogą już korzystać z biblioteki w nowo zbudowanym i oddanym do użytku w ub. roku Domu Polskim przy parafii Chrystusa Króla. Salę biblioteczną wyposażył w regały Klub Stanisławowiaków w Warszawie, a książki polskich autorów przywiózł m.in. wrocławski Klub TML „Leopoldis”.

Rodzice i dzieci polskiej klasy IV w tej szkole przesłali za pośrednictwem „Gazety Lwowskiej” serdeczne podziękowanie prezesowi ZG TMLiKPW A. Kamińskiemu i prezes wrocławskiego Oddziału Towarzystwa K. Karbownik za wsparcie finansowe, które pozwoliło uzyskać paszporty zagraniczne dla dzieci, umożliwiające im wyjazd na ferie i wakacje do Polski.

### Pomagają, wspomagają, leczą

Nie ustają w niesieniu pomocy charytatywnej, finansowej i w innej formie oddziały i kluby TMLiKPW, nawet te najmniejsze, naszym rodakom na Kresach. Oto garść przykładów.

**Katowice** (prezes Lesław Hawling). Dwukrotnie w minionym roku katowicki oddział TMLiKPW wysłał transporty z żywnością, lekami, środkami czystości, odzieżą i książkami. Do bezpośrednich odbiorców, domów starców, polskich szkół „10” i „24” oraz przedszkoli we Lwowie. Wielce pomocny w tej szeroko zakrojonej pomocy katowiczanie był p. Czesław Bryk, konsultant Radia Lwów, który bezpośrednio dostarczał paczki adresatom. Nowe ukraińskie przepisy celne utrudniają bowiem nasze akcje charytatywne. Katowickie TMLiKPW wsparło finansowo biedne przedszkole polskie we Lwowie oraz rodziny emerytów, które otrzymały prawo stałego pobytu w Polsce.

Latem zorganizowano wypoczynek wakacyjny dla 10 dzieci polskich (ze Lwowa i Gródka Jagiellońskiego) na kolonii letniej i dla 5 chłopców na obozie harcerskim nad morzem. W drodze powrotnej dzieci zwiedziły Kraków i Wawel. (Akcję letnią wsparł finansowo prezydent Katowic, KIK i sponsorzy). Członkowie TMLiKPW w Katowicach zapewnili 5-dniowy pobyt lekarce-specjalistce ze Lwowa, która leczyła się w klinice okulistycznej prof. Gierkowej. Na Cmentarzu Łyczakowskim katowiczanie prowadzą prace remontowe i konserwacyjne przy 38 grobach na polu nr 68 „a”.

**Częstochowa** (prezes Bronisław Radomski). Dwa duże samochody ciężarowe – z żywnością, odzieżą i środkami czystości wysłał oddział częstochowski w ub. roku na Kresy. Dotarły do rodaków w Skale Podolskiej, Łosiaczu, Zbarażu, Dorohobyczu i Samborze. Transport zapewnił nieodpłatnie Zakład Energetyczny. Dzięki przychylnemu stosunkowi dyrektora inż. Ireneusza Gębskiego do akcji TMLiKPW, częstochowscy kresowiaczy mają możliwość, dwa – trzy razy w roku posłać pomoc rodakom na Kresach. W ten sposób dostarczono do Lwowa narzędzia niezbędne przy remoncie Cmentarza Łyczakowskiego i Orląt.

Latem zorganizowali kolonie dla 20 dzieci (plus 2 wychowawczynie) z Sambora i okolicznych wiosek. Dzieci wypoczywały, jeździli na wycieczki, ale także uczyły się polskiego i historii Polski.

**Gnieźno** (prezes Michał Koziarski). Oddział opiekuje się rodakami w miejscowości Strzelczyska i zamieszkałymi w okolicznych wioskach Polakami. W ub. roku gnieźnieńscy kresowiaczy zaprosili do siebie 40 rodaków z w/w miejscowości na okres pobytu papieża w Gnieźnie, a latem – 20 dzieci (plus 2 wychowawczynie) na trzytygodniową kolonię. Ponadto 3 dzieciom ze Strzelczysk załatwiono zabiegi chirurgiczne w Klinice AM w Poznaniu (wykonano je nieodpłatnie) i leczenie w szpitalu miejskim w Gnieźnie. Koszty pobytu chorych dzieci ponieśli członkowie TMLiKPW. Gnieźnieński oddział, podobnie jak inne, przesłał w ub. roku na Kresy dla swoich podopiecznych żywność, sprzęt gospodarstwa domowego, odzież, środki czystości i leki wartości ok. 11 tys. zł. Ponadto indywidualnie przesłano 60 paczek 12 rodzinom polskim we Lwowie.

**Sanok** (prezes Maria Siekierzyńska). Po 1 dolarze miesięcznie składają się dobrowolnie członkowie TMLiKPW w tym mieście, aby pokryć pobyt nauczyciela w Dubnej na Kresach, który naucza tam języka polskiego. Przesłano też podręczniki i inne materiały oświatowe.

## Stryjanie swojemu miastu

Figurę Matki Bożej Niepokalanej postawiono w Stryju w 1927 r. – w 500 rocznicę założenia tu świątyni. Była obiektem wielkiego kultu społeczeństwa stryjskiego. Figura przetrwała wojnę, I okupację sowiecką, niemiecką i dopiero w latach 60., mimo protestów wiernych, rozbito ją na kawałki i wywieziono na śmietnik. Byli mieszkańcy Stryja, a obecnie zamieszkali w Gliwicach, członkowie TMLiKPW Oddziału Stryjan w tym mieście, postanowili ponownie postawić figurę Matki Bożej Niepokalanej przed tą świątynią. Kiedy ks. Jan Nikiel – proboszcz parafii rzymskokatolickiej w Stryju uzyskał od miejscowych władz zezwolenie na jej postawienie – zaczęli szukać odpowiedniego posągu MBN w wytwórniach w Polsce i na Ukrainie. Nie znaleźli ... I stał się „cud” – w zakamarkach stryjskiego kościoła odkryto posąg MBN w ... idealnym stanie! Stryjanin, artysta plastyk Jan Lessaer zaprojektował do niego cokół, który odlano



w Gliwicach. Gdy przywieziono go do Stryja, mer miasta nakazał wybrukować plac, na którym miał stanąć posąg. Prace nadzorował architekt miejski p. Andruszko. Firma p. Mikołaja Zielińskiego, Fryderyk Zawiślak z Gliwic i parafianie pomogli w zamontowaniu cokołu i ustawieniu na nim figury Matki Bożej Niepokalanej.

8 września ub. roku poświęcił ją biskup Marcejan Trofiński, w asyście wielu księży z Polski i Ukrainy, duchowieństwa greckokatolickiego i sióstr Józefitek. Było to wielkie wydarzenie dla mieszkańców Stryja. Na cokole, z obu stron, umieszczono tablice z napisem polskim i ukraińskim: „W 70 rocznicę postawienia figury Matki Bożej Niepokalanej, dla wyrażenia wdzięczności za Jej opiekę, stawiamy Ją na nowo na tym samym miejscu – oddani stryjanie”. Niestety, nie doczekał tego święta prezes Oddziału Stryjan w Gliwicach, śp. Tadeusz Baszak, który był inicjatorem postawienia na dawne miejsce posągu MBN i przyczynił się do tego. Zmarł nagle.

## Architektura Lwowa XIX wieku

Kolejną wystawę kresową otwarto w stolicy. Tym razem w Zamku Królewskim – „Architektura Lwowa XIX wieku (1772-1918)”. Zaprezentowane na wystawie zdjęcia, projekty, plany pochodzą z archiwów i bibliotek polskich i ukraińskich (lwowskich) oraz czasopism architektonicznych z epoki. Ukazują fragmenty miasta i obiekty wzniesione u schyłku XVIII w., poprzez budowle XIX-wieczne po nowoczesne i ogromne gmachy z pierwszych lat naszego stulecia. Autorem pomysłu i komisarzem wystawy jest dyrektor Międzynarodowego Centrum Kultury w Krakowie – prof. Jacek Purchla. Zachęcam kresowiaków odwiedzających Warszawę do obejrzenia tej profesjonalnie przygotowanej wystawy o naszym Lwowie.

## Benefisowa niespodzianka

Poznańska aktorka – lwowianka, Krystyna Feldman, w lutym br. obchodziła benefis 60-lecia pracy aktorskiej. Zadebiutowała w 1937 roku, po ukończeniu szkoły tea-



tralnej, na scenie Teatru Miejskiego we Lwowie. Podczas wojny nie występowała – uczestniczyła w ruchu oporu w AK Okręg Lwów. Zmuszona wyjechać w 1945 r. z rodzinnego miasta trafiła wprawdzie do teatru w Katowicach, a później do innych. Od 1983 r. gra w Teatrze w Poznaniu. W swoim dorobku artystycznym ma ponad 100 ról, w tym wiele filmowych. Krytyk Ewa Wycichowska napisała o niej: „Niebywale zdolna, niewielkie ciało z ogromnymi możliwościami interpretacji i choreografii ruchów.”

Na Jej benefis przybyli wojewoda poznański, prezydent Poznania i inne osobistości, oraz – co było zupełną niespodzianką dla beneficjentki – zespół „Wesoły Lwów”, kochane batiary, ze Zbyszkim Jarmiłą z jej ukochanego Lwowa! Przywieźli z sobą lwowską piosenkę, humor, łyczakowski bałak – aby rozweselić Ją i Jej gości, zaśpiewać beneficjentce „Sto lat” i wręczyć wielkiego lwa – symbol Lwowa oraz... 60 prawdziwych pierogów lwowskich! Zdążyli jeszcze wystąpić dla członków poznańskiego TMLiKPW i na drugi dzień wyruszyli w drogę powrotną do Lwowa (800 km). Szac chłopaki!

### „Władca map i atlasów”

– pod takim tytułem odbył się quiz o Eugeniuszu Romerze, zorganizowany w Koszalinie przez miejscowy oddział TMLiKPW. Wzięli w nim udział państwo Jan i Halina Romerowie z Wrocławia, którzy przywieźli ze sobą zdjęcia i atlasy Dziadka oraz dwa filmy amatorskie o Nim, nakręcone jeszcze we Lwowie. Pan Jan opowiadał koszalińskiej młodzieży szkolnej, biorącej udział w konkursie, o swoim Dziadku – Eugeniuszu, a pani Halina Bogucka – która przygotowywała pytania konkursowe i quiz geograficzny – o naukowym dorobku wielkiego geografa polskiego. Impreza odbyła się w Miejskim Ośrodku Kultury. Udaną dekorację sali – portret Eugeniusza Romera i Książnicy „Atlas” oraz znaki graficzne Instytutu Kartograficznego E. Romera we Lwowie wykonał Henryk Maciejewski, plastyk z MOK. Imprezie towarzyszyła wystawa map, atlasów i pamiątek po Uczonym oraz sprzedaż współczesnych wydawnictw geograficznych. Jego wnuk podpisywał książki – nagrody i zakupione przez uczestniczących w tej bardzo udanej imprezie. Towarzystwo jej duże zainteresowanie młodzieży. Gratulujemy pomysłu i jego realizacji.



Od lewej: p. Halina Bogucka, p. Jan Romer, uczennice – laureatki konkursu ze swoją nauczycielką geografii p. Małgorzatą Statkiewicz.

### Pamięci pomordowanych

Rada Miejska Wrocławia poinformowała Zarząd Główny TMLiKPW, że uchwałą nr XLVI/648/97 wyraziła zgodę na wzniesienie Pomnika obywateli polskich pomordowanych na Kresach Południowo-Wschodnich w latach 1939-1947 przez NKWD, Gestapo i OUN-UPA. Pomnik będzie usytuowany na bulwarze Ksawerego Dunikowskiego, niedaleko Panoramy Racławickiej. Wykonanie uchwały powierzono Zarządowi Miasta – poinformował nas wiceprzewodniczący Rady Miasta Wrocławia, Stanisław Huskowski.

Wiele lat oczekiwaliśmy na tę decyzję satysfakcjonującą kresowian osiadłych nad Odrą.

### Kresowianki żyją dłużej



105 lat skończyła 31 stycznia br. wrocławianka Weronika Wolańska. Urodziła się jeszcze „za Austrii”, w Czerniowcach. Do Polski, do Lubania Śl., przyjechała dopiero w 1956 r. Dwadzieścia lat później przeniosiła się do córek do Wrocławia. Pani Weronika ma dwie córki, 5 wnucząt i 5 prawnucząt. Nie używa dotąd okularów do czytania książek, jedynie ma problem ze słuchem. Jeszcze dzisiaj, choć porusza się na wózku inwalidzkim, pomaga w różnych pracach domowych. – Jest bardzo towarzyska, lubi jak ją odwiedzają sąsiedzi – wyznała nam jej córka Kazimiera. Z okazji 105 rocznicy urodzin jubilatce złożył życzenia wiceprezydent Wrocławia Stanisław Najniger, a chór z Domu Kultury „Zamek” zaśpiewał jej lwowskie piosenki.

O cztery tylko lata młodsza od niej jest obecna warszawianka, pani Stefania Kuczyńska, urodzona w Stanisławowie. Pani Stefania uczęszczała do gimnazjum we Lwowie przy ul. Chorążczyzny. Obecnie mieszka w Domu Pracowników Służby Zdrowia w Warszawie. Syn, wnuczka i prawnuczka odwiedzają ją każdej niedzieli. Mimo sędziwego wieku, także czyta bez okularów. Pasjami lubi rozwiązywać krzyżówki.

Wrocławianka, p. Maria Cybulak, jest najmłodszą z trójki długowiecznych kresowianek – skończyła dopiero co „tylko” 100 lat życia. Do Wrocławia przyjechała z rodziną ze Lwowa. Doczekała się już sześciu prawnuków i jednego, rocznego, praprawnuka. Jubilatka cieszy się dobrym zdrowiem i choć gorzej widzi i słyszy, jest bardzo pogodna, a wprost przepada za słodyczami. Gdy pani Maria miała 70 lat, to razem z wnukiem Ryszardem zdobywali zakopiański Giewont...

Gdzie nam, panowie kresowiaci, równać się z naszymi paniami! Mężowie wszystkich trzech jubilatek już dawno są u św. Piotra... Ale na pewno życzą swoim niegdyś towarzyskom życia „Dwustu lat!” Dołączamy się do nich. Daj Wam Boży zdrowi! □

Janina Kondzioła

## Tak było we Lwowie

We Lwowie w marcu tego roku śnieg, zimno, ale atmosfera gorąca – wybory. Wybory do władz Ukrainy, ale też wybory do władz Towarzystwa Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej. Jak zwykle w takich sytuacjach, trochę nerwowo opowiada się o kandydatach – za i przeciw.

Sobota 21 marca, w lokalu wyborczym gwaro, ale tłumów nie ma. Okazało się, że Lwów reprezentowało 178 członków, teren 151. Sporo gości. Oczywiście Konsul Polski pan Piotr Konowrocki, prof. Kolenda ze „Wspólnoty Polskiej” Kraków, dr Tadeusz Samborski „Pomoc Polakom na Wschodzie”, St. Nawrot „Polska Wschód”, prof. Jerzy Kowalczyk TML Kraków, ZG TMLiKPW reprezentują Adam Lewicki (Tarnów), ks. Janusz Popławski (Warszawa), Janina Kondzioła (Wrocław). Prezes St. Czerkas przeczytał krótkie, zwięzłe sprawozdanie za okres kadencji, bez poruszania spraw drażliwych. Sprawozdanie z działalności lekarzy ze Stowarzyszenia Lekarzy Polskich we Lwowie zdała dr Ewa Hrycaj-Małańcz – Prezes Stowarzyszenia. Sprawozdanie z konieczności krótkie, ponieważ bardzo sprawnie prowadzący, Barbara Baczyńska z Radia Lwów i Zbigniew Pakosz ustalili na 5 minut czas przemówień i ostro egzekwowali te ustalenia.

Po dokonaniu formalności wyboru Komisji – mają przedstawić się kandydaci ze swoim programem.

Pierwszy, Emil Legowicz, program bogaty.

Za pana Mariana Baranowskiego zgłasza się pan S. Majdziński odczytując jego rezygnację. Zostaje więc jeden kandydat na polu bitwy i wynik wiadomy. Nowemu prezesowi Emilowi Legowiczowi składamy serdeczne gratulacje. Życzymy sukcesów w nowej pracy – liczymy też na dobrą współpracę. Honorowymi prezesami zostali pp. St. Czerkas i M. Szarobura.

W niedzielę 22 marca w szkole nr 10 wybory do Zarządu Towarzystwa Opieki nad Grobami Wojskowymi. Zebranie prowadzi Adam Lewicki z TMLiKPW Tarnów. Obecnych było 40 osób. Zebranie jest sprawnie i szybko prowadzone. Wybór mnóstwa Komisji. Krótkie sprawozdanie prezesa, pana Eugeniusza Cydzika i przewodniczącego Komisji Rewizyjnej. Ktoś proponuje na prezesa pana Szymańskiego, który jednak odmawia. Wybrano więc ponownie pana Cydzika.

Otrzymując głos gratuluję nowo wybranemu Prezesowi życząc dobrej współpracy z ekipami, które będą prawdopodobnie uczestniczyć w odbudowie Cmentarza Orląt. Również usiłuję wyjaśnić panu prof. Kowalczykowi sprawę funduszy zebranych na Cmentarz – ale w tym wyręczył mnie Adam Lewicki.

W piątek w Katedrze Lwowskiej odbyła się uroczysta msza św. poświęcona 75 rocznicy śmierci arcybiskupa Józefa Bilczewskiego. Po mszy jedziemy na Cmentarz Janowski, gdzie przy grobie Arcybiskupa modlitwy prowadzą księża przybyli z parafii z okolic Lwowa.

Zawierucha śnieżna nie wystraszyła obecnych. Wytrwa-  
liśmy do końca. □

## Lwowskie i kresowe kalendarium

Opracował Zdzisław Ojrzyński

1. 03. 1914 r. Andrzej Małkowski opracowuje trzecią wersję prawa harcerskiego, które obowiązywało do 1945 r.

2. 03. 1991 r. Konsekracja biskupów: O. Rafała Kierśnickiego, Marcjana Trofimiaka i Jana Olszańskiego (dla Krzemieńca Podolskiego) w Archikatedrze lwowskiej przez JE ks. metropolitę arcybiskupa Mariana Jaworskiego

4. 03. 1991 r. Konsekracja biskupa Jana Porwińskiego w Żytomierzu przez JE ks. metropolitę lwowskiego arcybiskupa Mariana Jaworskiego

4. 03. 1940 r. rozkaz Stalina zamordowania oficerów polskich w Katyniu

5. 03. 1953 r. śmierć tyrana Józefa Stalina

8. 03. 1890 r. urodził się w Tarnopolu Eugeniusz Baziak, arcybiskup lwowski (+1962)

9. 03. 1387 r. Królowa Jadwiga na czele panów polskich wjeżdża do Lwowa.

10. 03. 1942 r. pierwsza ewakuacja Polaków z ZSRR do Iranu

W 1886 r. urodził się w Brzeżanach marszałek Polski Edward Rydz-Śmigły.

14. 03. 1886 r. państwa zwycięskiej koalicji (W. Brytania, Włochy, USA, Francja) potwierdzają ostatecznie przynależność Lwowa i Galicji Wschodniej do Polski.

17-20. 03. 1919 r. odsiecz Lwowa pod wodzą gen. Wacława Iwaszkiewicza, który przełamał czteromiesięczne oblężenie miasta przez Ukraińców.

18. 03. 1921 r. pokój w Rydze ze ZSRR – ustalenie granic

18. 03. 1945 r. uprowadzenie 16 przywódców Polski podziemnej do Moskwy

20. 03. 1923 r. Zmarł abp Józef Bilczewski.

21. 03. 1410 r. król Władysław Jagiełło przebywa we Lwowie, czyniąc przygotowania do wojny z Krzyżakami.

28. 03. 1842 r. otwarcie teatru hr. Skarbka we Lwowie.

31. 03. 1892 r. urodził się w Szczercu (pow. lwowski) gen. St. Maczek dow. I Dywizji Pancerniej (+11. 12. 1994 r.)

1. 04. 1656 r. śluby króla Jana Kazimierza w katedrze lwowskiej

4. 04. 1925 r. najmłodszy kawaler VM ogniomistrz Józef Buczkowski wylosował w Min. Spraw Wojskowych w Warszawie pobojuwisko lwowskie, skąd 31. 10. 1925 r. zostały zabrane zwłoki Nieznanego Żołnierza i pochowane 2.11. 1925 r. na pl. Piłsudskiego w Warszawie

7. 04. 1940 r. początek mordów w Katyniu

13. 04. 1909 r. urodził się we Lwowie Stanisław Ulam, jeden z „ojców” bomby wodorowej.

21. 04. 1894 r. ruszył we Lwowie pierwszy tramwaj elektryczny z dworca na Łyczaków i na teren Pow. Wystawy Krajowej.

28. 04. 1919 r. poświęcenie kamienia węgielnego pod budowę Pomnika Chwały Obrońców Lwowa na Cmentarzu Łyczakowskim

30. 04. 1340 r. na mocy testamentu ostatniego władcy Rusi Czerwonej Jerzego II Lwów i Ziemia Czerwińska wróciły do Polski.  
(c.d.n.)



## List ze Stanisławowa

Ukraina  
Helena Szaranowska  
bul. Konowalca 147/46  
Iwano-Frankiowsk  
284014

### Stanisławów

*Stanisławów to kiedyś polskie miasto było.  
I tyle lat z pamięci to nie zmyło  
I pamiętają i dzieci i dorośli  
Jak przyjeżdżali z całego świata goście  
Lecz teraz wszystko się zmieniło  
I w głowach ludzi się wszystko pokręciło  
A myślą teraz nie o dawnych czasach  
Lecz myślą, żeby choć raz pochodzić tam po lasach  
A nasza klasa o tym pamięta  
i życzy wszystkim wesołego święta*

(marzec 1998 r.)

Stanisławów  
autor Andrzej Witwicki  
ucz. kl. IV polskiej

### Szanowna Redakcja „Semper Fidelis”!

Z okazji Świąt Wielkanocnych życzymy Redakcji oraz wszystkim Kresowiakom, a przede wszystkim Stanisławowiakom dużo zdrowia i radości wraz z podziękowaniem za Wasze dobre serca.

Jesteśmy uczniami klasy czwartej polskiej ze Stanisławowa. Uczymy się w Szkole Nr 14. Oprócz nas są tu jeszcze trzy klasy polskie (I, II i III). Łącznie w klasach polskich uczy się 45 dzieci. Uczą nas Panie nauczycielki z Polski. Naszą wychowawczynią już drugi rok jest p. Helena Szaranowska, która przyjechała do nas z Wrocławia.

To Ona przyniosła nam pismo „Semper Fidelis” i od razu Cię polubiliśmy, bo jesteś też z Wrocławia. Czytaliśmy Wasze artykuły i oglądaliśmy zdjęcia. Wszystko nam się spodobało.

Od listopada ubiegłego roku mamy Parafialny Dom Polski, a w nim 38 miejsc noclegowych. Przy każdym pokoju jest zaplecze sanitarne.

Cieszymy się z Domu bardzo, bo jest tam biblioteka, gabinety lekarski i stomatologiczny, 3 sale lekcyjne (do nauki religii i języka polskiego dla starszych) oraz duża sala widowiskowa. W tej sali mieliśmy już bal karnawałowy i przedstawialiśmy Kopciuszka.

Teraz przygotowujemy się do akademii z okazji święta 3 Maja i 200 rocznicy urodzin A. Mickiewicza. Uczymy się ról i przygotowujemy rekwizyty.

Zapraszamy Ciebie Redakcjo „Semper Fidelis” oraz Twoich Czytelników do nas, do Stanisławowa. Nasze miasto jest bardzo ładne.

Pozdrawiamy bardzo serdecznie i dedykujemy Wam i Stanisławowiakom wiersz naszego kolegi Andrzeja Witwickiego pt. „Stanisławów”.

Klasa IV polska



Rysunek dzieci polskich  
ze Stanisławowa

Bardzo serdecznie dziękujemy za tak miłe słowa i życzenia świąteczne. Wam, Drodzy Polscy Uczniowie, Waszym Nauczycielkom i rodzicom życzymy również Wesołego Alleluja, dużo radości i dobrych wyników w nauce. Może w tym roku uda się nam poznać Was osobiście i oglądnąć Wasz piękny Dom Polski w Stanisławowie. Przesyłamy pozdrowienia.

Redakcja.

## WŚRÓD KSIĄŻEK

Wrocław, 24.03.1998 r.

### Szanowni Kresowianie – Sybiracy – Brzeżańczycy – Lwowianie...

tak można pisać w nieskończoność. Przed nami międzynarodowe Targi Książki „Frankfurt 2000”, gdzie Polska będzie honorowym gościem. Wiem, że na naszym kresowym stoisku, do organizacji którego się sposobie, nie może zabraknąć książek i czasopism naszych ziem. Proszę o przysłanie ich na adres redakcji Semper Fidelis jak również wykazów pozycji które zdaniem Państwa powinny się znaleźć na tej wystawie. Wierzę, że Państwo posiadacie cenne książki, broszury, gazety czy informatory warte pokazania.

Poszukuję również dokumentacji fotograficznej do książki „Polacy w Kazachstanie 1940 – 1946” Stanisława Ciesielskiego. Książka otrzymała nagrodę „Polityki” za najlepszą książkę historyczną 1997 r. Do kolejnego wydania „Tryptyku brzeżańskiego” Zbigniewa Rusińskiego potrzebne są nam dokumenty z Getta brzeżańskiego, tajnego nauczania, zdjęcia ludzi i ich rodzin, którzy przebywają na Zachodzie. Cudowną książkę Jadwigi Dabulewicz-Rutkowskiej „pamiętnik nastolatki” – Lwów 1939-1941” pragniemy wzbogacić nieznanymi zdjęciami z czasów okupacji sowieckiej. Poszukujemy fotografii do książki Eugeniusza Aniszczuki „Myśl miętna i zahamowana – rzecz o profesio-

rze etyki Henryku Elzenbergu”. Książka została wydana w 110 rocznicę urodzin i 30 śmierci znakomitego filozofa i humanisty. Zależy mi bardzo na zdjęciach z prywatnych zbiorów.

Szanowni Państwo, jeśli boicie się przesłać ukochaną fotografię, zróbcie jej powiększone kreso, opiszcie to, co się na niej dzieje i prześlijcie do wydawnictwa „W Kolorach Tęczy” Oficyna Wydawnicza Jan Akielaszek, skrytka pocztowa 900, 50-900 Wrocław-2.

Z poważaniem  
Jan Akielaszek  
wydawca

\*\*\*

Towarzystwo Przyjaciół Krzemienia  
i Ziemi Wołyńsko-Podolskiej  
Leon Popek

Informujemy, że Towarzystwo nasze wydało w ostatnim czasie następujące pozycje książkowe:

– L. Popek, *Świątynie Wołynia*, t. I, Lublin 1997 r.: s. 370, 545 fot. 2 mapy. Jest to monografia 325 kościołów i kaplic diecezji łuckiej, historia 167 parafii. Praca zawiera informacje o obecnym losie kościołów na tym terenie. Kościół na Wołyniu utracił aż 86% świątyń, większość cmen-

tarzy parafialnych. Całość uzupełniają liczne wykazy, tabele i zestawienia oraz 545 fotografii kościołów, kaplic, ołtarzy, obrazów. Cena z przesyłką – 33 zł.

Uwaga: W przygotowaniu t. II pt. „Duchowieństwo diecezji łuckiej 1918-1997” przedpłata dla subskrybentów, cena 33 zł.

– **J. Dębski, L. Popek, Okrutna przestroga**, Lublin 1997, s. 428, fot. 195, 14 map. Są to relacje 250 osób, które ocalały z rzezi ukraińskich na Wołyniu w 1943 r., podane są nazwiska ok. 8000 pomordowanych w poszczególnych powiatach, zniszczone polskie wsie i kolonie przedstawione są na 14 mapach. Wstrząsającą dokumentacją zbrodni na narodzie polskim są fotografie pomordowanych, ich mogiły, krzyże, cmentarze.

Cena z przesyłką – 33 zł.

Uwaga: Zbierane są materiały do II tomu!

– **L. Popek, T. Trusiuk, P. Wira, Wołyński testament**, Lublin 1997, s. 326, fot. 164, 4 mapy. W książce przedstawiono historię wsi Ostrówki i Wola Ostrowiecka od XVII w. do czasu tragicznych wydarzeń i opisano przebieg mordów w dniu 30 sierpnia 1943 r. (zginęło wtedy 1050 osób). Ukazano także starania ocalałych mieszkańców tych wiosek i ich rodzin o zachowanie pamięci o niewinnie pomordowanych. Szczegółowo zrelacjonowano przygotowania i przebieg ekshumacji w 1992 r. (jedynej na Ukrainie!). Całość wzbogacono kilkudziesięcioma relacjami świadków rzezi, unikalnymi dokumentami z archiwów polskich, ukraińskich i nie-

mieckich, protokołami z ekshumacji oraz bogatym, wstrząsającym swą wymową materiałem ilustracyjnym. Cena z przesyłką – 25 zł.

– **L. Popek, Wołyń – ocalić od zapomnienia**, Lublin 1997, album – s. 248, fot. 702, 1 mapa. Album ten zawiera fotografie z Wołynia z lat 1918-1939, ułożone wg poszczególnych tematów: rolnictwo, przemysł, policja, wojsko, duchowieństwo, handel, szkolnictwo, uroczystości i święta...

Cena z przesyłką – 45 zł.

Uwaga: Towarzystwo prosi o wypożyczenie fotografii o tej tematyce. W celu zorganizowania w przyszłości wystawy (w XII 97 – I 98 czynna była w Bibliotece KUL wystawa pt. „Wołyń – ocalić od zapomnienia”. Cieszyła się ona olbrzymią frekwencją i zainteresowaniem, m.in. została zaproszona do Łucka i Równego).

– **J. Filipowicz, Album kapłanów diecezji łucko-żytomierskiej i kamienieckiej**. Kijów 1917 (reprint 1996, zawiera 45 s., 350 fot., 225 biogramów księży).

Cena z przesyłką – 10 zł.

– **M. Orłowicz, Ilustrowany przewodnik po Wołyniu**, Łuck 1929 r. reprint 1997 r. Cena z przesyłką – 18 zł.

Powyższe pozycje książkowe można zamawiać przysyłając przekazem pocztowym stosowną kwotę z podaniem tytułu zamawianej książki na adres: L. Popek, ul. Szmaragdowa 36/83, 20-570 Lublin. (tel. 5267535 – dom, 5328071 – praca). lub przekazem bankowym na podane powyższe konto bankowe Towarzystwa. Realizacja zamówienia w ciągu 14 dni. □

Zbigniew Umański

## Warto przeczytać

„**Katyn – zbrodnia przeciwko ludzkości**” – Natalia Lebediewa. Przełożył Kazimierz Bidowski. Dom Wydawniczy Bellona. Warszawa 1997 r., s. 322.

Książka Natalii Lebediewej, członka Rosyjskiej Akademii Nauk, ukazała się w Moskwie w 1994 r. – w cztery lata po oficjalnym ogłoszeniu (14 kwietnia 1990 roku) przez władze radzieckie, że wymordowanie polskich jeńców w Katyniu jest dziełem NKWD. Lebediewa pisze w swej książce o wydarzeniach poprzedzających katyńską zbrodnię, jej motywach, przebiegu i późniejszych reperkusjach. Zawarła w niej wyniki swoich badań dokumentów w radzieckich archiwach, do których dostęp umożliwiły jej „głośność” i rozpad Związku Radzieckiego. Dokumenty te jednoznacznie wskazywały rzeczywistych sprawców mordów dokonanych w Katyniu i innych miejscowościach ZSRR.

Uchwałą wyrażającą zgodę na zamordowanie polskich oficerów, Politbiuro podjęło 5 marca 1940 roku. Autorka podkreśla, że tekst tej uchwały był ukrywany do końca 1992 roku, choć znali go kolejni szefowie partii. Jeśli chodzi o motyw decyzji o wymordowaniu jeńców polskich, Lebediewa przytacza opinię Soprunienki: „Wódz nie mógł wybaczyć Polakom klęski Armii Czerwonej pod Warszawą w 1920 roku, kiedy był członkiem rady wojennej frontu.”

W tej książce znajdziemy szczegółowe informacje, w jaki sposób realizowano decyzję o wymordowaniu tysięcy jeńców polskich, którzy do końca wierzyli, że wyjdą na wolność, o działaniach wojsk konwojowych, a nawet wysokości nagród, jakie otrzymali konwojenci po wykonaniu zadania.

Wartość tej książki dla Polaków polega przede wszystkim na tym, że ukazuje ona zbrodnię katyńską z punktu widzenia jej wykonawców i decydentów – począwszy od szeregowych funkcjonariuszy NKWD i urzędników tej zbrodniczej instytucji, członków Politbiura ze Stalinem włącznie. Ta wstrząsająca książka powinna być w każdym domu.

„**Maria Rodziewiczówna – strażniczka kresowych stanic**” – Jan Głuszenia. Wydawnictwo Alfa, w serii „Niezwyczajne biografie.”

Autor, zafascynowany Marią Rodziewiczówną, zbierał po niej pamiątki – listy, artykuły, świadectwa zdarzeń, odnajdywał jej przyjaciół. Z tej pasji powstała świetnie udokumentowana książka, barwnie napisana, ukazująca życie pisarki od Powstania Styczniowego po Powstanie Warszawskie. Czesław Miłosz powiedział o autorce „Dewajtisa”, „Szarego prochu”, „Pożarów i zgłiszczy”: „Ma wielki dar ciekawego opowiadania i ustępuje tylko Sienkiewiczowi.” My, kresowiaci, mamy szczególny sentyment do pani Marii. Z Kresów jej ród, i przejmująco pięknie potrafiła pisać o nich. Miłośnikom talentu Marii Rodziewiczówny gorąco polecam książkę o niej Jana Głuszenia. Poznać panią Marię, jakiej nie znaliśmy.

## Wśród wydawnictw

Pod koniec 1997 r. ukazała się drukiem interesująca książka Stanisława Rakowskiego pt. „**Wspomnienia z Kresowej Osady Kościuszkowców na Podolu**”.

Autor urodził się w tej osadzie, do szkoły uczęszczał w Jagielnicy i Czortkowie. Studia wyższe ukończył po wojnie we Wrocławiu. W książce przedstawia historię rodzinnej osady oraz jej bliższych i dalszych okolic. Píše o żyjących tam ludziach i wymienia nazwiska ofiar wojny i ukraińskich



nacjonalistów, wśród których znalazł się Ojciec autora zamordowany przez banderowców.

Książkę w cenie 12 zł nabyć można bezpośrednio u Autora (46-200 Kluczbork, ul. Kościuszki 19, Kancelaria adwokacka) lub w Fundacji Kresowej SF Wrocław, ul. Rumska 32/33.

Ukazała się nowa książka Wiktora Poliszczuka pt. „Ocena polityczna i prawna OUN i UPA”. Toronto 1997.

Jan Białowas „Wspomnienia z Ithrowicy na Podolu” (Banderowska rzeź ludności polskiej w Wigilię 1944 r.) 1997. □

Ks. Józef Wołczański

## Małopolska Wschodnia w okowach II wojny światowej

Ciągle zbyt mało wiemy o gehennie Polaków na Kresach Wschodnich II Rzeczypospolitej w latach II wojny światowej. Lata komunistycznej cenzury zrobiły swoje, a dziś, mimo swobody badań historycznych trudno jest zrekonstruować ówczesną rzeczywistość. Materiały źródłowe bowiem w dużej mierze uległy zniszczeniu, świadkowie zaś wykruszają się z każdym dniem spośród żyjących.

Cieszy więc każda próba podejmowania prac dokumentacyjnych. Takie też zadanie postawił sobie duchowny archidiecezji lwowskiej, do dziś mieszkający w Świnoujściu – ks. kanonik Józef Anczarski, publikując „Kronikarskie zapisy z lat cierpień i grozy w Małopolsce Wschodniej 1939-1946”, Lwów-Kraków 1998. Pierwsze wydanie tej książki z 1996 r. rozeszło się błyskawicznie. Zasluga to dobrego pióra autora, ale też udanej konwencji pracy, utrzymanej w formie kroniki. Nie jest to rozprawa naukowa, lecz wspomnieniowo-dokumentacyjna.

Praca traktuje o wielorakich problemach społeczno-politycznych, kościelno-religijnych i obyczajowych, jakie zrodziły się na południowo-wschodnich Kresach wraz z wybu-

chem II wojny światowej. Autor z podziwu godną starannością prowadził na bieżąco notatki, utrwalając wydarzenia, których był świadkiem. I tak na kartach książki przewijają się okresy okupacji niemieckiej, sowieckiej, zapisy eksterminacji Polaków i Żydów z rąk ukraińskich nacjonalistów, zmaganie o przetrwanie Kościoła rzymskokatolickiego, obrazy tragicznej doli zesłańców na Syberię.

Niezwykle cenną warstwą pracy jest dokumentacja zagłady polskiej społeczności przez zbrojne ugrupowania ukraińskie. Autor sam przeżywał te wydarzenia, których areną stał się nie tylko Wołyń, ale w nie mniejszym stopniu Małopolska Wschodnia. W książce zamieścił więc wykaz nazwisk kapłanów rzymskokatolickich – ofiar nienawiści i zbrodni, a nawet podał personalia oprawców. Na uwagę zasługuje też mało znany wątek kolaboracji Ukraińców z Niemcami w akcji wyniszczania Żydów małopolskich.

W książce zamieszczono szereg fotografii, podano szczegółowe indeksy, zadbano o staranną szatę graficzną. Kolportaż prowadzi Archiwum Metropolii Lwowskiej w Krakowie, ul. Kanonicza 13, 31-002 Kraków.

Ks. Józef Anczarski, Kronikarskie zapisy z lat cierpień i grozy w Małopolsce Wschodniej 1939-1946. Opracowanie Józef Wołczański, Lwów-Kraków 1998, ss. 566 + 56 fotografii. □

## † Z ŻAŁOBNEJ KARTY

### Śp. doc. dr Witold Czerwiński (1922-1998)

Słowa Wiersza Hemara mówiącymi o odchodzeniu, gdy wybije ostatnia godzina na lwowskim ratuszu, żegnaliśmy dnia 26 marca br. na wrocławskim cmentarzu św. Wawrzyńca

Witolda Czerwińskiego

– biologa, pedagoga, turystę, ale przede wszystkim lwowianina. Grudka ziemi z lwowskiego Cmentarza Orłąt spoczęła na Jego trumnie. Z żalem żegnali Go uczniowie, naukowcy, wierni przyjaciele z „Klubu Kwitnącej Wiśni”, wrocławscy lwowiaczy.



Witold Czerwiński urodził się 13 sierpnia 1922 roku we Lwowie jako syn znanego architekta, docenta Politechniki Lwowskiej, Eugeniusza Czerwińskiego, twórcy wielu znanych lwowskich budowli, jak kinoteatr „Palace”, pawilony na Targach Wschodnich, II Dom Techników na Wulce, który również odbudowywał gmach Poczty Głównej po zniszczeniach wojennych 1918 roku. Witold, wychowany w patriotycznych lwowskich tradycjach, na kresowej literaturze i „Trylogii”, już od najmłodszych lat poznawał uroki Karpat Wschodnich (skąd pochodziła Jego matka). I te dwie miłości, do Lwowa i gór, nie opuszczały Go do końca życia.

Uczeń lwowskiej szkoły Jana Kistryna, odbierał później w czasie okupacji wielokierunkowe wykształcenie – sowiecką dziesięciolatkę i średnią Szkołę Chemiczną w czasie niemieckiej okupacji, a później uzyskiwał doświadczenie w laboratorium technologicznym Szkół Przemysłu Artystycznego. Od 1943 roku, po zamknięciu szkoły pracował jako preparator w Instytucie Badań nad Tyfusem Plamistym, prowadzonym przez prof. Weigla. Po wojnie, w 1944 r. rozpoczął studia na Wydziale Chemii Politechniki Lwowskiej.

Ekspatriacja przeniosła Go w maju 1946 roku do Wrocławia. Tu rozpoczął studia biologiczne na Wydziale Nauk Przyrodniczych, szybko wybijając się swymi zdolnościami wśród grona studenckiego (z którego, nawiasem mówiąc, wyszło wielu późniejszych wybitnych naukowców). Znakomita znajomość podstaw chemiczno-fizycznych, jasność rozumowania, a też i elokwencja, połączona z nieco przekornym humorem przysparzały Mu uznania wśród kolegów, zwłaszcza, gdy po pierwszym roku, po egzaminie z filozofii u prof. Bolesława Gaweckiego, ten zaproponował Mu asystenturę na swoim kierunku. Witold podziękował, bardziej emocjonując się żywą przyrodą, z którą starał się być jak najbliżej: na wycieczkach, a później i na badaniach terenowych – w tym na torfowiskach z prof. Stanisławem Tołpą, na turystycznych wyprawach, czy choćby w pięknych parkach Wrocławia.

Studia ukończył w 1949 roku, już jako asystent, a następnie adiunkt (od 1952 r.) w Zakładzie Fizjologii Roślin Uniwersytetu Wrocławskiego, później – od 1960 r. – w Katedrze Fizjologii Roślin Wyższej Szkoły Rolniczej. Stopień doktora nauk przyrodniczych

uzyskał w 1964 r. na Wydziale Nauk Przyrodniczych Uniwersytetu Wrocławskiego. Był wspaniałym dydaktykiem, a jego wykłady, jasne i przystępne, gromadziły licznych słuchaczy, nie tylko z roczników, których ten wykład obowiązywał. Oprócz kilkudziesięciu prac naukowych, opublikował kilka skryptów i przewodników do ćwiczeń z zakresu fizjologii roślin, a Jego główne dzieło, podręcznik pt. „Fizjologia roślin”, w IV kolejnych wydaniach doczekał się łącznego nakładu 50 000 egzemplarzy i był kupowany nawet przez uczniów szkół licealnych jako świetne kompendium dla przyszłych studiów przyrodniczych. Docent Witold Czerwiński przeszedł na emeryturę w 1990 roku. Za działalność naukową, dydaktyczną i organizacyjną został odznaczony m.in. Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Medalem Komisji Edukacji Narodowej i licznymi innymi odznaczeniami.

Lwów był Jego wielką miłością. Był znawcą Miasta, jego historii, topografii, zabytków. W mieszkaniu na ścianach wisiały – między innymi – szkice malarskie Kazimierza Sichulskiego (przyjaciela ojca) dla krynickiego „Lwigródu” obrazujące obronę Lwowa, liczne medale i patriotyczne pamiątki. Gdy we Wrocławiu zaczęli się zwolnywać miłośnicy tego Miasta, Witold brał udział w ich konwentach (pisze o tym Tadeusz Riedl). W 1988 roku wszedł w skład pierwszego zarządu głównego nowo powstającego Towarzystwa Miłośników Lwowa i odtąd stale towarzyszył różnym jego akcjom. Jako znawca Lwowa brał udział w jury konkursów wiedzy o Lwowie, wygłaszał prelekcje, pracował w Kole nauczycielskim TML. Ale do Lwowa nigdy już nie pojechał. Jak wielu lwowiaków – nie chciał burzyć obrazu swoich wspomnień konfrontacją z nalem obcości, narastającym dziś na jego murach, ulicach i nagrobkach.

Drugie wielkie zamięrowanie – góry – były światem, w którym czuł się znakomicie. Karpaty znał doskonale, od Bieszczadów po Beskid Śląski, a zwłaszcza umiłowane Pieniny z Krościenkiem. Do bliższych mu Sudetów takiego sentymentu już nie odczuwał, choć znał je bardzo dobrze. Wraz ze swymi lwowskimi przyjaciółmi, czyli „Klubem Kwitnącej Wiśni”, przemierzał szlaki górskie latem i zimą. Był jednym z tych nielicznych już turystów-narciarzy, którzy z plecakiem, na fokach podczepionych pod ślizgami nart, wspinają się na zbocza stromych gór. Razem przechodziliśmy granie Tatr Zachodnich, wiele razy do Doliny Pięciu Stawów polskich prześlizgiwaliśmy się przez Kozia Przełęcz, Bieszczady, w całej ich długości, przeszliśmy śnieżną zimą 1953 r., gdy góry te były jeszcze puste i nie zagospodarowane. To zamięrowanie do zimowej turystyki narciarskiej Witold nabył jeszcze w dzieciństwie, gdy jako młody chłopiec brał udział w wycieczkach narciarskich w Czarnohorze. W czasie jednej z nich zapewne przyświecała Mu szczęśliwa gwiazda, gdyż został wówczas jedynym uczestnikiem, który uratował się z wielkiej lawiny w kotle Breskuła, jaka zmiotła kilku współtowarzyszy.

Wakacje spędzał prawie zawsze w górach. Przez ostatnie kilkanaście lat każdorazowo upływały one w podbeskidzkiej miejscowości, w posiadłości jednego z przyjaciół z „Klubu”, gdzie rozbijał w ogrodzie swój namiot i aż do późnej jesieni mieszkał w nim, oglądając wschody słońca na przeciwległej ścianie gór, po drugiej stronie doliny. Był zamięrowanym fotografikiem: na fotografiach i przeźroczach utrwalał piękno przyrody, czasem w zaskakujących ujęciach. Zajmował się też filmem wąskotaśmowym, tworząc małe etiudy, do których podkładał muzykę. Wykazywał wielką znajomość muzyki, nie tylko klasycznej, lecz i zupełnie współczesnej (jego ulubionym zespołem w tej muzyce był „Pink Floyd”); był znakomitym smakoszem – gastronomikiem, komponował własne dania.

Wyniesione z domu przekonania patriotyczne nie pozwoliły mu na wewnętrzną akceptację świata peerelowskiego, w którym przyszło Mu żyć i działać. Dawał temu wyraz przy wielu okazjach, czasem w sposób zgola bezpardonowy. Nie przysparzało Mu to nimbu wśród politycznych decydentów uczelni. Stanowisko docenta w wyższej szkole uzyskał dopiero po 21 latach pracy, i to dzięki energicznym interwencjom współpracujących z Nim kolegów, reprezentujących inną, tamtą opcję polityczną. Gdy nastał czas otwartej konfrontacji społecznej, Witold czynnie włączył się w działania „Solidarności”. W marcu 1982 r. zaowocowało to aresztowaniem w czasie stanu wojennego. Po dwóch miesiącach pobytu we wrocławskim więzieniu „Do-

cent Witold Cz. pseudonim „Mrówka” (jak pisały o tym gazety) stanął przed sądem wojskowym Śląskiego Okręgu Wojskowego oskarżony o kolportaż podziemnej prasy, wraz z pięcioma działaczami, wrocławskimi kierownikami MPK. Byłem dopuszczony na salę sądową i stałem się świadkiem przedziwnego zdarzenia, jakich chyba niewiele się w tym czasie wydarzyło. Sąd, złożony z trzech starszych oficerów, wydał niespodziewanie wyrok uniewinniający, a zarazem wydał polecenie przeprowadzenia dochodzenia przeciw... milicjantom, którzy w śledztwie owych kierowników biciem zmuszali do zeznań. Nota bene, źle się to dla tych uczciwych oficerów armii generała Jaruzelskiego zakończyło, ale to już inna historia.

Był w swoich zapatrywaniach niezłomny, a w pamięci miał ostro zachowane czasy przedwojenne i te czasy najgorsze: trzech kolejnych okupacji, jakie przeżył we Lwowie.

Zarazem jednak był człowiekiem skromnym, nie lubił się swoją działalnością społeczno-polityczną przechwalać. Sympatię zyskiwała Mu wielka łatwość nawiązywania kontaktów z ludźmi, zwłaszcza z dziećmi i młodzieżą. Esteta i erudyta, interlokutor znakomity, znawca wielu dziedzin kultury, w oczach studentów (i nie tylko) był człowiekiem renesansu. Pogodny i niekonfliktowy, potrafił stwarzać wokół siebie atmosferę spokoju i ciepła, niekiedy podbarwioną istic szwejkowskim gadulstwem i humorem.

Do ostatnich miesięcy życia cieszyliśmy się Jego przyjaźnią, towarzyszył nam w wycieczkach po Beskidach w koleżeńskich biesiadach, podziwialiśmy na pokazach Jego przepiękne slajdy o górskiej i przyrodniczej tematyce.

Odszedł od nas Człowiek wielkiego serca i umysłu, wybitny Uczony i Pedagog. Przyjaciół i Lwowiaków.

(Leszek Sawicki)

## Śp. Maria Chmiel (1911-1997)

Urodzona 9 listopada 1911 r. w Borzęcinie, ziemi Tarnowskiej jako córka Jadwigi z Panków i Michała Chmielów. Od wczesnych lat harcerka. Szkołę średnią ukończyła jako eksternistka w tarnopolskim gimnazjum żeńskim. Pracowała w miejscowej gazecie „Głos Polski” w charakterze korektorki. Równocześnie działała w harcerstwie w stopniu komendantki Szczepu Zachód. W czasie okupacji niemieckiej, w latach 1941-1943 w ZWZ-AK współpracowała z późniejszym ppłk. A.K. Bolesławem Tomaszewskim, a po „wyspie” przeniosła się do Lwowa, gdzie pod pseudonimem „Maria” pracowała w sekcji mjr. dypl. „Kostka”. Aresztowana przez Sowietów po ujawnieniu się Komendy Obszaru AK Lwów, w listopadzie 1944 r. w „kotle” w Jarosławiu. Więziona w Lagrach w Borowiczach i Świerdłowsku, wróciła do kraju w 1947 r. Osiadła w Krakowie i pracowała do emerytury w spółdzielczości. Po dwuletniej chorobie zmarła 13 listopada 1997 r.

(Cz. E. Blicharski)

## Śp. ppor. Piotr Nycz



*„Ojczyznę moją jest łan  
Łan Polski, prosty, serdeczny,  
Lecz nie pozwól mi Pan  
w nim znaleźć spoczynek wieczny”*

Piotr Nycz z Kanady

Odszedł na wieczną wartę ppor. Piotr Nycz urodzony w 1901 r. w Obroszynie koło Lwowa.

Jako siedemnastoletni młodzieniec bierze czynny udział w obronie Lwowa w 1918 roku pod dowództwem rotmistrza, a późniejszego gen. Abrahama.

Po zakończeniu wojny z Ukraincami bierze udział w wyprawie Piłsudskiego do Kijowa, jak też uczestniczy w odpieraniu ataków armii Budionnego.

Za męstwo i czyny bojowe został

Piotr Nycz został awansowany na podporucznika w Kanadzie przez Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej na Obczyźnie.  
Zdjęcie z 15 III 1946 r.



udekorowany Krzyżem Walecznych przez marszałaka Piłsudskiego.

Do 1923 pozostaje w żandarmerii wojskowej, później prowadzi życie cywilne. Za pierwszych Sowietów, wskazany przez Ukraińców zostaje w 1940 r. aresztowany i osadzony w Brygidkach we Lwowie, gdzie przebywa aż do wybuchu wojny niemiecko-rosyjskiej. Przewieziony do Charkowa, gdzie na podstawie umowy Sikorski-Stalin wstępuje do wojska polskiego. Za pomocą Czerwonego Krzyża odnalazł rodzinę, wywiezioną jeszcze w 1940 r. do Kazachstanu – żona Ewa z piątką dzieci wydostają się szczęśliwie z Rosji i do zakończenia wojny przebywają w Afryce. Piotr służy w jednostkach polskich w drugim korpusie na Bliskim Wschodzie.

Po zakończeniu wojny rodzina Nyczów jednoczy się w Anglii, gdzie najstarszy z pięciu synów ukończył liceum lotnicze. W 1957 r. różnymi drogami przybyli do Kanady.

Piotr Nycz był czynny przez cały czas w Kole Weteranów Drugiego Korpusu. Kilkakrotnie pełnił funkcję Prezesa. Odszedł zasłużony weteran wojen, wzorowy mąż, ojciec, dziadek i pradziadek.

Był jednym z ochotników w walce o wolną i niepodległą Polskę o wyzwolenie narodu polskiego spod jarzma zaborców.

Żegnamy weterana, który pozostawił obecnym i przyszłym pokoleniom wspaniały przykład miłości, poświęcenia i oddania sprawie Polski i naszego Narodu!

### *Cześć Jego pamięci!*

*Przedśmiertnym życzeniem P. Nycza było, żeby pieniądze przeznaczone dla niego na żałobne kwiaty oddać na odbudowę Cmentarza Orłąt Lwowskich*

*Dziękujemy bardzo  
Redakcja*

## **Śp. mgr inż. arch. Zdzisław Pręgowski**

Urodzony 17 XI 1912 r. we Lwowie.

Zmarł 7 III 1998 r. w Winterthur w Szwajcarii.

### **Wspomnienie**

W dniu 7 marca 1998 r., w wieku 86 lat, zmarł w hospicjum szpitala Krankenhaus am Lindberg w Winterthur w Szwajcarii śp. Zdzisław Jerzy Pręgowski. Żołnierz 2. Dywizji Strzelców Pieszych, dyplomowany inż. architekt zurychskiej ETH, przemysłowiec, wynalazca, artysta obdarzony licznymi talentami, ale przede wszystkim – ofiarny społecznik, szczodry filantrop i wielki patriota; doktor honoris causa Politechniki Wrocławskiej.

Urodził się we Lwowie 17 listopada 1912 r., gdzie po maturze, zdanej w XI państwowym Gimnazjum i Liceum im. Jana i Jędrzeja

Śniadeckich wstąpił w 1933 r. na Wydz. Architektoniczny Politechniki Lwowskiej.

W okresie studiów lwowskich, oprócz rozległych zainteresowań artystycznych związanych z architekturą, Jego równorzędną pasją była muzyka wokalna. Jako solista od najwcześniejszych lat młodzieńczych uświetniał bowiem swym mocnym, czystym głosem (tenor bohaterski) liczne uroczystości szkolne i rodzinne, a od początku studiów związał się z akademickim Lwowskim Chórem Technicznym, słynnym towarzystwem śpiewaczym macierzystej uczelni. Rychło też został pierwszym uczniem światowej sławy bas-barytona Adama

Didura, podówczas dyrektora Opery Lwowskiej, który – przepowiadając swemu wychowankowi wielką, międzynarodową karierę – namówił Go w 1938 r. na studia wokalne w krainie bel canta, Włoszech.

Po roku nauki śpiewu solowego we Florencji i Mediolanie młody Pręgowski powrócił do Lwowa, by kontynuować przerwane studia architektoniczne, a zarazem wykorzystać zdobyte wykształcenie wokalne do pracy w operze. Wybuch II wojny światowej niweczy jednak te plany.

Na początku września 1939 r. opuścił – jak wspominał po latach – moje uroczę, semper fidelis miasto Lwów – by drogą tułaczą: poprzez Bukareszt, Jugosławię i Włochy, znaleźć się na początku 1940 r. we Francji.

Tutaj natychmiast zgłasza się ochotniczo do formowanego Wojska Polskiego na Zachodzie i dostaje przydział mobilizacyjny do 2. Dywizji Strzelców Pieszych, nad którą dowództwo objął gen. Bronisław Prugar-Ketling.

Po inwazji Francji przez hitlerowców zostaje wraz ze swymi towarzyszami broni internowany w czerwcu 1940 r. w Szwajcarii, gdzie 2. DSP pozostała do końca wojny w 1945 r.

Szwajcaria zatem, której gościnna ludność udzieliła schronienia żołnierzom polskim, stała się od tamtej pory dla Zdzisława Pręgowskiego drugą Ojczyzną, a do rodzinnego Lwowa nie dane Mu było powrócić już nigdy.

Internowani żołnierze polscy, dzięki zabiegom swego dowódcy oraz pomocy władz szwajcarskich, uzyskali zgodę na pracę i naukę w wielu obozach rozsianych po różnych kantonach, a w tym w 4. obozach studenckich związanych z uczelniami Zurychu, St. Gallen i Fribourga.

Student lwowskiej architektury, st. szeregowiec Zdzisław Pręgowski natychmiast skorzystał z nadarzającej się okazji, by kontynuować studia. W obozie studenckim w Winterthur został słuchaczem zurychskiej ETH i w 1945 r. uzyskał dyplom inż. architekta tej jednej z najsłynniejszych uczelni technicznych na świecie.

Lecz dla ambitnego Zdzisława okres internowania to nie tylko wyczerpana nauka. To także możliwość spożytkowania swego niepospolitego talentu wokального, wszak muzyka i śpiew solowy były Jego pasją od zawsze! Z wielką ochotą angażował się więc w bogate życie kulturalne dywizji, dając ogółem w ciągu 5. lat (począwszy od Francji przed internowaniem) ponad 190 udokumentowanych występów solo i wspólnie z chórmi żołnierskimi, podczas których nieustraszenie propagował polską i światową muzykę operową, ludową czy popularno-rozrywkową. A cały dochód z tych koncertów przeznaczał na cele dobroczynne w okupowanej Polsce lub doraźne potrzeby dywizji w Szwajcarii.

Zaraz po wojnie, już jako dyplomowany inż. architekt, rozpoczął intensywną praktykę projektową w szwajcarskich biurach i osiadł na stałe w Winterthur. Tutaj w 1948 r. ożenił się z Veroną (z Sulzerów) Witzig, założył rodzinę i niezadługo potem, bo w 1951 r., otworzył własne biuro architektoniczne oraz firmę Prewi, której dyrektorem pozostał do późnej starości.

Po latach trudu i znoju, wyrzeczeń i upokorzeń, nastąpił znakomity start w pełne świetnych osiągnięć twórcze życie zawodowe architekta i artysty, a także przemysłowca i wynalazcy.

Architekt Pręgowski nie ograniczał się wszakże do zarządzania biurem i nadzoru nad wykonawstwem swych projektów z zakresu budownictwa mieszkalnego czy przemysłowego. Bogatą, wrodzoną fantazję artystyczną wielokrotnie kierował w stronę wynalazczości i ciągłych poszukiwań technicznych i technologicznych, zwłaszcza w odniesieniu do betonu.

Jego dziełem z lat 50-tych i 60-tych były m.in., opatentowane w kilkunastu krajach świata, systemy tzw. strukturyzowania powierzchni pn. prewistruktur; systemy dźwiękochłonne z wykorzystaniem rurek plastikowych pn. prewi-phon oraz systemy cieplnej izolacji z przetworzonego szkła odpadowego pn. prewi-cell. Należy przypomnieć też, że swe kompetencje zawodowe czy predylekcje artystyczne spożytkowywał szeroko, gdy przez 20 lat (1954-1974) był kustoszem muzeum polskiego w Rapperswilu; gdy projektował monumentalne



*Zdzisław Jerzy Pręgowski, doktor h.c., dypl. archit. ETH SIA 8400 Winterthur  
Mal. artysta malarz – Jan Salamón, Kraków 1995.*

bramy do meczetów w Arabii Saudyjskiej i wykonywał je z połączanego aluminium; gdy rzeźbił 3 pamiątkowe tablice w brązie poświęcone Ojcu św. Janowi Pawłowi II i prymasom Polski: ks. Augustowi kard. Hlondowi i ks. Stefanowi kard. Wyszyńskiemu; gdy rozbudowywał dom studencki i kaplicę im. 1000-lecia Chrztu Polski w Polskiej Misji Katolickiej w Marly-Fribourgu; gdy tak wiele i z taką pasją koncertował...

Jednakże nie tylko uznane dzieła architektoniczne, różnorodne wynalazki czy rozliczne sukcesy śpiewacze należą do tych najbogatszych osiągnięć śp. Zdzisława Pręgowskiego.

Najbardziej wyróżniającymi Go bowiem dokonania, które najbardziej świadczą o Jego postawie patriotycznej, dobroci serca i rzadkich przymiotach charakteru – były akcje charytatywne, które kazały nam zapamiętać zmarłego jako niedościgniętego altruistę, społecznika i filantropa, ofiarne niosącego pomoc rodakom w ojczyźnie; a zwłaszcza wtedy, gdy ojczyzna ta, doświadczana różnymi nieszczęściami, była w potrzebie i oczekiwała pomocnej dłoni, którą On zawsze podawał.

Kiedy na początku lat 80-tych sytuacja gospodarcza Polski zmierzła do zapaści, Zdzisław Pręgowski pod auspicjami Kościoła – w uzgodnieniu z prymasem Wyszyńskim i przy błogosławieństwie Ojca św. – zainicjował pierwszą na taką skalę w historii polonii światowej, głośną akcję charytatywną POLEN IN NOT (Polska w potrzebie). Plonem tej akcji w ciągu kilku następnych lat były setki ton żywności, odzieży i lekarstw oraz tzw. „witaminowe wakacje” dla ponad 2 tysięcy polskich zabiedzonych dzieci, które na kilka tygodni w zorganizowanych grupach sprowadzał samolotami do Szwajcarii. Osobny rozdział tej akcji to pomoc dla NSZZ „Solidarność”, zwłaszcza w stanie wojennym, oraz Związku Sybiraków, dla których z własnych środków stworzył specjalną fundację i hojnie wspomagał materialnie biuro organizacji w Warszawie.

Podobnie też, gdy latem ub. r. niszczycielska powódź zaalała południowo-zachodnie tereny Polski, Zdzisław Pręgowski, mimo nienajlepszego już zdrowia, w ramach wznowionej akcji Polen in Not natychmiast zaangażował się resztkami sił w zbieranie funduszy na pomoc dla powodziń, a zebrane pieniądze w kwocie ponad 28 tys. Sfr. przekazał do Wrocławia.

Śp. Zdzisław Jerzy Pręgowski za swe zasługi wojenne, za długoletnie, rozliczne osiągnięcia twórcze w dziedzinie architektury, budownictwa, śpiewu i plastyki, nade wszystko zaś za całokształt swej ofiarnej działalności charytatywnej dla Polski – był wielokrotnie wyróżniany i jest kawalerem kilkudziesięciu krzyży, medali, orderów i tytułów honorowych. Najbliższym jednakże Jego sercu – co zawsze z nieskrywaną satysfakcją podkreślał – był Order Uśmiechu, którym wyróżniły Go polskie dzieci w podzięce za „witaminowe wakacje” w stanie wojennym.

Spoczął na cmentarzu w Winterthur obok swej żony Vereny w dniu 23 marca 1998 r., nieopodal pomnika ku czci swych towarzyszy broni z 2. DSP, zmarłych w okresie internowania w Szwajcarii.

*Niech pozostanie w naszej dobrej,  
wdzięcznej pamięci na zawsze!*

Andrzej Ostoja-Solecki

## Śp. mgr inż. arch. Zdzisław Pelc

Urodzony 6. 03. 1925 r. we Lwowie.

Zmarł 19. 03. 1998 we Wrocławiu.

Na cmentarzu Św. Rodziny we Wrocławiu pożegnaliśmy grudką ziemi z cmentarza Orląt Lwowskich oraz strofami wiesza pt. „Piosenka o marzeniu ostatnim” Mariana Hemara:

*„...Z wszystkich tęsknot do świata, do złota,  
Do tryumfów i wieńców na głowie  
Pozostała ta jedna tęsknota,  
Aby kiedyś umierać we Lwowie.  
Pozostała tęsknota jedyna,  
Wszystkie inne tęsknoty zagłusza,  
Gdy ostatnia wybije godzina,  
By z lwowskiego wybiła ratusza...”*



Pożegnaliśmy naszego drogiego Przyjaciela, żołnierza AK Lwów-Południe, długoletniego pedagoga szkół budowlanych i techników, współpracownika Komitetu Odbudowy Panoramy Racławickiej i Panoramy Lwowskiej Witwickiego, oddanego sercem sprawom lwowskim, długoletniego członka Zarządu Głównego, wiceprezesa Klubu Orląt Lwowskich i Zarządu Oddziału TMLiKPW we Wrocławiu. Interesował się dokumentacją fotograficzną Lwowa i

Kresów. Był przykładem pracowitości, spokoju i powagi. Odnaczony złotą odznaką Towarzystwa.

*Będzie nam zawsze Ciebie brakować.*

Lwowiacy

## Śp. prof. dr habil. Antoni Żebracki

Urodzony 22. 09. 1914 w Sanoku

Zmarł 29. 01. 1998 w Olsztynie



Dnia 29 stycznia 1998 r. zmarł prof. dr habil. Antoni Żebracki, zasłużony naukowiec Akademii Rolniczo-Technicznej w Olsztynie, nestor polskiego położnictwa weterynaryjnego.

Urodził się 22.09.1914 w Sanoku. Od 2 roku życia z rodzicami mieszkał w Kołomyi, gdzie ukończył szkołę średnią i uzyskał maturę. Studia weterynaryjne ukończył w 1940 r. we Lwowie. Pracował w Katedrze Higieny Środków Spożywczych Zwierzęcego Pochodzenia, był lekarzem na lwowskim torze wyścigowym. W 1944 r., choć na większości terenów kraju

trwała jeszcze wojna, współtworzył w Lublinie Wydział Weterynaryjny. W cztery lata później został w nim kierownikiem Katedry Położnictwa i Rozrodu. Odbił kilkunastomiesięczne staże naukowe w Klinice Położniczej Uniwersytetu Medycyny Weterynaryjnej w Wiedniu i podobnej placówce w Brnie. Był inicjatorem powołania Spółdzielni Lekarsko-Weterynaryjnej okręgu lubelskiego. Współuczestniczył w założeniu – działającej do dziś – Wytwórni Surowic i Szczepionek w Woli Sławińskiej.

W latach 1961-1969 wykładał, prowadził badania i szkolił lekarzy-praktykantów w Akademii Rolniczej we Wrocławiu. Po obronie pracy habilitacyjnej powierzono mu stanowisko kierownika Zakładu Andrologii i Sztucznego Unasienniania. W 1969 r., po powołaniu Wydziału Weterynaryjnego w obecnej Akademii Rolniczo-Technicznej w Olsztynie, podjął się budowy, organizacji i kierowania Katedrą i Kliniką Położnictwa i Patologii Rozrodu. Napisał ponad 300 prac: rozpraw, ocen, recenzji, ekspertyz i artykułów popularnonaukowych. Jest współautorem czterech podręczników o charakterze kliniczno-eksperymentalnym. Na bieżąco współpracował z uczelniami weterynaryjnymi w Niemczech, Francji, Stanach Zjednoczonych, Czechosłowacji, na Węgrzech i Białorusi. Był opiekunem naukowym trzech habilitantów i promotorem jedenastu doktorów. Był niezrównanym gawędziarzem, sypiącym – jak z rękawa – najprzedszymszymi opowiadaniem i dowcipami, duszą towarzystwa. Członek Sądu Koleżeńskiego przy Zarządzie Głównym Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich.

Uroczystości pogrzebowe odbyły się w dniu 2 lutego 1998 r. na cmentarzu Komunalnym przy ul. Poprzecznej w Olsztynie.



## Podziękowania

Redakcja czasopisma „Semper Fidelis” składa serdeczne podziękowania:

P. Jolancie Adamskiej z Rady OPWiM z Warszawy za fotografie pomników Adama Mickiewicza w kresowych miastach (opublikowane w SF Nr 1 (42) 98).

P. Januszowi Smazie z Warszawy za fotografie pomników Adama Mickiewicza w miastach kresowych (opublikowane w SF Nr 1 (42) 98).

P. Emilowi Hlibowi z Legnicy za udostępnienie „Radio-informatora” z 1939 r. (opublikowane w SF Nr 1 (42) 98).

P. Zbigniewowi Solskiemu z Wrocławia za podarowanie nam pliku egzemplarzy archiwalnych lwowskich gazet z okresu I wojny światowej i okresu międzywojennego. Materiały te są przygotowywane do opublikowania w SF.

P. A. Bujakowi z Niemiec za udostępnienie zdjęć Chyrowa i okólnika konwiktów OO. Jezuitów z 1932 r. (opublikowane w SF Nr 2 (43) 98).

P. Wiesławie Michotek z Warszawy za nadesłanie materiałów o działalności kanadyjskiego chóru „Symfonia”, pro-

wadzonego przez lwowiaków pp. Zofię i Zdzisława Katów (opublikowane w SF Nr 2 (43) 98).

Wszystkich Czytelników prosimy bardzo o nadsyłanie swoich leopolińskich do wykorzystania w „Semper Fidelis”. Będziemy niezmiernie wdzięczni, a po wydrukowaniu z podziękowaniami zwrócimy.

Redakcja

## Sprostowania do Semper Fidelis Nr 1(42) 1998

|                                 | Jest         | Powinno być  |
|---------------------------------|--------------|--------------|
| s. 2 7 wiersz od dołu lewa szp. | Wrocław      | Warszawa     |
| s. 9 7 wiersz od dołu pr. szp.  | rzeczywiście | rzeczywiście |
| s. 21 9 wiersz od dołu l. szp.  | Anotniogo    | Antoniego    |
| s. 21 11 w. od dołu l. szp.     | w 1905 r.    | w 1904 r.    |
| s. 26 8 w. od dołu pr. szp.     | w mię        | w imię       |
| s. 39 16 w. od dołu pr. szp.    | Petrus       | Pietrus      |
| s. 26 17 w. od góry l. szp.     | w Jasieli    | w Jasielu    |

Za pomyłki bardzo przepraszamy

## Contents

|                                                                                                                               |    |
|-------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------|----|
| J. Masior – All of us, who came into being – a poem.                                                                          | 1  |
| D. Nespiak – Easter space-time.                                                                                               | 1  |
| Memorial of the Chief Council of Borderland Organizations Federation.                                                         | 3  |
| J. Nowak-Jeziorański – Strategist, statesman, professor – on 70th birthday of Mr Zbigniew Brzeziński.                         | 6  |
| "The Eaglets" deprived of the colonnade, lions and epitaphs<br>– a talk with Mr P. Konowrocki, Polish Consul-General in Lwów. | 8  |
| List of payments from all-Polish collection for reconstruction of the Eaglets and Łyczakowski cemeteries.                     | 9  |
| A. Kaminski – Rev. Józef Bilczewski, the Lvovian Archbishop (1900-1923).                                                      | 9  |
| B. Klyszejko – 75 birthday and 55 years of prof. Remigiusz Węgrzynowicz's scientific work.                                    | 10 |
| Z. Umański – Canadian "Symphonia" choir.                                                                                      | 11 |
| W. Fastnacht – Felix Victor West, the eminent Polish Nestor publisher and bookseller (1846-1946).                             | 12 |
| I. Pollo – Stephen Pollo, a citizen and soldier (1898-1969).                                                                  | 16 |
| E. Hlib – Walking across Lwów (continued).                                                                                    | 17 |
| D. Fakowska – Prior to the "Vistula" action.                                                                                  | 19 |
| J. Masior – Chodorów – my birth-place.                                                                                        | 21 |
| D. Śliwińska – Easter again!                                                                                                  | 23 |
| The charm of old picture-cards.                                                                                               | 24 |
| A. Zagajewski – To go to Lwów – a poem.                                                                                       | 26 |
| E. Malec – The Lwów genius loci – in Wrocław?                                                                                 | 27 |
| The Jesuit collegiate boarding school at Chyrow.                                                                              | 32 |
| M. M. Kowalska – Is memory enough to warn?                                                                                    | 33 |
| M. Berezowski – Pilgrimage to our other Holy Land.                                                                            | 34 |
| H. Hordt – The ruffians of the East Beskid Mountains.                                                                         | 36 |
| Z. Umański – Borderland diary.                                                                                                | 39 |
| J. Kondziola – So it was in Lwów.                                                                                             | 42 |
| Z. Ojrzyński – Important dates of the Lwów and Borderland history.                                                            | 42 |
| A letter from Stanisławów.                                                                                                    | 43 |
| A letter of Mr Jan Akielaszek, the manager of the publishing house "In Rainbow Colours".                                      | 43 |
| A letter of Mr Leon Popek, president of the Krzemieniec and Volhynia-Podolian Land Lovers' Association.                       | 43 |
| Z. Umański – Worth of reading.                                                                                                | 44 |
| Among new publications.                                                                                                       | 44 |
| J. Wolczański – The East Little Poland in the fetters of World War II.                                                        | 45 |
| Obituary column.                                                                                                              | 45 |
| Acknowledgements.                                                                                                             | 49 |

The cover: Easter festivity in the Borderland.

# Lista ofiarodawców

w m-cu II i III 1998 r. (w zł)

|                                             |          |                                             |             |
|---------------------------------------------|----------|---------------------------------------------|-------------|
| 1. Helena Lipowska-Deka, Warszawa           | 100,-    | 18. Janina Czernecka, Łódź                  | 100,-       |
| 2. Zbigniew Szczerba, Jelenia Góra, wyd. SF | 25,-     | 19. Janina Szymaszkiewicz, Kraków           | 50,-        |
| Cm. Orłąt Lwów.                             | 25,-     | Cm. Orłąt Lw.                               |             |
| 3. TMLiKPW, Klub Rabka                      | 30,-     | 20. Andrzej Hanuszewski, Pyskowice          | 30,-        |
| 4. Józef Bieńko, Stalowa Wola               | 55,-     | Cm. Orłąt Lw.                               |             |
| 5. Stanisław Tarnowski, Poznań              | 20,-     | 21. Michał Lysyk, Legnica, kościół w Stryju | 300,-       |
| 6. Janina Wolnicka, Sandomierz              | 50,-     | 22. Maria Rasiej, Bogota USA (10 \$)        | 35,-        |
| 7. W. A. Podoleccy, Kielce                  | 20,-     | 23. Janina Blum, Wrocław                    | 20,-        |
| 8. K. Czechowicz, Kanada                    | 51,85    | 24. Krystyna Kierska, Francja               | 1 200 fr.   |
| (50,- dol CAD)                              | 70,-     | 21.03.98 r. przekazano we Lwowie:           |             |
| 9. Marian Halecki, Wrocław                  | 50,-     | na przedszkole polskie we Lwowie            | 400 fr. fr. |
| 10. Zygmunt Albert, Schiffdorf (500 DM)     | 968,50   | na harczerzy (p. St. Adamski)               | 300 fr. fr. |
| 11. Bronisław Ostowski, Wrocław             | 20,-     | dla klubu Myśli Katol. (p. St. Adamski)     | 300 fr. fr. |
| Cm. Lyczakowski                             |          | dla Red. Gaz. Lw. (p. Legowicz)             | 100 fr. fr. |
| 12. Gustaw Loch, Żnin                       | 25,-     | dla Pol. Tow. Radiowego (p. Pakosz)         | 100 fr. fr. |
| kościół w Przemyslanach                     |          | 25. Józef Nycz, Kanada (50 dol CAD)         | 120,-       |
| 13. J. T., USA                              | 3.392,97 | 26. Wiesława Michotek, Warszawa             | 100,-       |
| 14. Zofia i Erwin Brożek, Bielsko Biala     | 50,-     | 27. TMLiKPW oddz. Koszalin, na sztandar     | 100,-       |
| 15. Adam Nikorowicz, Dębica, Cm. Orł. Lw.   | 20,-     | 28. J. J. Starzeccy, Wrocław                | 20,-        |
| 16. Danuta Czyżowska, Szwecja               | 50,-     | 29. Maria Żurowska-Gangi, Toruń             | 10,-        |
| 17. Jan Tomaszewski, Prudnik                | 24,-     | 30. TMLiKPW Nowy Sącz, Cm. Orł. Lw.         | 150,-       |
|                                             |          | 31. TMLiKPW oddz. Wałbrzych                 | 100,-       |
|                                             |          | na ren. sztandaru                           |             |
|                                             |          | 32. TMLiKPW oddz. Jelenia Góra              | 160,-       |
|                                             |          | na ren. sztandaru                           |             |

**Wszystkim Szanownym Ofiarodawcom składamy najserdeczniejsze podziękowania**

## Od Wydawcy

— Z pewną satysfakcją zwracamy uwagę PT Czytelników, że nasz dwumiesięcznik „SF” powiększył swoją objętość do 44, a nawet do 48 stron, a okładkę jego uatrakcyjnijają kolorowe zdjęcia. Życzymy sobie również, żeby, jak ostatnio, ukazywał się terminowo.

— Będziemy bardzo wdzięczni za nadsyłanie materiałów do publikacji na łamach SF, szczególnie do takich rozdziałów jak: Historia, Wspomnienia, Kresowi Kapłani, Kresowe Sylwetki itp. Do „Notatnika Kresowego – Wczoraj, Dziś, Jutro” prosimy przysyłać wiadomości z życia Oddziałów i Klubów TMLiKPW. Chętnie będziemy publikować to, co działo się ostatnio lub co zamierzacie Państwo zorganizować u siebie w przyszłości.

— Prosimy wszelkie artykuły ze zdjęciami przysyłać na adres redakcji do siedziby Fundacji Kresowej SF (50-079 Wrocław, ul. Rуска 32/33). Nie bierzemy bowiem odpowiedzialności za artykuły i zdjęcia wysyłane na adresy prywatne.

— Oczekujemy w dalszym ciągu na oferty reklamowe. Prosimy Lwowiaków-Kresowiaków o pomoc w tej sprawie. Na pewno w Waszych rodzinach lub wśród znajomych są biznesmeni, którzy zechcą skorzystać z reklamy na naszych łamach. „Semper Fidelis” rozchodzi się w nakładzie 3 000 egz. w całym kraju, jak też w USA, Kanadzie, Anglii, Lwowie i Kijowie. Odpłatność za umieszczenie reklamy jest dowolna — każdą propozycję traktujemy jako mile widzianego sponsora naszego pisma! Zapraszamy do reklamy.

— Można jeszcze skorzystać wpłacając na prenumeraty na 1998 r. na następujące czasopisma o tematyce kresowej.

|                                 |       |
|---------------------------------|-------|
| Dwumiesięcznik „Semper Fidelis” | 24 zł |
| Dwutygodnik „Gazeta Lwowska”    | 24 zł |
| Dwutygodnik „Dziennik Kijowski” | 18 zł |
| Kwartalnik „Zeszyty Tłumackie”  | 16 zł |
| Kwartalnik „Głos Buczacza”      | 16 zł |
| Półrocznik „Strzecha Stryjska”  | 10 zł |

Ponawiamy również informację, że Fundacja Kresowa SF prowadzi sprzedaż wysyłkową prawie wszystkich nowości wydawniczych o tematyce kresowej. Prosimy pisać do nas i zamawiać! Natychmiast wysyłamy, doliczając porto pocztowe. Polecamy szczególnie:

1. Roczniki SF za lata: 1989/90, 1991/92, 1993, 1994, 1995, 1996, 1997.

2. Naszą nowo wydaną książkę Bronisława Szeremety pt. „Związek Walki Zbrojnej zwalczany przez NKWD we Lwowie w latach 1939-1941”. Jest to bardzo ciekawa pozycja, ze zdjęciami i dokumentacją. W treści swej polemizuje z poglądami prof. J. Węgierskiego z okresu pierwszej okupacji sowieckiej we Lwowie.

3. Książka wydana w 1997 r. w Kluczborku przez p. Stanisława Rakowskiego pt. „Wspomnienia z Kresowej Osady Kościuszkówki na Podolu” — ciekawy dokument zbrodni banderowskich z Osady Kościuszkówki, okolic Czortkowa i Zaleszczyk.

4. Książka wydana w 1997 r. w Olsztynie pt. „Wspomnienia wojenne karpackiego ułana” Józefa Plebana. Bardzo ciekawie opisany wschodni szlak bojowy 2 Korpusu w czasie II wojny światowej.

Cena w/w książek oraz roczników SF wynosi 12 zł + porto pocztowe. Życzymy przyjemnej lektury!

— Wszelkie wpłaty pieniężne prosimy kierować na: Fundacja Kresowa „Semper Fidelis” 50-079 Wrocław, ul. Rуска 32/33 — konto bankowe w PKO-BP IV O/Wrocław Nr 10205255-10012-270-1-111.

Za Zarząd Fundacji Kresowej SF  
Dyrektor  
Danuta Tabińska-Juhasz